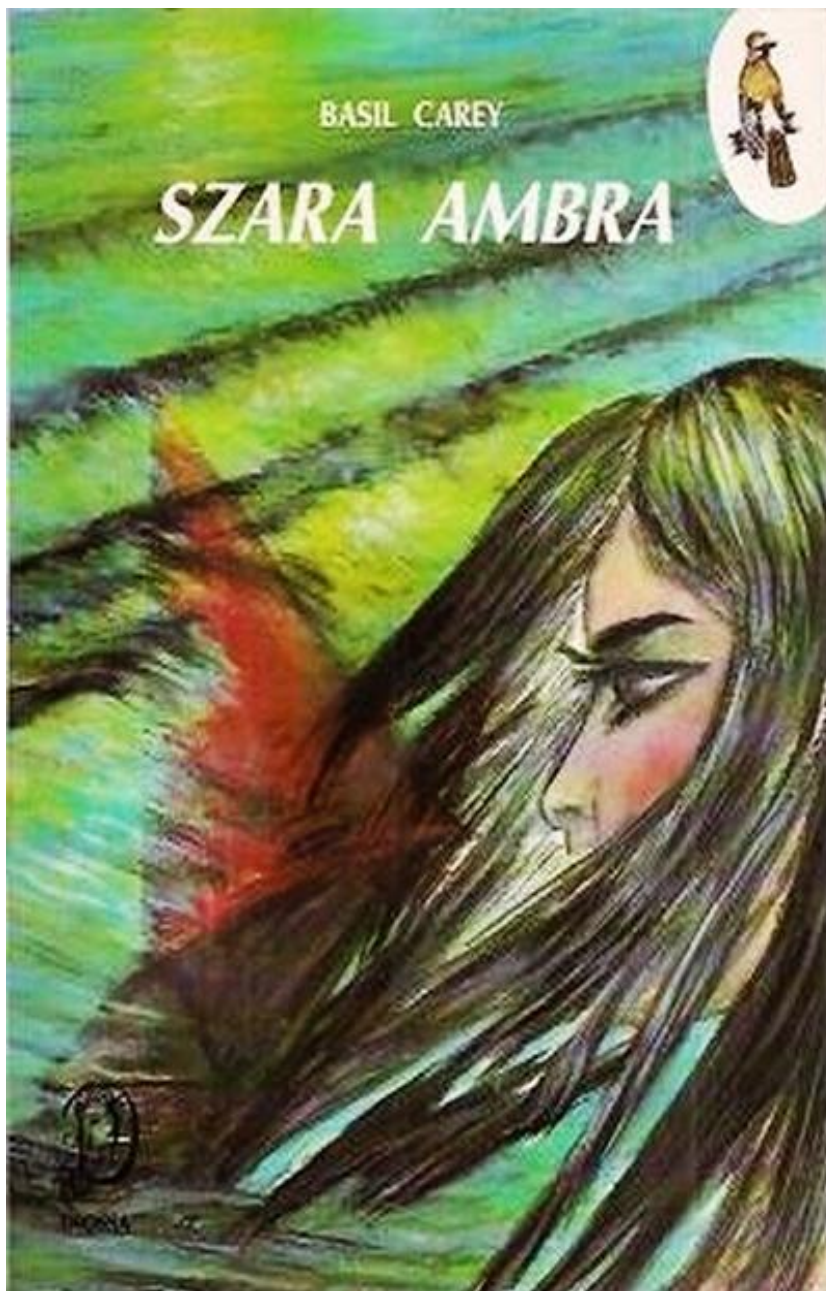




# BASIL CAREY SZARA AMBRA

Przekład Janina Sujkowska



„Diossa” 1993

# ROZDZIAŁ I

## I

— Ciekaw jestem, skąd pochodzi Fanchon Vincent? — rzekł Marlowe.

— Z piekła, stary — odparł Bruce.

— Szkoda, że tam nie została.

— Nie martw się, wróci, tylko przyjdzie na nią pora.

Marlowe wyprostował długie nogi i ujął szklanę.

— Diabelnie długo ciągniemy do Les Aves — zamruczał. — Nie podoba mi się ta maszyna, ale uparłeś się. Tylko patrzeć, jak pošlesz do Honolulu po czerwone kominy.

— Nie pieprz — odciął się Bruce. — Natkniemy się na ciszę, tak jak zeszłego roku koło Taipu, to zobaczysz. Będziesz rad, że „Helena” ma silnik pod pokładem.

Marlowe splunął daleko za burzę.

— Niech tam! — zgodził się i poszedł do forkasztelu wyładować się na Kanakach.

Bruce, uśmiechnięty, sunął wzrokiem za jego chudą postacią. Pochwycił ponury błysk głęboko osadzonych niebieskich oczu kolegi. Marlowe mógł sarkać, jeśli chciał. Bruce wiedział, że w głębi duszy jest dumny ze świeżo zamontowanego silnika, tylko zżyma się, że nie on pierwszy wpadł na ten pomysł. Taki już był. Miał w ogóle dziwną naturę. Ni stąd, ni zowąd napadały go ataki wściekłości i morderczego szału. Rzadko się to zdarzało, ale jeśli się zdarzyło, Bruce i Kanakowie zapadali się w ostatnie kąty w obawie o życie. Byli zawsze ostrzeżeni, gdyż w złych chwilach Marlowe’owi zaczynała drgać blizna na lewym policzku, ciągnąca się od ucha do kąta ust. Przed ośmiu laty dostał się w ręce piratów na Morzu Chińskim. Uszedł z życiem, lecz z lekka nadwyrężoną poczytalnością. Nim rana na twarzy zdążyła się zagoić, dostał pierwszego ataku szału i odtąd się to powtarzało.

Bruce, siedząc w cieniu nadbudówki, z fajką w zębach, splatał linę. Z wonią dymu tytoniowego mieszał się ostry, suchy odór manili. „Helena” szła pod tęgim wiatrem na Les Aves. Wysoko na maszcie Kanak nucił monotennie, bez melodii, do wtóru chwiejbie statku. Był to dobry statek, zbudowany na zamówienie niejakiego Cortesa, Hiszpana, ale zaledwie wyszedł w morze, zaraz w pierwszej podróży zabił się na nim człowiek, zleciawszy przy nagłym przechyleniu ze szczytu

masztu na pokład, tak że została z niego miazga. Podczas drugiej podróży jeden z Kanaków dostał pomieszania zmysłów i rzucił się w morze. W powrotnej drodze z trzeciego rejsu znaleziono w ładowni uduszonego człowieka. Wobec tego Cortes doszedł do przekonania, że statek jest zaczarowany i jako że był po hiszpańsku przesądny, więcej na nim nie żeglował. Cztery miesiące statek stał w przystani na Wakatei, póki jego ładna sylwetka nie wpadła w oko Bruce'owi. Bruce wiedział, dlaczego Cortes chce go sprzedać. Postawił strachliwemu głupcowi swoją cenę, i kupił.

— Zaczarowany? — spytał. — Bzdury. Przemaluję go i zmienię nazwę, to duchy się nie połapią.

Mówił z taką powagą, że Cortes wpadł w gniew. Przeszło mu przez myśl, że może — jednak — ostatecznie...

Bruce nie dopuścił do wahań. Cisnął na ciemny lśniący kontuar (targ odbywał się w knajpie u Marty'ego) — paczkę banknotów i statek był jego. Wyciągnął go na brzeg, wyczyścił od kilu do wierzchołka masztu, zmienił nazwę „San Jose” na „Helenę”. W dwa tygodnie później płynął z Marlowe'm na Wakateę, podczas gdy Cortes stojąc na brzegu, przygryzał w zamyśleniu strzępiaste wąsy.

Bruce, zajęty splataniem pasm manili, przypominał sobie całą tę historię. Więc ten szczur wierzył, że statek przynosi nieszczęście? Ha! On i Marlowe żeglują na nim bez mała sześć lat i żyją. Odrzucił głowę w tył i zaśmiał się. Smuga słońca zza masztu padła na jego potężną pierś, widoczną spod rozchylonej koszuli. W szarych oczach świeciło zadowolenie. Wiedział, że Cortes nie mógł odżalować statku. Ale głupcy zawsze tracą.

Piana prysnęła przez burtę i spłynęła wilgotną smugą po jego obnażonym ramieniu, obrośniętym złotawobrunatnym włosiem. Marlowe nadszedł z powrotem, pociągając niespokojnie nosem.

— Nie podoba mi się ten wiatr — zrzędził. — Za zimny. Od północo-wschodu.

— Nie, zdążymy — uspokajał go Bruce. — Powinniśmy minąć latarnię na Point Henry o zachodzie słońca. Co ci jest? Kraczesz dziś i kraczesz.

Marlowe kopnął w słupek. Na jego ciemnej twarzy malowało się pewne przygnębienie.

— Mam przeczucie, że coś się stanie.

— Dlaczego?

— Sam nie wiem. Coś wisi w powietrzu.

— Dlatego, że zbliżamy się do Les Aves? Nie lubisz tej wyspy?

— A ty lubisz? — zapytał z rozdrażnieniem Marlowe. — Piekielna dziura. Kanakowie nazywają ją ciemną wyspą. I mają rację. Ciemne drzewa, ciemne wzgórza, ciemna rzeka. Ach! ta rzeka, — wypływa ze środka wyspy jak struga gęstej krwi. A te leśne trzęsawiska, pełne moskitów, stęchlizny, oparów... A jak tam cicho! Wiatr nigdy nie wieje. Okropność! Wiem dlaczego — góry osłaniają przed wiatrem. Ale takie nieruchome powietrze — człowiek się dusi. Duszno, cicho, niesamowicie. Ot, twoje Les Aves! A ta kobieta...

— Mówisz o Fanchon Vincent?

— O jakiej innej bym mówił? — szczechnął gniewnie Marlowe.

Bruce skończył robotę z liną, złożył nóż, ziewnął, przesunął leniwie ręką po bujnej czuprynie, wstał i poszedł zluzować Puahego przy sterze.

— Twoja iść powiedziec kucharz śpieszyć się jak sam diabeł! — rozkazał — Twoja powiedziec wszystka głodna — głodna! K a i - k a i! być piorunem!

Puahe pobiegł wrzeszcząc:

— K a i - k a i zrobić Biruti prędko — prędko!

Pod rękami Bruce'a statek poruszał się, jak żywe stworzenie. Smagany wiatrem, parł naprzód. Bruce nie wiedział, co myśleć o przeczuciach Marlowe'a. Jakie niebezpieczeństwo może im grozić na Les Aves? Wzruszył ramionami. Wśród tych wysp zawsze czyha niebezpieczeństwo.

Przed samym zachodem słońca błysnęła im z lewej burty latarnia morska na Point Henry. Migotliwe gwiazdy już pojawiały się na aksamitnym niebie, niby blade, mleczne krople, ale od północno-wschodu zalegały na widnokręgu gęste chmury. Marlowe skrócił żagle i oznajmił, że zanosi się na podłą noc.

Bruce patrzył z niepokojem na owe chmury.

— „Jean Marie” spóźnia się. Hackett nigdy się nie spóźniał.

Wyteżył wzrok, siląc się pochwycić w zmierzchu, na mrocznym morzu, błysk światła „Jean Marie”. Hackett miał ich minąć tutaj, u tej omiatanej wiatrami wyspy, gdzie przyjacielskie światło ostrzega żeglarzy przed ukrytymi rafami.

— No, i co? — spytał porywczo Marlowe, zdradzając się w ten sposób z niepokojem. — Może śruba się obluzowała albo wpadli w ogon sztormu, albo...

—Przyznam ci się, że boję się — przerwał Bruce. — Nigdy się jeszcze nie spóźnił. Przeważnie przybywał przed oznaczonym czasem. Powinien tu być na nas czekać, jak zwykle. Dlaczego go nie ma?! Wiesz, myślę, że go zatrzymali.

— Kto?

— Są różne możliwości, zwłaszcza jeżeli dostał od Van Kloorta to, co chciał.

— Koncesję Paiku?

— Właśnie.

— O Paiku wiedział tylko on i my dwaj.

— Nie bądź taki pewny. Na Les Aves trudno utrzymać coś w tajemnicy.

— Ja nie lubię Van Kloorta — mówił Marlowe. — Holendrzy i Hiszpanie są prawdziwym przekleństwem tych wysp. Ale z dwojga złego wolę Hiszpanów. Z tymi wiadomo czego się trzymać. Podłe gnoje i już, zawsze można mieć spluwę w pogotowiu. Za to taki półkrewi Holender jak Van Kloort — brr! wór tłuszczu, usta jak uszmkowane, łapy gorące, wilgotne — z rozkoszą dałbym mu w mordę.

Gryzł fajkę i wpatrywał się chmurnie w morze.

— Dziwni ludzie mieszkają na Les Aves — ciągnął dalej. — Ten Van Kloort, ta Fanchon, ten Ridley...

Bruce podchwycił ostatnie nazwisko.

— On! — wykrzyknął z pasją.

Marlowe odwrócił się.

— Bóg stworzył Ridley'a z odpadków.

— Dobrze mówisz.

— Czy wiedziałeś, że on brał udział w awanturze o „Waleczną”?

— Nie wiedziałem.

— Tak. Jeden z chłopców uciekł, i Mason zabrał go na pokład. Umierając zeznał, co Ridley zrobił z resztą. Szatan, nie człowiek.

— Zła krew — wywodził Bruce. — Mówią, że jego matka pochodziła z Noumej. Uciekła z Duńczykiem. Stąd jego siła. Po matce odziedziczył czarne włosy i oczy. To jakby połączyć wikinga z córką francuskiego skazańca, a urodzi się Ridley.

— To nie duńskie nazwisko.

— Cóż z tego? Prawdopodobnie wolał własne ukryć.

— Julian Ridley — rzekł Marlowe. — Wredne nazwisko...

„Helena” pruć morze, pstre od plam księżycowego światła. Fale

tańczyły naokoło dzioba. Chlustanie wody o burty świadczyło, iż wiatr się wzmaga. Marlowe okazywał coraz większy niepokój. Mieli dobić do Les Aves dopiero nazajutrz po południu. Point Henry ze swoimi niebezpiecznymi rafami została w tyle, ale mieli jeszcze przed sobą groźne mielizny w sąsiedztwie wyspy Port Edward.

— Jeżeli będzie sztorm — mówił Marlowe — oby nas zaskoczył, jak już będzie widać Les Aves! Te mielizny! Palmer się tam utopił w zeszłym roku, a nie dawniej, niż trzy tygodnie temu O'Mara musiał się ratować na łodziach. A Hackett — co się z nim dzieje?

— O, zamknij pysk i nie strasz! — zniecierpliwiał się Bruce. — Niedługo będziesz widział upiory. Co cię napadło?

Marlowe odwrócił się i pociągnął towarzysza w krąg światła rozbujanej latarni. Oczy dziwnie mu błyskały.

— Pewnie będziesz się śmiał — zaczął — ale dziś w nocy śnił mi się Hackett. Leżał nieruchomo cały mokry. Chciał wstać i nie mógł, bo go coś trzymało. Możesz się śmiać, głupcze, a ja ci mówię, że Hackett nie żyje. On już jest trupem.

## II

W południe następnego dnia zobaczyli Les Aves. Przez całą noc wypatrywali bacznie „Jean Marie”, jednak bez skutku. Burza jakoś nie nadciągała, jakkolwiek noc skończyła się chmurnie i wietrznie. Świt zawitał szary i senny, ze szkarłatną smugą na wschodzie. „Helena” kołysała się silnie pod wiatrem, który wykręcił statek o rumb ku północy. Zalewana wodą, parła odważnie naprzód przy zwiniętych żaglach, byle zdążyć na czas do portu. Marlowe tonął w posepnym milczeniu, Bruce obserwował go spod oka. Kanakowie kręcili się niespokojnie, jak psy przed burzą.

Gdy ciągnęli liny i zamocowywali roztrzepotane żagle, bryzgi piany zlewały spocone, brunatne ciała.

Les Aves wyłaniała się z szarej roztoczy morza. Pagórki, gładkie i okrągłe, jak piersi kobiece, odchodziły w dal jedne za drugimi. Była to druga z rzędu największa wyspa z grupy Pakahiki, złożonej z siedemdziesięciu dziewięciu wysp, przeważnie koralowych, bo wulkanicznych było znacznie mniej. Większość — niezamieszкана — miała charakter niskich raf o olśniewających brzegach, porośniętych rzadko palmami. Archipelagiem zawiadywała kiedyś Francja. Potem przyjęli go w dzierżawę Holendrzy, a Anglia zagarnęła niejako na próbę, jak człowiek który podnosi orzech i patrzy czy zdrowy. Grupa wysp ciągnie się z północy na południe na przestrzeni dwustu dziewięćdziesięciu trzech mil angielskich wśród niebezpiecznych wód, usianych rafami. Kanakowie przyjmowali zmieniających się panów jak najobojętniej w świecie, odróżniając jedną naro-

dowość od drugiej po gatunkach wódki. Van Kloort był Anglo-Holendrem i butelka jego Old Highlandu mogła, jak sądzono, zabić trzech Kanaków.

Marlowe kierował „Helenę” na nawietrzną Les Aves, gdzie, między dwoma przylądkami, rozpościerała się rozległa, naturalna przestrzeń. Zatokę, znaną od Degas do Waihiti, osłaniały od przemożnych wiatrów północo-wschodnich znaczne wzgórza. Przybyszów, wpływających do przystani, uderzała nagle nie-naturalna cisza. Ani jedna palma się nie poruszała. Wieś biała i cicha, rozrzucona wzdłuż wybrzeża, wydawała się martwa. Rozpalone powietrze przesyciła stale nieokreślona, słaba woń, pochodząca, być może, od bagnisk, gdzie rosły czerwone lilie, albo też od ciemnej rzeki, wlewającej się leniwie do morza po drugiej stronie Zachodniej Góry. A może jak utrzymywali Kanakowie, diabeł dotknął wyspy i odtąd cuchnęła śmiercią.

„Helena” wpłynęła na spokojną wodę i Marlowe otarł spocone czoło.

— Sztorm coś długo się ociąga.

— Tak. Rad jestem, że uciekliśmy przed wiatrem.

— Czekaj, niedługo zaczniesz do niego wzdychać. Nie będziesz się mógł doczekać, kiedy rozwiniemy żagle — powiedział Marlowe. — Tu zawsze gorąco jak w piecu. Podła dziura, zgniła dziura.

— Sporo statków ucieka przed sztormem. — Bruce obejrzał się na łupinę, pośpiesznie chroniącą się do przystani. — O! Stary Piper znów zawija. Podoba mi się jego statek. Co się stało z tamtym?

— Z „Patrycją”? To nie wiedziałeś? Spaliła się. Piper się nie martwił. Dostał ubezpieczenie.

— Hm! Dziwne!

— Niczego nie dowiedli — rzekł surowo Marlowe. — „Pat” poszła z dymem i tylko Piper się uratował. Mówią, że na pokładzie nie było żywej duszy, bo stała w porcie i towar wyładowali. Hendry wspominał, że poprzedniej nocy ktoś zabrał z magazynu blaszankę nafty. O, tak, przysłali urzędnika z towarzystwa dla przeprowadzenia śledztwa. Ale tymczasem Piper miał wersję gotową i nie odstępował od niej na jotę. Zasiadli w szynku Hendry’ego. Hendry, bliski samobójstwa, słuchał za drzwiami. Wiesz, jak Piper wygląda: biała broda, białe włosy, oczy niebieskie jak u dziecka. Co chwila podnosił rękę do twarzy, niby ze wzruszenia... Ba! miał na dłoni kawałek cebuli... Dostał ubezpieczenie, a jakże! Z siwizną i kawałkiem cebuli można daleko zajechać.

„Helena” parła leniwie ku redzie wśród mieszanej flotyli, ratującej się przed wichurą. Brzęk łańcucha kotwicznego mile zadźwięczał w uszach Kanaków.

Czekało ich upragnione wytchnienie, kawa, kradziona wódka, kobiety... Spuścili skwapliwie szalupę, zwałając do środka towary, przywiezione z Waihiti. Nawet szare morze, szare niebo i dziwna cisza na wyspie nie mogły przytłumić ich uciechy. Brunatne ciała nachyliły się ochoczo do wiosł, które podnosiły się i opadały prawie bez plusku, tak nieruchomo stała woda.

Hendry zobaczywszy „Helenę”, zeszedł na wybrzeże witać przybyszy. Był to wysoki, zasuszony mężczyzna o błyszczących oczach i płowych włosach. Wyglądał na wiejskiego sklepikarza i lubował się w kraciastych fartuchach. Kulał. Był ranny przed laty podczas awantury w Hobart, ale nie chciał nigdy powiedzieć, o co poszło. Zostawił martwego przeciwnika na ulicy, a sam schronił się, mając strzaskaną nogę, na pierwszy z brzegu statek w porcie. Był dobrym kupcem, trzymał drogi towar, nigdy nie sprzedawał złych cygar, nieświeżych konserw czy zbutwiałych lin.

— Halo, Hendry! — zawołał Marlowe, gdy kil łodzi otarł się o piasek. — Burza idzie, co?

Hendry skinął głową.

— Pewnie do rana nie wytrzyma. Czy nie zapomniałeś przywieźć kolorowych talerzy?

— Są. Kilka tuzinów. Głównie z dziewczętami. Jedne tańczą przy księżycu, inne odpoczywają na marmurowych ławkach. Musi im być zimno, bo prawie gołe. Na co wam te talerze? Będziecie sprzedawali po dolarze sztuka?

— Po półtora dolara — poprawił kupiec, a Bruce zarechotał.

— Boże, błogosław Szkocję? — rzekł — a reszcie niech pomaga diabeł. Wy, Kanaka, zwijać się prędko — prędko! Zanieść wszystka skrzynia sklep co być Heniti. Niedługo mokro — mokro!

Kanakowie już brali skrzynie na plecy i brnęli po miłkim, białym piasku ku składnicy Hendry’ego, świecącej różowymi ścianami i blaszanym dachem. Trzej biali poszli za nimi wolnym krokiem.

— Łódź będzie musiała obrócić trzy razy — zauważył Marlowe.

— Pójdę do nich, bo gotowi opuścić ręce. Jak kobiety. Zejść im z oczu, to zaraz coś spieprzą. Larry Henderson trzyma swoich przy pomocy bata. Ja tego systemu nie pochwalam. Mnie nie zobaczycie z batem nad Kanakami. Według mnie Larry ma świra.

— Ty byś nie użył bata? — zapytał Hendry, uderzony tą wielkodusznością.

— Nie — odparł Marlowe. — Nigdy. Pas nie rzuca się tak w oczy i jest skuteczniejszy.



Koło wejścia do sklepu rośla palma. Chłopiec ze szkarłatnym kwiatem hibiskusa w wełniastych włosach stał oparty o pień. W jednej ręce trzymał nóż, drugą przytrzymał za nogę kwiczącą świnię.

Spojrzał z uśmiechem na kupca, swego pana. Przerażone zwierzę kwiczało coraz głośniejsze. Nóż spadł świetlistym łukiem, krew trysnęła i wszystko ucichło.

— Zręczny — pochwalił Bruce. — Żaden biały nie potrafi tak władać nożem jak Kanakowie.

— Biedne te świny — zauważył Hendry. — Całe życie szukają zarcia. — Zwrócił się do chłopca: — Twoja zabrać trzep - trzep co być a pu.

— Co to takiego? — zapytał Bruce.

— Pogaństwo wierzy, że świńskie uszy dobrze nosić przeciw kolce — objaśniał z całą powagą Hendry. — Płacą morskimi ślimakami.

Bruce śmiał się.

— Założę się, że to wasz wymysł. Wmówiliście w nich.

Hendry wzruszył ramionami.

— Człowiek musi żyć. Hackett mówił, że przywiezie pachnidła z Waihiti.

Bruce przystanął przed otwartymi drzwiami.

— Kiedy on wyruszył na morze?

— Tak jak mówił — w sobotę — odpowiedział zdziwiony Hendry.

— A co? Nie spotkaliście go?

Bruce potrząsnął głową.

Weszli w milczeniu do chłodnej, mrocznej izby. Ze ścian śmiały się barwne oleodruki, poprzybijane bez żadnego porządku. Na półkach stały równe rzędy blaszanych puszek z kolorowymi naklejkami, wazoniki, tanie niemieckie zegary, jeszcze tańsze amerykańskie perfumy we flakonikach, kilka cynkowych kubeków, butelki z lekarstwami, pudełka z maściami; leżały męskie koszule, męskie półbuty, organki, motki bawełny... różności, bez których Północ nie może żyć na Południu. Kontuar był duży, gładki, wyslizgany rękawami. Hendry kazał go wybić wewnątrz stalową blachą, przez co uzyskał kasę ogniotrwałą, zamykaną od tyłu na grube drzwi. Tu trzymał trunki — irlandzkie z lewej strony, szkockie z prawej. W środku mieszanię: rum jamajski, holenderską brandy, curaçao, kminkówkę i sześć butelek szampana dla wybrednego Van Kloorta. W kącie leżał stos świeżo nasmołowanych lin; silna, ostra woń kazała myśleć o morzu.

Hendry otworzył stalową skrytkę i wyjął rum dla Marlowe'a, a szkocką dla Bruce'a.

— Łyknijcie jedną na mój rachunek, Hendry — zaproponował Bruce i trójka

trąciła się szklankami.

— Co z Hackettem?

— Nie spotkaliśmy go. W nocy też nas nie minął. Mówicie, że wypłynął stąd w sobotę?

Hendry drapał się po głowie.

— Nie słyszałem, żeby gdzie był sztorm, ale szkwał mógł go zaskoczyć. Coś w tym jest.

— O! jest.

— Co wiózł? Ładunek tripangów? Nic więcej?

— Nic?

— Rozumie się — szedł na Waihiti?

— Tak.

— Wy coś przemilczacie — rzekł chytrze Hendry.

Bruce wahał się.

— E, mów — przynaglił go lekkomyślnie Marlowe. — Myślę, że Hendry nas poprze.

— Przed wyprawą na Waihiti — rzekł Bruce — miał być u Van Kloorta po koncesję.

— Jaką koncesję?

— Na wyspę Paiku. Wiecie, jakie tu jest prawo. Każda koncesja musi mieć dwa podpisy: gubernatora Waihiti — Carruthersa i gubernatora Degas, albo Les Aves, do którego bliżej od upatrzonej wyspy.

— To się zabezpieczają, niech ich szlag! — powiedział z podziwem Marlowe.

— Paiku leży bliżej stąd, bo tu środek archipelagu, a Degas jest dalej na północ. Hackett chciał dostać koncesję od Van Kloorta i płynąć na południe na Waihiti, po podpis Carruthersa.

— Dlaczego, któryś z was nie prosił Van Kloorta?

— On nas nie cierpi — oświadczył uroczyście Marlowe. — Hackett nic go nie obchodzi. Za to nas obu nienawidzi bardziej od kurary<sup>2</sup>). Ustaliliśmy to sobie tak, że Hackett niby to działa za naszymi plecami. Van Kloort chętnie by mu udzielił koncesji, wiedząc, że robi świństwo mnie i Bruce'owi.

---

<sup>2</sup> Wyciąg z trujących roślin podzwrotnikowych.

— Na co wam Paiku?

Bruce nachylił się i szepnął coś w ucho Hendry'emu. Ten zrobił wielkie oczy.

— O to chodzi?

— Tak.

— Chyba Hackett nie był taki głupi, żeby się wygadać przed Van Kloortem?

— Ależ skąd! Prosił o koncesję perłową — mówił Marlowe. — Tam naturalnie nie ma pereł.

— A tamtego jesteście pewni?

— Jasne.

— Skąd wiecie?

— Hacketta zwiąło z kursu w ubiegłym miesiącu. Pamiętacie, jaki sztorm był osiemnastego? Szedł pełnym wiatrem. Myślał, że wybiła jego ostatnia godzina, bo „Jean Marie” wpłynęła między rafy koło Paiku. Dotarł tak blisko, że widział. Gdyby to było możliwe, byłby wylądował, ale jeżeli komu życie niemiłe, to nie ma pewniejszej śmierci, niż w czas sztormu zawadzić o Paiku.

Hendry zastanawiał się głęboko.

— Więc on starał się o koncesję? O prawa perłowe. Tak. Ale Van Kloort nie taki głupi, żeby nie wiedzieć, że koło Paiku nie ma pereł.

— Ale nie mógł wiedzieć co tam jest.

— Może jednak Hackett wygadał się przed kimś?

— Nie — oświadczył Marlowe. — On by się nie wygadał. Ale, wiecie co? Van Kloort musiał coś zwietrzyć. Pewnie głowił się, w jakim celu Hackett ubiega się o tę koncesję? Jak myślicie?

— Wiem, co ci chodzi po głowie? — wykrzyknął Bruce. — Ale grubo się mylisz. Hackett to uczciwy facet. On by nas nie oszukał. On by nie sprzedał tajemnicy Van Kloortowi.

Obaj zerwali się na równe nogi. Hendry wyciągnął rękę, chcąc zażegnać awanturę. Bruce zacisnął pięści.

— Ty Świnio! — ryczał na Marlowe'a. — Żeglowałeś z Hackettem cały czas i teraz śmiesz podejrzewać go, że powiedział Van Kloortowi...

— On by nie powiedział! — odwrzasnął Marlowe. — Van Kloort nigdy by tego z niego nie wydobył. Ale jest osoba, która sobie z nim poradziła.

— Kto?

— Fanchon.

Na to imię Bruce zbladł, opuścił zaciśniętą pięść...

— Hackett jest uczciwy. On nigdy...

Hendry przeszedł środkiem między zwaśnionymi przyjaciółmi, stanął w otwartych drzwiach, rozejrzał się po szerokiej panoramie morza. Nie odwracając głowy rzekł:

— Owszem. Był u niej wieczorem, przed odjazdem.

TLR

# ROZDZIAŁ II

## I

Monty Hawes z „Południowej Gwiazdy”, drobny człowieczek o błyszczących oczkach, odznaczał się ciekawością iście kobiecą. Wprowadziwszy swój statek do przystani Les Aves, zlustrował wszystkie inne, które tu przed nim zawinęły. Nad „Heleną” zastanawiał się głęboko. Po chwili zeszedł do ładowni i tam długo przyglądał się kawałkowi drewna. Co też na to powiedzą?

Wyszedł na brzeg niosąc pod pachą drewno owinięte w worek. Sam nie wiedział, dlaczego ukrył je w ten sposób przed oczami ciekawskich. Szedł prosto do Hendry’ego. Marlowe siedział koło drzwi z chmurną twarzą. W głębi sklepu Bruce rozprawiał o cenach manili. Monty wszedł jakby nigdy nic. Mruknął na powitanie Marlowe’owi. Marlowe jemu. Przybysz usiadł kładąc swe zawiniątko na kolanach, powoli szarpał palcami worek.

— Idzie burza — odezwał się.

— Uhm — przytaknął Marlowe. Miał złe wyobrażenie o Monty’ m.

— Jak tam handel? — pytał Monty.

— Nieźle.

— A co z Hackettem?

— Jak to, co?

Monty obejrzał się płochliwie.

— Pytam, czy wrócił?

Marlowe nie odpowiedział. Patrzył na kawałek drewna, który Monty wyjął z worka.

— Co to? — rzekł zdławionym głosem.

— Znalazłem.

Na kawałku drewna łatwo było odczytać napis, „Jean M”.

— Fragment deski z szalupy — szepnął z wysiłkiem Marlowe.

— Boże Wielki! Gdzie ty to znalazłeś? Hackett nie minął nas przy Point Henry. Miałem przeczucie, że coś się stało. Ano, stało się.

— Sztormu nie było — zaznaczył Monty.

Marlowe przesunął dłonią po drewnie. Bruce stanął za nim klnąc z przerażenia.

— To było odrąbane — zawyrokował Monty. — Ta łódź nie rozbiła się o rafę. Patrzcie — tutaj. Wyraźne ślady siekiery.

— Siekiery — powtórzył Marlowe jak przez sen.

Spostrzegł, że Hendry stoi przy nim z pełną szklanką. Wypił machinalnie i obracając szklankę w rękach, patrzył na kawałek deski.

— Gdzie to znalazłeś? — zapytał Bruce.

Marlowe słyszał ich głosy słabo, jakby z oddalenia. Będzie rozróżba, będą kłopoty! Krew się poleje! I oni dwaj muszą być przygotowani na wszystko. Ale jeśli nawet rewolwer wróci do kabury, a nóż otrze się ze krwi, co z tego będzie za pożytek? Nic nie wróci życia Hackettowi. Nie zobaczą go już maszerującego, w kapeluszu przekrzywionym zawadiacko na ucho. Marlowe odsunął kopnięciem krzesło i wyszedł na dwór wyrzeć na Kanaków, wyładowujących towar z „Heleny”. Zajęci — nie zauważają, że usta mu — drgają...

Hendry oglądał złowieszczą deskę.

— Gdzie znalazłeś?

— Koło Głębokiej Cieśniny — odpowiedział Monty. — Wczoraj wieczorem. Patrz: coś dryfuje po wodzie. Zauważyliśmy napis, więc Katakci skoczył i wyłowił. Czy to nie była zasadzka?

Bruce potrząsnął głową.

— Nic nie rozumiem!

Monty zadał nieuniknione pytanie:

— Co wiozł?

— Tripangi.

— Nic więcej?

— Cóż by więcej? — wrzasnął Bruce. — Cóż by mógł zabrać z Les Aves prócz tripangów? Gotowi powiedzieć, że miał ładunek złota.

— W takim razie miał coś oprócz tripangów — zaryzykował chytrze Monty. — Ty nie próbuj kłamać, Bruce, bo twarz cię wyda. Zresztą nie moja sprawa.

— Lepiej uważaj na Marlowe'a — dodał. — Zostawiam ci to drewno. Mam nadzieję, że znajdziesz siekiere, która to zrobiła.

Bruce pochwycił go za chude ramiona i obrócił ku sobie.

— Pełna tajemnica, pamiętaj!

— Jak to?

— Nikomu ani słowa — nakazywał Bruce groźnie. — Mam plan

— tylko mi go nie popsuj! Ani słowa o tym, co znalazłeś. Jeżeli ten, co to zrobił, jest na Les Aves, to ja go znajdę.

— Dobrze, dobrze. — Monty strząsnął z ramion natrętne ręce.

— Jak tam chcesz.

Wypił wódkę i zeszedł nad wodę. Marlowe zwrócił się do Bruce'a:

— Co zamierzasz przedsięwziąć?

— Kto tu przychodzi popić po zachodzie słońca? Pewnie prawie wszyscy obecni?

— A tak, cała przystań bez mała — przytaknął Hendry. — Tylko wypraszam sobie przelew krwi w sklepie. Przed trzema miesiącami kazałem świeżo pomalować i urządzić. Nim farba przyschła, Lars Olsen pobił się z jednym Hiszpanem. Lars jest jak wilk. Widziałeś go kiedy w walce? Nie? Połamał tamtemu żebra i wybił oko. Dzika bestia — jak Ridley.

— Gdzie jest Ridley?

— „Lampart” był rano na przystani. Ale ja tam nie szpieguję Ridley'a, przyjeżdża, czy odjeżdża. Chcę żyć!

Hendry zaczął przestawiać butelki z „Najlepszą Indyjską Chuitney”, i Bruce poznał, że rozmowa skończona. Zapłacił i wyszedł. Palmy stały nieruchome, nie poruszane najłżejszym wiatrem. Zaciągnięte niebo ciemniało od północno-wschodu złowrogą brunatną smugą. Bruce'a ogarnęła trwoga. Przeklęta wyspa! Czy Marlowe nie przepowiadał nieszczęścia? Pies zaszczekał cicho i dziewczęcy głos zawołał:

— Bill, cicho!

— Karola!

Bruce zagryzł usta. Ktoś musi jej powiedzieć. Marlowe, naturalnie. Zeszedł nad wodę i czekał póki koledze nie zabrakło obelżywych uwag na temat głupoty Kanaków.

— Wy wszystka Kanak jedna dureń! — wykrzykiwał z pasją Marlowe. — Bruce, widziałeś kiedy coś podobnego? Patrz, jak oni wyładowują paki. Czy dobrze widzę? Skrzynkę z maszyną do szycia postawili na cienkich pudłach z porcelaną. Twoja postawić wielka skrzynka tam — tam, Puahe. Twoja strzaskać jedna mała pudełko, Heniti bić — bić jak diabli!

Kanakowie przestawili ciężką skrzynię i Marlowe otarł czoło niebieską chustką ze szlaczkiem w kobiece główki.

— Na co ta burza czeka? — zapytał. — Zdaje mi się...

— Kto powie Karoli?

Marlowe, przed chwilą wściekły, ochłonał. Podrapał się w zamyśleniu za uchem.

— No, ty.

— Nie. Ty to lepiej zrobisz.

— Słuchaj — rzekł energicznie Marlowe. — Ja nie chcę. Klnij, rzucaj się, a ja jej nie powiem. Nie mam talentu do takich rzeczy. Potrafię chodzić koło dziewcząt, jak są chore, potrafię je kochać, ale żeby mi miały płakać w objęciach — nie!

— Roztrzęsiony — z powodu Hacketta — pomyślał Bruce. — Boi się powiedzieć. — Głośno rzekł: — Dobrze, ja jej powiem. Ale co będzie z małą? Nie może tu zostać sama...

— Zawsze była pod opieką tej starej, jak Hackett żeglował i było dobrze.

— Tak, ale zawsze wiadomo było, że wróci. Karola — ładna dziewczyna.

—Do czego zmierzasz? — zapytał ciekawie Marlowe.

—O, na Boga! Idzie!

Karola nadbiegła wybrzeżem z Billem u nogi. Piasek pryskał spod bosych stóp. Pełne czerwone usta rozchyliły się w uśmiechu.

Wielkie szare oczy dziewczyny spojrzały w przenikliwe niebieskie źrenice, które zmierzyły ją z wyrazem powagi.

—Rozchmurz się! — zawołała. — Co za ponura mina! Czy kto umarł?

—Pytasz, czy kto umarł?

Marlowe patrzył na śliczne, obnażone ramiona dziewczyny, na dumnie osadzoną główkę i serce mu się ścisnęło na myśl, że Hackett nigdy już nie zobaczy córki. Karola spojrzała gniewnie na Bruce'a.

—Co się stało, Bruce? Czy Marlowe zadźgał którego z Kanaków? Bruce milczał. Przeniosła oczy z jednego na drugiego. Na twarzy jej odbiło się zmieszanie i strach.

—Co się stało?

Bill czuł, że stało się coś niedobrego. Nikt nie zwrócił uwagi na jego hałaśliwe szczekanie, nie pociągnął za uszy, nie zgromił gniewnym słowem. Zaskomlił i jął się ocierać niespokojnie o nogi swej pani.

—Co się stało? — powtórzyła.

—Zła nowina — rąbnął Bruce. — Usiądź, dobrze?

—Jeżeli zła nowina, to wysłucham na stojąco. Mów.

— Idzie o twego ojca, dziewczyno. Czy wypłynął stąd w sobotę?

—Tak.

—Ilu ludzi wziął ze sobą?

—Trzech.

— Czy — nic cię w nim nie uderzyło?

—A co mnie miało w nim uderzyć? Był trzeźwy, jeżeli o to pytasz...

—A czy... jak spędził wieczór przed podróżą?



Karola zbladła. Zacięła usta na znak, że nie powie.

— Nie potrzebujesz mówić — wtrącił Marlowe. — Wiemy. Chodził do Fanchon. Ale, czy rano, zanim się udał na pokład, czy — czy był dobrej myśli?

— O, nie, był bez humoru — odparła Karola, szarpiąc nerwowo pasek. — I śpieszył się. Podniósł kotwicę o trzy godziny wcześniej, niż miał zamiar.

Bruce kiwał głową.

— Nie mówił ci, że ma ważny interes na Waihiti?

— Nie.

— Przy Point Henry nie minęliśmy się.

Karola dała krok naprzód.

— Mówcie, na Boga! co się stało?

— My sami nie wiemy — odrzekł poważnie Bruce. — Monty Hawes tylko co przybił. Przyniósł kawałek deski z szalupy „Jean Marie”. Hendry schował w sklepie. Znać ślady siekiery. Kto by rąbał szalupę na drzazgi? Twój ojciec nie byłby taki głupi.

W jasnych oczach dziewczyny odbiła się trwoga.

— Ktoś musiał się na niego zasadzić.

Cała krew uciekła z twarzy Karoli. Bruce wyciągnął rękę, żeby ją przytrzymać, lecz go odepchnęła.

— Tatuś! — szepnęła. — Tatuś!

Upadła na piasek, chowając twarz w ramionach. Marlowe usiadł niezgrabnie obok i gładził ciężką dłonią, lśniąca, ciemną główkę. Bill przywarł do stóp swej pani i leżał, dygocąc. Od północo-wschodu zahuczały pierwsze słabe grzmoty.

Karola podniosła kamienną, suchą twarz i spojrzała na Bruce’a.

— Jeżeli chcą zgładzić człowieka, to mu rozbijają szalupę — wyszeptala. — Tatuś nie żyje. Ktoś bał się, żeby czegoś nie powiedział. Dziwny był, udając się na statek. Myślałam, że mu było nieprzyjemnie,

— że się wstydził — bo nigdy nie chodził do Fanchon.

Nie mogła mówić dalej.

— Założę się, że Fanchon wie — rzekł Bruce i Marlowe przytaknął gwałtownie.

— Wie? Pewnie, że wie. Toż to prawdziwa dusza Les Aves, chciwa, pasożytnicza dusza tej przeklętej wyspy!

Znów zagrzmiało. Niebem nadciągał mrok. Pierwsze krople deszczu zaszemrały na piasku. Zerwał się wściekły wicher i wśród ogłuszającego świstu siekł morze, które zachłannymi falami skakało wyspie do gardła.

## II

Ridley wyszedł na brzeg zły jak wszyscy diabli. Przekłeta burza pokrzyżowała mu plany. Szedł wybrzeżem, podczas gdy Kanakowie pierzchali na jego widok, kryjąc się gdzie popadło. W przystani łodzie szarpały się na kotwicach wśród skłębionych wieńców piany. Na piasku leżały rzędem katamarany, wyciągnięte daleko poza zasięg chciwych fal. Ridley wszedł do Hendry'ego i zamówił mrucliwie podwójną porcję.

— Moc statków w przystani — zauważył gospodarz, podczas, gdy wódka lała się do szklanki z miłym pluskiem.

Ridley chrząknął.

— Idzie straszna burza. — Hendry nie dawał za wygraną. — Czy jeszcze raz, czy mam schować butelkę?

Ridley potrząsnął głową i poszedł do drzwi. Wiatr wzmagął się, palmy kołysały się od potężnych podmuchów. Ridley myślał: „Niedługo będzie po wszystkim”. Tak, ale statek na otwartym morzu nie miałby wielkich widoków na dobiecie do portu. Krótkie, kilkugodzinne niebezpieczne sztormy były przekleństwem grupy Pakahiki. Kanakowie przeczuwali je na długie godziny naprzód. — Gdyby nie sztorm — pieniał się Ridley — byłbym już w połowie drogi. — A tak — utknął tutaj na Les Aves na całą dobę. Patrzył ponuro na „Helenę” ze zwiniętymi żaglami, podrzucaną na falach. Dobry statek, chyży statek, ale gdzie mu tam do „Lampart a”? Przeniósł wzrok na swój i zrobiło mu się lżej na sercu. Ten statek był mu droższy niż którakolwiek z kobiet, jakie kochał. Miłował swego „Lamparta” z niewysłowioną dumą, kryjąc się z tą miłością zazdrośnie przed ludźmi...

Monty Hawes podszedł i stanął przy nim, wpatrzony w rozhukane fale o spienionych białych grzywach.

— Będzie piekielna burza — odezwał się z niepokojem.

— Co mówisz? — wykrzyknął Ridley tonem zaczepnej uprzejmości.

— Kto to powiedział?

Monty zaczerwienił się i umknął w kąt. Ridley poszedł za nim. Przyciągnął krzesło do kiwającego się stolika.

— Może zagramy?

— Nie — odparł Monty. — W tej podróży nie gram. Spłukałem się, słowo daję. Ja...

— Hendry, karty.

Hendry podał najmniej zbrukaną z pięciu talii i Ridley zgarnął karty wielkimi rękami.

Monty, odepchnąwszy krzesło, powstał chwiejnie.

— Siadaj.

— Nie gram.

Ridley wlepił w niego wielkie ciemne oczy. Monty chciał odwrócić głowę, i nie mógł. Przełknął nerwowo dwa razy i usiadł. Ridley zaczął rozdawać karty.

Burza rozszalała się na dobre. Wicher szturmował z rykiem budynek, aż kolorowe puszki podskakiwały na półce. W przystani statki tańczyły na wodzie niby korki. Huk piorunów zlewał się w jednostajną kanonadę z łoskotem fal.

Hendry pozamykał okiennice przed ulewą i wichurą. Rozbujana lampa kopciła w półmroku, rzucając na podłogę dziwaczne cienie. Raz po raz drzwi się otwierały i do szynku wpadali nowi goście. Hendry i jego Kanakowie musieli zatrzaskiwać drzwi wspólnymi siłami, tak jak się zamyka bramę w obłożonej fortecy. Zmierzch przeszedł powoli w noc. W szynku goście stali grupami. Twarze tchnęły niepokojem. Kanakowie rozniecili wielki ogień w szopie za domem i mokra woń parujących szmat przedostawała się aż tutaj. Monty Hawes przegrywał raz za razem. Inni przyglądali się grze obojętnie, dalecy myślami, niespokojni

o statki, zmagające się dzielnie z rozhukanym morzem. W izbie panowała cisza, przerywana głównie szelestem kart i brzękiem szklanek. Od czasu do czasu mrukliwy głos powiedział: „Jeszcze jedną, Hendry”. Powietrze zrobiło się ciemne od dymu, trudno było oddychać. Hendry spocił się, aż koszula oblepiła ciało. Scarlett z „Mory Rose” zaczął awanturniczą opowieść o przemyśle broni na Karolinach. Gardłowy głos rozbrzmiewał natarczywie, aż w końcu Bedells z „Hipolity” szczerknął gniewnie:

— Nie gładź. Chcę słuchać.

Nadstawili uszu w trwożnym oczekiwaniu na trzask, gdyby któryś statek zerwał się z cum i wpadł na skały. Scarlett wyglądał przez szparę w okiennicach, ale nieprzeniknione ciemności nie pozwalały nic zobaczyć. Coś szurnęło. To Monty Hawes odsunął krzesło i wstał.

— Dosyć! — oświadczył. — Niech to wszyscy diabli! Ograłeś mnie prawie co do grosza, Ridley. Marlowe, teraz ty. Co zamawiasz?

Czy to trzask drewnianych wiązań?

— Proszę o podwójną — rzekł z roztargnieniem Marlowe. — A tam co, do stu piorunów?

W drzwiach szopy, gdzie suszyły się ubrania, zrobiło się hałaśliwe poruszenie. Wszedł przemoczony do nitki Kanak potykając się i mrugając wskutek nagłego oślepienia światłem. Zadyszany, stanął przy bufecie

1 rozglądał się za kimś. Zatrzymał wzrok na Scarlecie.

— O, Sekeleti, twoja przyjść prędko — prędko zobaczyć Faniton. Faniton mówić Sekeleti przyjść zaraz — zaraz!

Nastała chwila milczenia. W oczach Scarletta zagrały dziwne, radosne ogniki. Był to przystojny wysmukły facet o chłodnych orzechowych oczach i kobiecej cerze. Na wezwanie Kanaka krew uderzyła mu do twarzy. Inni spoglądali na niego ciekawie.

— Twoja iść, Sekeleti — nalegał posłaniec.

Scarlett odsunął go gestem. Zadymiona izba przybrała wygląd obrazu Wnętrze z Postaciami. Nikt się nie poruszył. Nikt nie próbował przekonać Scarletta, że to szaleństwo wychodzić z domu przy takim huraganie. Nikomu nie przyszło do głowy, że mógłby odmówić.

Kanak wyczerpany, osunął się ciężko na krzesło. Hałas rozładował napięcie. Scarlett wychylił swoją szklankę i narzucił kurtkę. Kazał Kanakowi wstać i obaj zaczęli, żeby Hendry odryglował drzwi, co ten uczynił z wielkimi ostrożnościami. Scarlett popatrzył triumfalnie po twarzach naokoło. Gdy wyszedł, trzej goście pomogli gospodarzowi zaprzeć drzwi.

— Niech mnie diabli, jeżeli on się tam dostanie z nierozmiękczonego mózgiem — mruknął Monty. — To nie kwietniowa ulewa! Bruce, ile przerznąłeś?

— Nic. A bo co?

Inni znów popijali bez zapału. Ten ryk morza, ten łoskot wichury, te statki, zagrożone rozbiciem...

Bruce rozejrzał się naokoło. Czekał, póki nie umilkła dorywcza gadanina. Wtedy rzucił pytanie:

— Ciekaw jestem, dokąd zaniósł Hacketta?

— Hacketta? — powtórzył mimo woli Monty Hawes.

Marlowe milczał, ale jego niebieskie oczy wypatrywały reakcji w poruszonych twarzach, które zwróciły się do Bruce'a.

— Wyplłynął w sobotę, prawda? — odparł Bedells napełniając fajkę. Przybił drobno krajany tytoń wskazującym palcem, u którego brakowało końca z paznokciem. — Jak mógłby już tu być?

— Jest na wyspie — oznajmił Bruce. — Widziałem go.

— Widziałeś go?

— Tak. Tuż przed burzą. Szedł wybrzeżem koło palm. Nie widział mnie, ale ja go widziałem. Był biały — biały jak widmo.

Marlowe zerkając ukradkowo, znalazł to, czego szukał. Dawno już przekonał się, że człowiek zdradza się nie twarzą, lecz rękami. Ręka Ridley'a zacisnęła się na szklance tak silnie, że knykcie zbieleły. Za to w twarzy nie drgnął ani jeden muskuł. Mogło się wydawać, że Ridley nie usłyszał słów Bruce'a, ale szklanka — zgnieciona — trzasnęła. Wrzucił odłamki do kubła i zawołał o nową. Marlowe odwrócił się. Wiedział już, z kim będą mieli do czynienia.

— Hackett wypłynął w sobotę — powtórzył z pijackim uporem Bedells. — Mówię wam. Widziałem na własne oczy — hep! Widziałem, jak podniósł kociwicę. Hendry, a dajcie mi jeszcze takiej lury, to rozwalę...

— Musiałem się omylić — wtrącił Bruce.

Upływały godziny. Koło północy burza osiągnęła najwyższe natężenie. Musieli wrzeszczeć; inaczej rozmowa była niemożliwa. Noc huczała rykiem morza, szturmującego do brzegów, chciwego na ludzkie siedzi- by. Bedells rozwalił się na dwóch krzesłach, z otwartymi ustami, z fajką w ręku. Ridley grał w pokera z Cosway'em z „Nagietka”.

Nagle Cosway odezwał się:

— Hackett przemoknie, jeżeli jest na deszczu.

— Już tam z pewnością przemókł do nitki, — przytaknął Monty.

— Nasiąknął jak topielec.

— Jeżeli sztorm złapał go na morzu, to mógł utonąć — zauważył Cosway nie podnosząc oczu od kart. — Ba! — nic łatwiejszego!

— To wróci — wtrącił Hendry z zamyśleniem w oczach, odmierzając „Jamajkę”. — Topielec wraca na ląd. Dusze umarłych nie mogą zaznać spoczynku na morzu. Zawsze starają się dostać na ląd, niebożęta. Krewny mojej matki utopił się na Świętego Michała w Moray Firth. Łódka poszła na dno, ciała nie znaleźli. Jak tylko zaczęły się pierwsze zimowe burze, jak tylko wiatry zaczęły dmuchać koło domu i śnieżyce zawiąły dolinę, wrócił. Siedzieliśmy koło torfowego ognia, a tu pukanie we drzwi. Otwieramy — nikogo, tylko śnieg tańczy w powietrzu. Ale moja matka jest jasnowidząca i zobaczyła go. Stał za progiem szary i zmoknięty. Mówiła, że skinął ręką i odszedł doliną. Wrócił na ląd, rozumiecie.

Marlowe wstrząsnął się.

— Daj pokój mokrym upiorom. Och, Boże! Znowu palma. runęła. Ciekaw jestem, czy Scarlett już zaszedł na miejsce?

— On!?! — Monty Hawes postawił szklankę z rozmachem. — Ten dureń!?! Bo,

żeby wychodzić w taką niepogodę!

— Gdyby po ciebie przysłała — odpowiedział Hendry — też byś poszedł.

Popatrzył na grupę, obserwującą grę w pokera, na Bedellsa, chrapiącego na krzesłach, na Marlowe'a i Bruce'a, pociągających w milczeniu ze szklanek.

— Każdy z was — dodał — każdy mężczyzna na Les Aves, na wezwanie Fanchon przedarłby się przez ogień.

W jego małych oczkach migotały błyski, ręce szarpały nerwowo korkociąg.

— Przez ogień — powtórzył. — I w końcu każdego wpędziłaby w ogień. Kanakowie wiedzą, co o niej myśleć. Jak to ją nazywają? Czarownicą z białymi rękami. O! możesz się śmiać, Bruce. Wiesz dobrze, jak jest.

Twarz mu się kurczyła, zaczął mówić ze szkockim akcentem. Był to znak, że jest mocno poruszony.

— Czekaj, Bruce, niech tylko rzuci okiem na ciebie, powiadam ci. Niech tylko podniesie rękę i zawoła cię nocą, a pójdziesz — popędzisz, choćbyś szedł na pewną śmierć.

Cosway zawołał o lemoniadę i Hendry odszedł do bufetu. Marlowe, pochyliwszy się nad wyslizganym blatem, mruknął półgłosem:

— Widziałeś, co Ridley zrobił ze szklanką?

Bruce kiwnął głową.

— Cosway wygrywa — ciągnął Marlowe. — Ridley akurat przegrał partię. Przysłuchiwał się opowiadaniu gospodarza. Strach go obleciał.

Popatrzył na swoje ręce, porysowane nabrzmiałymi, niebieskimi żyłami. Opalona twarz drgnęła uśmiechem, który nie dochodząc do rozognionych oczu, rozciągnął usta w złowieszczy łuk.

## ROZDZIAŁ III

### I

O świcie na wybrzeżu ukazała się Karola. Wiatr zamarł, na blednącym niebie nie było śladu chmur. Morze jeszcze się burzyło i ciskało jak rozjuszony byk, z gniewnym rykiem zamiatając wybrzeże, widmowo białe o tej wczesnej godzinie. Drzwi lokalu Hendry'ego otworzyły się na oścież i żeglarze, których statki walczyły całą noc ze sztormem, podążyli nad morze wypatrywać trwożnie, w nie-

pewnym światłem, czy wszystkie ocalały. — Pozdrowili niedbale bosonogą dziewczynę, gdy ich minęła w biegu, ale ta jakby nikogo nie widziała. Dyszała głośno, w żrenicach świecił strach. Pędziła do szynku.

— Hendry, Hendry!

Wyszedł na wołanie, z oczami czerwonymi od niewyspania, ze ścierką od szklanek w ręku.

— Co takiego?

Chwyliła go za rękę.

— Zuzanna, Zuzanna... O! dajcie trochę wódki. Zdaje mi się, że nie żyje. Leży, przygnieciona palmą.

Kilku ludzi już biegło ku chacie, w której Karola mieszkała ze starą Zuzanną. Tu Hackett zamieszkiwał, wracając z morza. Tutaj przed pięciu laty umieścił córkę. Tutaj dziewczyna wyrosła pod niedbałym okiem Zuzanny, która stosowała ściśle przepis Salomona o nieoszczędzaniu różgi. I teraz oto, stara Zuzanna leżała na wznak na ziemi, przywalona palmą, która wydusiła z niej życie. Kaprawe oczy były szeroko otwarte, pomarszczone ręce zdawały się odpychać morderczy pień. Odciągnięto drzewo i Hendry zbadał, czy bije serce. Stwierdził krótko:

— Trup.

Zaniesiono ją do skromnej izdebki, którą nazywała bawialnią. Na stole, pośrodku leżały poprawne tomy Good Words z lat 1876 i 1881, odłamek koralu pod szklanym kloszem i trzy muszle na wełnianych podkładkach. Ściany pomalowane na chłodny niebieski kolor miały za ozdobę cztery obrazki: staloryt, wyobrażający Sąd Ostateczny; kolorową Ofiarę Abrahama, bo Abraham był w niebieskiej szacie, a Izaak w zielonej; straszliwie krwawą Śmierć Rufusa i — o niespodzianko!

— barwny drzeworyt z Bachusem i Ariadną. Bruce wchodząc w niskie drzwiczki, w których musiał się pochylić, zdumiał się płomiennymi barwami obrazka. Spojrzał na twarz zabitej niejako z zapytaniem, jaki zagadkowy instynkt, jaki tajemny głód piękna kazał jej zawiesić na ścianie tę nieśmiertelną parę.

Trzej żeglarze poczuli się nieswojo w tym ubogim pokoju, jakby żywcem przeniesionym z angielskiej wioski rybackiej. Pierwsze promienie słońca przedarły się przez gęstą mgłę, wpadły przez okno i oświetliły twarz i postać Karoli, niemej i bladej nad uciszoną na wieki piastunką.

Hendry chwiały głową.

— Zły koniec — zawyrokował. — Niedobrze jest umierać i szarpać się. Czemu ona wyszła, Karola?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Nie wiem, Hendry. I co — co ja teraz zrobię?

— Jak to — co masz zrobić?

— No, tak. Zostałam sama.

Hendry podrapał się po głowie.

— Tu nie możesz zostać, to się rozumie. Van Kloort musi się tobą zająć.

Słyszając to nazwisko słaby rumieniec wystąpił na bladą twarz dziewczyny.

— Nie — syknęła. — Do niego nie pójdę, choćby nie wiem co.

— Sza! Nie zapominaj, że to rezydent. Nie wbijaj sobie w głowę, że uda ci się go nie posłuchać.

— Tak, on rządzi na Les Aves — wtrącił Monty. — Hendry dobrze mówi. Jak Van Kloort rozkaże, to będziesz musiała posłuchać. Kto powinien zapewnić ci opiekę, jak nie on? Od czego on tu jest?

— Nie chcę! — krzyknęła Karola, nie zważając na obecność zmarłej. — To wieprz!

— I cóż zrobisz? — rozżłościł się Monty. — Młoda kobieta nie może mieszkać sama, zwłaszcza, że tu się roi od Kanaków. Będziesz musiała zamieszkać w Domu, było, nie było — (rezydencję Van Kloorta nazywano Domem) — bo inaczej Pan Bóg wie, co się z tobą stanie. Na całej wyspie nie ma drugiej białej kobiety oprócz żony Van Kloorta.

— Jest...

— Fanchon? To nie kobieta.

— O, dajcie spokój! — Łzy popłynęły z oczu Karoli. — Do Domu nie pójdę. Nie znoszę rezydentowej. Okropna, zwiędła — strzęp. Zostanę w tym domku. To straszne, żeby kobiety musiały zawsze słuchać rozkazów mężczyzn.

— Baj baj! — rzekł ostro Bruce. — Jesteś roztrzęsiona, to mówisz od rzeczy. Smarkata, nie znasz Kanaków? Bali się twojego ojca i bali się Zuzanny, ale niech się dowiedzą, że jesteś sama...

Karola przerwała mu wyniośle:

— Dosyć tego. Dobrze. Przeniosę się na jakiś czas do Hendry'ego.

Spojrzała na zmarłą.

— A z nią — co?

— My się tym zajmiemy — odparł z pośpiechem Monty. — Ty idź z Hendry'm.

Patrzyli, póki drobna postać idąc znużonym krokiem, obok szynkarza nie znikła między palmami. Monty Hawes znalazł wśród rupieci w przybudówce zardzewiałą łopatę. Po ulewie ziemia była mokra i choć we trzech kopali grób,



spocili się z wysiłku. Padre z Waihiti przyjeżdżał raz na trzy miesiące. Należało się spodziewać, że ktoś z pewnością go tu

przyprowadzi, aby zmówił modlitwę za duszę Zuzanny.

Wykopali głęboki dół w szlamowatym gruncie. Marlowe znalazł starą skrzynię, z której zrobił prostą trumnę. Złożyli w niej sztywniejące ciało i Monty przyłożył wierzch deskami, zabierając się do wbijania gwoździ.

— Zaczekaj — powstrzymał go Bruce.

— Dokąd on pobiegł? — zapytał Monty. — Biedna stara — miała ostry język. Bóg wie, co to była za jedna. Słyszałeś coś o niej? Ja też nic nie słyszałem. Hackett wytrząsnął ją skądś, do pilnowania córki.

— A ten głupi, co sobie myśli?

Bruce wrócił z naręczem hibiskusów, którymi zasypał zwiędłe ciało starej kobiety. Kwiaty białe, żółte, szkarłatne, były jak symbol ulotnego piękna tych wysp, młodości, samego życia.

Wynieśli trumnę na dwór i Marlowe przeczytał modlitwy za zmarłych, z postrzępionej książki, którą znalazł w chacie.

\*

\* \*

U Hendry'ego, Karola, siedząc z zasepioną twarzą na wysokim stołku, czekała na Van Kloorta.

Hendry zlekceważył zuchwałe słówka dziewczyny, łzy, protesty. Poszedł spokojnie do Van Kloorta. Znał rezydenta i wiedział, że dygnitarz byłby wściekły, gdyby mu od razu nie dano znać o tym, co się stało. Karola mogła sobie pomstować — (i nie żałowała tchu) — on tylko wykręcił się do niej plecami, włożył czysty fartuch i poczłapał do Domu.

Karola została sama. Kopnęła Billa, który ujadał jak wściekły.

— Ty diablico! — powiedział leniwy głos.

Podnosząc głowę, spojrzała gniewnie. W otwartych drzwiach stał Ridley mierząc ją bacznie ciemnymi źrenicami. Okrutne, wąskie usta rozchyłały się w uśmiechu. Coś w jego twarzy przejęło Karolę drżeniem. Wychowała się wśród mężczyzn i była oswojona z ich kapryсами, przekleństwami, pragnieniami. Po spojrzeniu poznała jego zamiary tak wyraźnie, jakby je wypowiedział słowami. Ogarnęła ją nagła trwoga przed bezpośrednim niebezpieczeństwem. Ściany zawirowały jej w oczach. Gdy się opamiętała, spostrzegła, że Bill, zaparty łapami u jej nóg, warczy groźnie.

— Bez humoru?

Ridley przesunął wzrokiem po postaci dziewczyny, od opalanej szyi poprzez jędrny biust, do okrągłych bioder. Takie cudo wyrosło z długonogiego podlotka! Dziw, jak nagle przeobraziła się w kobietę, niemal z dnia na dzień. Kto by to pomyślał, że wyrośnie na piękność? Ridley miał dziesiątki kochanek i czuł przesyty. Uroda i zuchwała zaczepność otwierały mu serca wszystkich kobiet od Degas do Waihiti. W ślad za sukcesami płynęła nuda. Co za przyjemność kochać się, gdy dziewczyna poddaje się bez walki? Nigdy żadna kobieta nie stawiała mu oporu, począwszy od żywych, pulchnych Markizanek, skończywszy na kapryśnej ślicznotce, żonie gubernatora Degas. Dopiero teraz ta smarkata, ale ponętna i ognista, odparła wyzywająco jego zaczepne spojrzenie. — Kocica — pomyślał — nieokielznane, dzikie stworzenie! Broniłaby się zębami i paznokciami, ale by ją uspokoił...

Postąpił w głąb izby.

— Czy to prawda, że Zuzanna nie żyje?

Karola skinęła głową.

— Żałujesz jej?

— Biła mnie, jak byłam mała — rozpamiętywała dziewczyna — i zawsze się jej bałam. Po całych dniach śpiewała hymny. Trudno było wytrzymać. Raz zapytałam, dlaczego nie śpiewa Pieśni Salomona. Myślałam, że mnie uderzy, ale skończyło się na strachu. Tylko spojrzała bardzo dziwnie.

— Skoro umarła, to co teraz będzie z tobą? — pytał Ridley. — Nie możesz mieszkać sama.

Karola popatrzyła na niego chytrze.

— Kto powiedział, że będę sama?

Ridley spostrzegł swój błąd. Postarał się go zatrzeć.

— Mówili, że twój ojciec nie pokazał się koło Point Henry.

— To jeszcze nie dowód, że utonął — odparła ostro.

Uwodziciel nie napierał. Przybrał znudzoną minę.

— Ale nawet jeżeli wróci — dodał — to będziesz się musiała gdzieś przenieść. Dąsy nie zdadzą się na nic. Sama rozumiesz, że nie możesz zostać w chacie bez opieki.

— Dlaczego?

— Ach, smarkata, nie znasz Kanaków?

— I Kanaków znam, i nie — Kanaków.

— Gdzie Hendry? — zapytał zniecierpliwiony Ridley.

— Poszedł do Van Kloorta.

Ridley kiwnął głową.

— Nic lepszego nie mógł wymyślić. Dobrze zrobisz, jak się przeprowadzisz do Domu. Pani rezydentowa zaopiekuje się tobą.

— Ona! Ona pchłą by się nie umiała zaopiekować. Na co to gadać? Dobroczynna ciocia, co, zaopiekuje się biedną sierotą? Zawracanie głowy. Przecież ją powinni wsadzić do domu dla przygłupów.

Ridley rechotał.

— Masz ostry języczek. No, ale gdzie się w takim razie podziejesz? Masz do wyboru albo Dom, albo — albo Fanchon.

— Fanchon? Wpierw się powieszę. O! na Boga! Idzie Van Kloort.

## II

Rezydent wszedł ciężkim krokiem i zwałił się na krzesło. Wyjawszy szkarłatną chustkę, wycierał żółtawą łysinę i spoconą twarz. Następnie podciągnął niepokalanie białe spodnie, poprawił krawat i wziął szklanke, którą mu napelnił gospodarz. Wypił duszkiem z pomrukiem błógiego zadowolenia i obejrzał się na Karolę.

Ta siedząc na swojej grzędzie, spoglądała na niego nieprzyjaźnie. Zmarszczył brwi.

— O co chodzi? — zadudnił. — Stara Zuzanna nie żyje, co? A ty zostałaś sama, co?

— Jak to sama?

Van Kloort rozgniewał się.

— Przecież ojciec nie wrócił, co? Jeżeli w nocy był na morzu, to nie wróci. Co tu gadać? Ha! co tu gadać? Nie wróci. No, — dodał z niechęcią

— musisz zamieszkać w Domu.

— Nie chcę.

— Ty tu nic nie masz do gadania. — Rezydent sapał z gorąca i rozdrażnienia. — Myślisz, że pozwolę ci się obijać samej po wyspie, co? Tak nie wypada. Tak nie można. Dziwię ci się, moja mała. Nie tak dużo wody sodowej, Hendry. Straci smak.

— A jeżeli ja wolę mieszkać sama?

Van Kloort wychylił szklanke. Oczy miał groźne.

— Ja na to nie pozwolę. — Zwilżyła usta. — Przyślę kobietę po twoje rzeczy i pójdziesz zaraz do Domu.

— Nie pójdę.

— Ale maruda!... Bez wody sodowej, Hendry. Słuchaj, ty, kozo, musisz mnie posłuchać i już. Rozumiesz, co? Rozumiesz?

— Proszę na mnie nie krzyczeć — powiedziała z urazą Karola.

— Nie jestem głucha. Niech tam, pójdę.

— No, chyba — sapał Van Kloort. — No, no, chyba!

Dźwignął z krzesła ciężkie cielsko i sięgnął po panamę.

— Przyślijcie Perriera — rzekł przez ramię do gospodarza. — Przed południem. Idziesz, smarkata?

Karola zsunęła się ze stołka i poszła za nim niechętnie. Ridley cofnął się, robiąc jej przejście. Mniej doświadczony uwodziciel skorzystałby z okazji i uszczypnął dziewczynę, czy pomacał. On wolał zaczekać. Karola wyszła na słońce i wlokła się za rezydentem wąską ścieżką pod górę. Spłoszona dzika kura wyrwała im się spod nóg ze swego piaskowego gniazda. Ridley stojąc w progu, patrzył za dziewczyną. Karola urwała gałązkę jaśminu i rzuciła za siebie. Za chwilę znikła za zakrętem.

Wyczuwszy, że stanęli za nim Marlowe i Bruce, Ridley obejrzał się z nagłym przestraszeniem.

— „Lampart” powrócił szczęśliwie? — spytał Bruce.

— A jakże.

— To „Jean Marie” gorzej się poszykowało.

— Co ma jedno do drugiego?

— Widziałeś Hacketta?

Ridley musnął językiem zeschłe usta.

— Nie.

— Dziwne.

— Jak to — dziwne? „Jean Marie” nie przybiła do portu.

— Bo już pewnie leży na dnie.

— To po co, u diabła, pytacie, czym widział Hacketta? Jeżeli statek zatonął, to nie mógł wrócić.

— Nie wiadomo, co mogą umarli — zauważył Marlowe.

Ridley odwrócił się do nich plecami.

— Umarli? Skąd wiecie?

Marlowe nie odpowiedział i wszedł do szynku. Bruce został z Ridley’em. Ten

zaśmiał się nerwowo.

— Czy Marlowe jest wstawiony?

— Nie. Czy Karola poszła z Van Kloortem?

— Tak.

— To idę za nią.

— Ty? Po co?

— Bo mi się tak podoba. — I Bruce oddalił się z pośpiechem. Marlowe, który właśnie pociągał różową wódkę holenderską, pokręcił głową na ten widok.

— Głupiec — rzekł do gospodarza. — Patrzcie, aż się za nim kurzy. Van się od razu zorientuje. Nie mógł poczekać?

— Może uznał, że lepiej nie czekać — odrzekł Hendry. — Zamknij okiennice. Będzie upał.

— Ochłodziemy się pod ziemią. A Ridley gdzie?

Hendry obejrzał się przez ramię.

— Biegnie do Domu — rzekł, patrząc za wysoką postacią, pomykającą ruchami pantery.

— Słowo daję, komitet opieki nad sierotą, — uśmiechnął się Marlowe. — Van Kloort, Ridley i Bruce. O czym też będą mówić?

Osukienkach?

Przesunął dłonią po kolbie rewolweru. Spoważniał.

— Pójdę tam, żeby być na zawołanie. Może którejś damie trzeba będzie nawlec igłę.

— Czy poszaleliście? — zapytał Hendry.

Marlowe sunął za Ridley'em, trzymając się w cieniu zarośli. Kto może wiedzieć, jak się to wszystko skończy? Co wie Van Kloort? Czego się obawia Ridley? Pałace p e k i zostawiało ślady na rękach Marlowe'a. Zapach jaśminu poprostu dusił. Marlowe przystanął i obejrzał się na przystań, na „Helenę”, zakotwiczoną, rwącą się niecierpliwie do żeglugi. Powietrze przesyciły wyziewy właściwe tej wyspie. Woń mokrej ziemi i schnących liści. Olbrzymia jaszczurka przeszła leniwie tak blisko, że mógł dotknąć połyskliwego grzbietu. W górze wrzeszczały i jazgotały papuzki, śmigając na tle błękitu kolorowymi smugami, szkarłatnymi, szmaragdowymi, złotymi. Les Aves była tak piękna, iż człowiek, oczarowany urokiem poranka, mógł zapomnieć o jej okrucieństwie, złowieszczych podstępach, zdradzieckiej naturze.

Ktoś nadchodził ścieżką. Marlowe skrył się i patrzył. Scarlett! Stąpa wolno, w

oczach odbicie wizyty u Fanchon: strach, wspomnienie szaleństwa, gorzki wstyd, nie wiadomo co przeważa. Idzie jak ślepiec, potyka się, podskakuje, nie patrzy ani w prawo, ani w lewo. Wlecze się do przystani.

Spomiędzy palm wychynął biały Dom, niski i długi. Stał na pagórku wśród pomarańczowego sadu, zasadzonego przez Van Kloorta. Okiennice już zamknięto przed nadejściem upału. Na ganku w cieniu siedziała żona rezydenta. Obok niej leżał zwinięty czerwony parasol. Była to drobna nerwowa kobietka, którą Van Kloort pojął za żonę chyba w przystępie obłędu. Na jej bladej, nijakiej twarzy malował się stale wyraz nasłuchiwania. Istotnie stale nasłuchiwała kroków męża. Bała się go i nie obdarzyła potomstwem.

Splwiała źrenice kobiety, bystre, bo od tyłu już lat śledziły stale ruchy domowego tyrana, spostrzegły Marlowe'a zanim zdążył się ukryć. Nerwowe ręce zgarnęły szycie i dawały natarczywe znaki, żeby przyszedł i usiadł przy niej na ganku.

— O, panie Marlowe, proszę tu do mnie — w cień. Taki upał. Czy nie okropny upał? Naprawdę potwornie gorąco, czy nie uważa pan?

Nie nauczyła się przyjmować tych upałów jako rzeczy zwyczajnej, niezmiennej. Podsunęła trzciniowy fotel i Marlowe usiadł ze strachem, gdyż kruchy mebel trzeszczał pod jego ciężarem.

— Może stołeczek pod nogi? Ja tak lubię. To tak wygodnie.

— Dziękuję — odparł Marlowe. — Nie, dziękuję. Obejdzie się.

Rozglądał się czujnie, ukradkowo, jednocześnie wyęzając słuch, czy nie usłyszy Bruce'a. Gdzie się ten głupiec podział? A Karola — gdzie ona jest?

Rezydentowa szła pracowicie. Siedziała na bujanym fotelu, przechylając się irytująco w tył.

— Taka smutna nowina przy pięknym poranku, nieprawdaż, panie Marlowe? Och, Boże! biedna, stara Zuzanna! A ta okropna dziewczyna...

Marlowe zeszywniał.

— ... po prostu okropna, ale mąż uparł się, żeby ją tu sprowadzić. O! tak! wiem o niej. Widywałam ją jak biegała po wybrzeżu ze swoim kundlem. Naturalnie, zawsze żał takich ludzi i mąż zarządził, że zatrzymamy ją do powrotu ojca. Lekkomysłny człowiek. W takim czasie nie być w domu!...

— Dziewczyna musi się gdzieś podziać.

— Tak, ale dlaczego my ją mamy brać? To wielki kłopot. Rzadko przyjmujemy gości na dłużej. Naturalnie, to nie jest panna dobrze ułożona... Słucham pana?

— Ja — tego — zajmuję czas łaskawej pani. Mogę zapytać, czy Bruce tu gdzie

jest?

Dama pokazała głową w kierunku otwartych drzwi.

— Jest tam — odpowiedziała z niezadowoleniem. — Ale niech pan lepiej tu poczeka. Rozmawia z mężem. O! Idzie ta — idzie Karola. Moje dziecko, czy już przynieśli twoje rzeczy?

Karola przerzuciła swobodnie nogę przez balustradę ganku.

— Tak, Bill też jest.

— Bill?

— Mój pies.

— O! — zaszemrała bezradnie pani domu. — O! Nie mamy miejsca

— u nas nigdy... Obawiam się, że mąż się nie zgodzi.

— Ja się tu nie napraszałam i Bill też nie — przypomniała chłodno Karola. — Muszą się państwo pogodzić z naszą obecnością.

— Póki ojciec nie wróci — westchnęła rezydentowa.

Karola zbladła i zwróciła oczy na Marlowe'a. Młody człowiek wstał.

— Może pójdziemy po Billa — zaproponował. — Łaskawa pani pozwoli.

Zsadził dziewczynę z barierki, nie zważając na zgorszenie pani, i oboje poszli w stronę pomarańczowego sadu. Karola wsunęła mu od niechcienia palce pod ramię. Przycisnął je do boku na znak współczucia.

— Nie oglądaj się — szepnęła. — I nie przyśpieszaj kroku. Muszę mówić prędko. Może nie ma czasu do stracenia. Nie rozglądaj się, ale jeżeli zobaczysz Ridley'a, to mi powiedz.

— Szedłem za nim, to musi tu gdzieś być.

— Do domu jest też wejście od tyłu. Obejdziemy naokoło. Mógł wejść.

— Boisz się go?

— Trochę. U Hendry'ego przyglądał mi się cholernie zaczepnie. Pewnie on i Van Kloort wiedzą, co się stało z moim ojcem.

— Masz słuszość. Ridley coś wie, a co on wie, nie jest tajemnicą dla Van Kloorta. Ciekaw jestem...

— Czego?

— Twój ojciec starał się o koncesję perłową koło Paiku. Nie ganię go, ale ja i Bruce uważaliśmy, że obejdzie się bez koncesji. Kto by zabronił płynąć tam bez koncesji? Radziliśmy spróbować. Ale Hackett nie — i nie. Pomyśl, jeżeli się wyprawić samowolnie na wyspę i zagarnąć, co się tam znajdzie, to ostatecznie mogą człowieka wpakować do więzienia na Amanu. Uważają, że to kradzież. A co odbiorą, zabiera rząd. Ale kto kupi koncesję, ten jest w porządku. Rząd zabiera

część zysków. — Niewielką — a reszta zostaje. W każdym razie na naszych wyspach jest takie prawo. Gdzie indziej może być inaczej. Według mnie, jak tylko twój ojciec poprosił o koncesję na Paiku, stary Van zaczął coś wietrzyć.

— Czy ojciec przyznał się, o co mu naprawdę chodziło?

— Nie, naturalnie, że nie. Taki głupi by nie był. Ale Van Kloort i tak mógł się dowiedzieć.

— Jakim sposobem?

Marlowe zatrzymał się i stanął przed Karolą.

— Gdzie ojciec był przed odjazdem?

Zrozumiała.

— Myślisz, że wyciągnęła z niego?

— Z diabła by wyciągnęła, gdyby zechciała.

Karola szła dalej w milczeniu. Obchodzili dom, na którego tyłach o tak wczesnej godzinie panował cień. Z tej strony okna były otwarte, a z wnętrza dolatywał szmer rozmowy. Karola przytrzymała towarzysza za rękę i oboje podsunęli się możliwie blisko pod dom. W pokoju stał Bruce, plecami do ściany.

## ROZDZIAŁ IV

### I

Z nadętej, czerwonej twarzy rezydenta biły strach i przebiegłość. Wodził oczami od Bruce'a do Ridley'a, od Ridley'a do Bruce'a. Tłusta biała ręka, oparta o błyszczący stół, miała nerwowo strzęp papieru. Po porannej przechadzce płócienny kołnierzyk koszuli wyglądał jak mokra szmata. Biały garnitur był zmiętoszony i przybrudzony.

— Nie rozumiem — irytował się — nie rozumiem, z jakiej racji do mnie z tym przychodzisz. Skąd ja mogą wiedzieć, co się stało z Hacket-tem? Myślisz, że go schowałem do kieszeni, czy co?

— Więc pan gubernator nie wie, gdzie on jest? — rzekł Bruce.

— Skąd. Nie bądź głupi.

— Pan gubernator widział się z nim w piątek.

— Owszem — przyznał Van Kloort swobodnie i uprzejmie. — Był u mnie z interesem.



— W sprawie koncesji.

— Więc wiesz? A ja myślałem, że on to trzymał w tajemnicy.

— Miał prosić o koncesję perłową i prawo lądowania na Paiku — uzupełnił cierpko Bruce.

Von Kloort kiwnął głową.

— Tak, tak.

— Udzieliłby jej pan gubernator?

Rezydent uśmiechnął się.

— Wiesz, że z zasady nie udzielam koncesji perłowej więcej niż jednej osobie. Koncesję perłową, w tym wypadku połączoną z prawem lądowania, już dałem komuś innemu.

— Już!?

Van Kloort uśmiechnął się słodko.

— Hackett się spóźnił.

Krew uderzyła Bruce'owi do głowy. Zaczął się trząść.

— To kłamstwo — wykrztusił. — Ja nie... dam się... oszukać... Nie mógł mówić. Przesunął wzrokiem od rezydenta do Ridley'a.

Ten, obojętny i chłodny, nie pośpieszył mu z pomocą. Ale w ciemnych oczach tliła się triumfalna świadomość rzeczy. Bruce'a ogarnęła wściekłość. Odzyskał głos.

— Pan... pan gubernator dał — dał tę koncesję Ridley'owi? Może nie prawda? Niech pan mówi!

— Tak

Było to pierwsze słowo, które padło z ust Ridley'a od chwili, gdy wszedł. Bruce wpadł na niego.

— Czy to ma znaczyć, że od piątku byłeś na Waihiti i zdążyłeś wrócić. I masz już drugi podpis? Koncesja jest ważna, jeżeli jest podpisana przez gubernatora i Carruthersa, inaczej nie.

— Wiem.

— Łżesz, Ridley — jęknął z rozpaczą Bruce. — Droga na Waihiti i z powrotem trwa osiem dni.

— Myślisz, że on dopiero teraz pomyślał o Paiku?

— Nie myślał, póki nie usłyszał, że Hackett stara się o tę wyspę.

— Przeciwnie — rzekł z namaszczeniem Van Kloort — przeciwnie, mój kochany Bruce. Jesteś porywczy, młodzieńczy, zbyt porywczy. Paiku nie wyłoniła się z morza przez jedną noc. Ridley zaczął zabiegać o koncesję rybacką

trzy miesiące temu. Osobiście uważam, że obaj jesteście w błędzie. Tam nie ma pereł, wierzcie mi. Na wyspie też nic nie ma. Nic, rozumiecie? Ale przygotowałem papiery dla Ridley'a. Będąc ostatni raz na Waihiti, przedłożył je gubernatorowi do podpisu. Może znasz pismo Carruthersa?

— Widziałem.

— To poznałbyś podpis, co?

— Poznałbym.

— Więc patrz.

Ridley rozwinął dokument. Suchy papier szeleścił w ciszy. Rozwinął, rozpostarł zręcznie jedną ręką na stole, podczas gdy drugą sięgnął znacząco do pasa.

— Przeczytaj.

Bruce'owi pociemniało w oczach. Wiedział, że Ridley przyparł go do muru. Jakież było głupi, że wmanewrował się w tę kabałę sam jeden! Czemu nie czekał na Marlowe'a? Kroplisty pot wystąpił mu na czoło. Przeczytał dokument od góry do dołu. Zamaszysty podpis: „George Carruthers”. Podpisy Van Kloorta i Ridley'a. W sercu Bruce'a wezbrała wściekłość i rozpacz. W pokoju panowała cisza tak głęboka, że słycać było stłumione cykanie zegarka rezydenta.

— To jakiś figiel — rzekł chrapliwie. — Skąd ja mogę wiedzieć, czy ten papier nie jest sfalszowany?

Rezydent podniósł się sztywno zza stołu.

— Oskarżasz mnie o oszustwo?

W mózgu Bruce'a zahuczało ostrzeżenie: „Miej się na baczności, bo cię dostanie w łapy”!

— Czekam — ciągnął Van Kloort. — Jeżeli masz jakieś podejrzenia, możemy przedłożyć sprawę sądowi na Amanu.

Bruce wahał się chwilę. Czy stary łotr próbuje pogroźki? Chce go zastraszyć? Czy rzeczywiście mówi prawdę? Jeżeli ten podpis nie jest sfalszowany...

Ridley złożył papier i schował w zanadrze.

— Przysięgniesz, że to prawdziwy podpis? — zapytał Bruce. — Dasz mi słowo, że...

Van Kloort znów się zirytował.

— Dostyc tego! Po co to wszystko? Histeryczne kłótnie. I żeby było o co! Jesteście obaj dumnie. Koło Paiku nie ma pereł...

— Więc po co Ridley chciał tę koncesję? Tego jestem ciekawy! Coś się tak zapalił do pereł, Ridley? Tyle lat tu siedzisz i nigdy się nie troszczyłeś o Paiku.

Dziwne, skąd ci nagle strzeliło do głowy tam jechać. Co tam masz za interes?

— Co za interes? — powtórzył wolno Ridley. — A jaki interes miał Hackett?

Zapadło milczenie. Karola i Marlowe, zaczajeni pod ścianą, myśleli, że nie doczekają się odpowiedzi. W ciszy trzasnął jak wystrzał głos Bruce'a.

— To uknuta robota — wrzasnął. — Na Boga, Ridley, czy myślisz, że ci to ujdzie płazem? Wiedziałeś gnoju, że Hackettowi nie chodziło o perły.

Wiesz, co jest na Paiku. Wiesz, bo wydusiłeś to z Hacketta przed jego śmiercią. Nie rób takich min, rekinie! Nie udawaj, że nie wiesz, że on nie żyje. „Jean Marie” przepadła i na falach została tylko deska z szalupy. Znać było ślady siekiery. Co to znaczy? Chyba tylko jedno może znaczyć? Ktoś chciał go odciąć od łądu. Hackett mówił mi, że dostanie koncesję od pana gubernatora i pojedzie na Waihiti po podpis Carruthersa. Daleko zajechał!

— Dostałeś porażenia słonecznego, Bruce — rzekł Van Kloort zeschłymi ustami.

— Jeszcze będziecie za to wisieć — rąbał bez namysłu Bruce. — Pan gubernator, Ridley i Fanchon — wy rządzą na wyspie...

— Fanchon możesz pominąć — szczerknął Ridley.

Bruce zaśmiał się gorzko.

— Na Boga! Nie udawaj głupca! Czy tu na wyspie dzieje się coś bez jej udziału? Czy jest ktoś, kogo nie wyżyłowała? Gdyby nie ona, Hackett może by żył. Pewnie kazaliście jej wziąć go na spytki. Fanchon pominąć? Możesz się założyć o każdą sumę, że będę ją omijał z daleka...

— To ja cię pożegnam, chłopcze — odezwał się niespodziewanie rezydent. — Zamykam posiedzenie.

Poszedł majestatycznie do drzwi i szarpnął za klamkę.

— Bruce, albo się upiłeś, albo dostałeś porażenia słonecznego

— dodał. — Jeżeli nie chcesz, żebym cię wyrzucił, to marsz stąd!

Ridley wstał i Bruce pojął, że źle wyszedł ze swoich kart. Siłąc się na godność, poszedł szerokim korytarzem na ganek. Pani wionęła ku niemu skrawkiem jedwabiu i pokazała niepewnie krzesło. Ale tylko mruknął coś na powitanie, bynajmniej nie uprzejmie i kroczył dalej. Kobieta wydeła usta w głupim grymasie. Bruce wynurzył się na żar słońca. Miał w głowie nieopisany zamęt. Przeszedł prosto przez ogród, który był oczkiem w głowie Van Kloorta, minął drzewa pomarańczowe i znalazł się na drodze wiodącej z góry na dół, nad wodę. Wiatr ucichł. Naokoło pleniła się tropikalna roślinność, splątana w walce o byt. Okropna, trująca tui-tui, której kolce darzą śmiercią, oplatała triumfalnie co

niższe krzaki. Prążkowany jaśmin, którego zapach zabija wszystkie pobliskie kwiaty, rozpościerał z obu stron swoje zabójcze kwiecie. Na wprost drzemało morze, błękitniejsze od nieba, okrutniejsze, przewrotniejsze od piekieł. Śmierć, wszędzie śmierć, a już przede wszystkim wśród tej zachłannej roślinności...

Spostrzegł, że ktoś go goni. Marlowe i Karola! Marlowe gwizdnął. Bruce stanął, odwrócił się i czekał na przyjaciela i Karolę, żeby się z nim zrównali. Dobiegli i padli na ziemię.

— Wy skąd?

Marlowe pokazał bez słowa na Dom.

— Byliście tam?

— Tak — wybełkotał Marlowe. — Pożycz mi chustki do wytarcia szyi. Moja przemoczona do nitki. Tak, staliśmy za oknem.

— Za oknem? To słyszeliście...

— Słyszałem światowego głupca — szczeknął Marlowe. — Dałeś występ, barani łbie. Mówią, że ciemne włosy — charakter, jasne — rozsądek. Ale u ciebie z rozsądkiem krucho. Ja bym się lepiej spisał. Co cię opętało? Mów, co cię opętało?

Bruce poczerwieniał z gniewu.

— Poniosło mnie i już. Nie masz co drwić. Jak zobaczyłem tych dwóch...

— Dobrze, nie wrzeszcz! — powiedziała z ziemi Karola. Siedząc z rękami oplecionymi dokoła kolan, spoglądała na niego uważnie.

— Marlowe dobrze mówi. Zrobiłeś wielkie głupstwo.

— Dziękuję — odrzucił. — Ale co teraz?

— Wyłożyłeś wszystkie karty na stół, naiwniaku — szydził Marlowe. — Teraz Ridley będzie wiedział, jak wychodzić ze swoich. Jak uważasz, co powinieneś zrobić?

— Założę się, że podpis Carruthersa jest sfałszowany.

— No?

— Muszę to zbadać.

— Jakim sposobem?

— Popłynę na Waihiti zapytać go.

Marlowe wyrzucił ręce do góry.

— A właśnie. Ty masz łeb! Niech cię diabli! Przecież im w to graj! Kto wie, czy się hycle o to nie modlą. Mogę się założyć, że w tym celu pokazali ci tę fałszywą koncesję. I podczas gdy ty pogonisz jak głupi na Waihiti, wiesz co zrobi tym-

czasem Ridley? Usiądzie i będzie czekał na twój powrót, co? Nie wymknie się na Paiku?

— Jeżeli Carruthers nie podpisał koncesji, to mój trud się opłaci.

Karola i Marlowe wymienili spojrzenia pełne rozpacz.

— Ale co z tego? — rzucił Marlowe. — Czy nie rozumiesz, że jeżeli Ridley dostanie się pierwszy na Paiku, to to, co stanie się potem, nie będzie miało znaczenia. Jeżeli zdąży zgarnąć żniwo, to obaj zaszyją się w gąszczu i dopóki ktoś na nich nie zapoluje, nie ruszą się.

— Na Amanu jest sąd — upierał się kapryśnie Bruce. — Będzie czas kazać ich aresztować...

— Ach, z tobą dyskutować! Nie będzie czasu. Nie ma czasu do stracenia. Czy nie rozumiesz, kretynie?

Karola strzepnęła zielonego żuka, który jej lał po nodze. Słońce ślizgało się po jej włosach migotliwymi odbłysekami, wydobywając ukryte odcienie, złote, czerwone, bursztynowe.

Wydeła buntowniczo i gniewnie pełne zmysłowe usta.

— A ze mną co będzie? — zapytała. — Zjecie diabła, jeżeli zostanę u tego tłustego zwierza. On ma takie spojrzenie jak Ridley, głodne, lubieżne. W drodze do Domu dwa razy poklepał mnie po ramieniu.

— Uważa cię za dziecko — rzekł z niepokojem Bruce.

— Bzdury! — fuknęła. — Nie oszukuj siebie, mój niewinny chłopczyku. On tak na mnie patrzy, bo ma na mnie chrapkę. Możecie się gorszyć. Mało mnie to wzrusza.

— Jak możesz mówić takie rzeczy? — oburzył się Marlowe.

— Czy zastanowiliście się — mówiła wolno Karola — jak ja żyłam do piętnastu lat? Mówią, że najlepszym nauczycielem jest doświadczenie. Gdybym nie nosiła rewolweru, już byłabym doświadczona.

Patrzyli na nią w milczeniu. Pierwszy raz przyszło im na myśl, że niedostateczną musiała być opieka starej Zuzanny podczas nieobecności Hacketta. Opryskliwość Karoli, chłopięca zaciętość, niewyszukane słowa — czyż to nie ciernie broniące rozpaczliwie męskim ręką do róży? A brutalne zachowanie się, czyż to nie dowód obronnej postawy? Kto może wiedzieć, jak czuła byłaby dla człowieka, któremu podarowałaby serce?

Na wąskiej drodze ukazała się gromada Kanaków. Krzyczeli i wymachiwali rękami. Szli z jakąś skargą do Domu, do rezydenta. Dwaj zatrzymali się i dobyli krisów. Bruce zerwał się na równe nogi.

— Chodźcie. Tędy — tędy.

Trójka białych zagłębiła się pośpiesznie w zarośla, przez które wiodła w dół po stoku ścieżka. Rozjuszeni Kanakowie gnali pod górę niby stado wściekłych byków. Kto by im stanął na drodze, mógł to przypłacić życiem.

— Parszywe było — mamrotał Bruce. — Gdyby tak Van Kloort zastrzelił kilku, to może reszta by go usmażyła na wolnym ogniu.

— Chodźcie, chodźcie — niecierpliwił się Marlowe. — Diabli z tymi lianami. Ta ścieżka wyprowadzi nas na drogę.

Parli dalej wśród dusznego żaru. Wrzaski Kanaków rozbrzmiewały słabiej. Lepiej by uczynili, gdyby nie schodzili z drogi, gdyby się przepchnęli przez gniewny tłok brunatnych ciał, gdyż kręta ścieżka wiodła koło domu Fanchon, do połowy ukrytego wśród drzew. Właścicielka obserwowała ich, sama nie widziana. Oczy jej przesunęły się po Karoli i Marlowie, aż zatrzymały się na Brusie. Patrzyły, patrzyły, póki nie zniknął.

## II

Van Kloort gniótł w rękę jakiś papier — Ridley poznał pismo Fanchon.

— Co to?

Rezydent rozprostował list na stole. Przez akursz biegł jeden tylko wiersz.

*Czy Bruce i Marlowe mają zostać na Les Aves?*

— A? — rzekł Ridley. — Kiedy to przysłała?

— Z godzinę temu.

— Przed Bruce'm?

— Tak.

Ridley pochwycił ołówek i pod pytaniem Fanchon napisał: „Nie”. Van Kloort spoglądał z powątpiewaniem,

— Więc nie zmieniłeś zdania?

Ale Ridley wybiegł na dwór zawołać posłańca Fanchon. Gdy brunatne ciało zniknęło między krzewami za laskiem pomarańczowym, wrócił. Zapaliwszy nowe cygaro, zgniótł w palcach opaskę w ścisłą kulkę. Van Kloort wyglądał w zamyśleniu przez uchylone okno. Wszedł bezszelestnie służący tubylec i postawił tacę. Szklanki zadźwięczały melodyjnie. Van Kloort nie zwrócił na to uwagi. Stał od-

wrócony plecami. Z szerokich barów biło niepokojem. Kark wzdymał się czerwono nad mokrym kołnierzykiem.

— Whisky?

Na to słowo skinął tylko głową, machinalnie wyciągając rękę. Gdy dolano mu wody sodowej, odwrócił się i zapytał:

— Co powiesz o tym bydlaku?

Ridley zmarszczył czoło.

— Z nim będzie kłopot. Nie uwierzył. Pan gubernator niezręcznie z nim rozmawiał. O! dobrze, dobrze. Zaczął nas podejrzewać, i to wszystko. Ale pytanie, co oni zrobią?

— Co nas to może obchodzić? Ważniejsze jest to, co ty zrobisz?

Ridley przygotował sobie nową porcję trunku.

— Marlowe jest niebezpieczny.

— Chyba go się nie boisz?

— Nie boję się nikogo na wyspach — oświadczył Ridley.

Van Kloort zmierzył go szybkim, dogłębnym spojrzeniem.

— Podszyty tchórzem — przemknęło mu przez myśl, a głośno powiedział: — Więc wyprawisz się na Paiku? Od razu, bez straty czasu?

— Tak. Przypuszczam, że oni udadzą się na Waihiti protestować przeciwko koncesji. Oj, gubernatorze, jeżeli to zrobią i Carruthers dowie się, co wymyśliłimy, będzie z nami źle. Muszę się śpieszyć.

W oczach Van Kloorta zagrały błyski chciwości.

— Tak, tak — sapnął. — Pośpieszaj, bracie. Pośpieszaj. Jeżeli Hackett powiedział Fanchon prawdę, to na Paiku... jest tego tyle, że...

— Nie tak głośno.

— Mógłbym stąd wyjechać — ciągnął wzburzony rezydent. — Tak, mógłbym wyjechać. Siedzę tu już dwanaście lat.

Na skroni zaczęła mu pulsować żyłka.

— Dwanaście lat — powtórzył. Podniósł głowę i posłał wzrok daleko za ogród, za nieruchome palmy. — Czasami chciałbym...

— E, dałbyś gubernator spokój — przerwał poufale Ridley. — Nie chce mi się słuchać żalów nad zmarnowanym życiem. Nie jestem spowiednikiem. Siedziałeś tu, kacyku, bo ci było dobrze. Wino, kobiety i bat w garści — czego ci więcej potrzeba do szczęścia?

Zgarnął z czoła gęstą, czarną grzywę i rozerwał kołnierz koszuli.

— Gorąco, jak wszyscy diabli. Zamknijmy okiennice. Wiesz, Van, nie ruszę

się, póki Bruce się nie ruszy.

— Nie rozumiem?

— Zaraz wytłumaczę. Muszę wiedzieć na pewno, dokąd oni się wyprawiają. Jeżeli na Waihiti — dobrze. Wtedy będę mógł płynąć na Paiku. Ale jeżeli na Paiku...

— Myślisz, że zaryzykują?

— Tak. Przypuszczam, że pluną na formalności. Człowiek zdesperowany nie ogląda się na papierki. Jeżeli wezmą kurs na Paiku, to popłynę za nimi.

— Zaatakujesz ich?

Ridley kiwnął głową.

— Atakujący zawsze mają przewagę.

Rezydent oparł się o stół.

— Hackett...

— Nie! — wrzasnął Ridley. — Drugi raz tak tego nie rozegram. Hackett — nie mogę tego zapomnieć. Gdybyś go widział... Kazałem go związać... Broczył krwią... Ale nie dał się złamać, nie. Jak rekin... Wytarł krew z oczu i powiada: „Ridley, ja jestem ostatni, którego zabijesz”.

— I to ci napędziło strachu?

— Umierający widzą przyszłość — odrzekł wykrętnie Ridley.

— Hackett jeszcze żył?

— Tak jakby trochę...

— Dlaczego nie wyprawisz się od razu na Paiku?

— Bo miałbym Bruce'a na tyłach. Po co się kłócić? Powiedziałem już, że zostawię im pierwsze posunięcie, bo tak będzie dla mnie najkorzystniej.

— Oby się tylko pośpieszyli.

— Jeżeli znam Marlowe'a, to jutro będą w drodze — warknął Ridley.

— A gdyby ktoś inny zwietrzył, co jest... co jest na Paiku...

— Nie sądzę!

Van Kloort otarł czoło.

— Nie mogę się zdecydować jak postąpić.

— Mówiłem panu gubernatorowi, że muszę wiedzieć, gdzie oni będą. Jeżeli wyprawiają się na Waihiti, będę mógł płynąć na Paiku, bez obawy, że mnie napadną. Jeżeli wybiorą Paiku, wyruszę za nimi. I nie ma o czym dyskutować. Ja rozstrzygam. Rozumiesz, satrapo? Zgarną towar i wyruszą z powrotem, to się na nich zasadzę i już.

— Powinieneś od razu płynąć na Paiku — dziś — bez straty czasu — nalegał



gniewnie Van Kloort. — Oni mogą zwlekać tydzień. Kto może zaręczyć, czy tymczasem jakiś statek nie zawinie na Paiku po wodę?

— Oni nie będą zwlekać. Nie zostaną jednego dnia.

Van Kloort nie wytrzymał wzroku współnika. Spuścił oczy i jął szarpać nerwowo klapę kurtki.

— Co to za hałasy?

Nadstawili uszu. Z oddali dolatywała stłumiona wrzawa, podobna do wrzasku mew, gdyż Kanakowie gdy są podnieceni, krzyczą przeraźliwie. Ridley wzruszył ramionami i szybko dopił szklanki.

— Jakiś nowy problem!

Wyszli razem przed dom od frontu. Żona rezydenta zdążyła już zgarnąć swoje jedwabie w nieporządny pęk i przebiegła prędko koło nich, wystraszona jak królik, z ustami wykrzywionymi jak u dziecka, bliskiego płaczu. Van Kloort zdjął z gwoździa tęgi rzemienny bat. Zapaliwszy cygaro, oparł się niedbale o odrzwia. Z góry dobiegły histeryczne szlochy i pośpieszny zgrzyt klucza w cienkich drzwiach.

— Ty się schowaj — rzekł Van Kloort do towarzysza. — Stań tutaj... Tak cię nie zobaczą. Pilnuj mnie. Jeżeli któryś podniósłby na mnie rękę, strzelaj.

Ridley stanął gdzie mu kazano.

— Co to może być?

— Pewnie ten bydlak Huati narozrabiał. Zawsze mi tu sprowadza różnych awanturników. Ostrzegłem diabła, że jeżeli to się powtórzy, to każę go wywieźć na Amanu.

Spojrzał w ogród. Stała tam gromadka Kanaków — z osiemnastu lub dwudziestu — i darli się jeden przez drugiego. Widok czekającego spokojnie rezydenta wywołał popłoch. Zaczęli się wahać, czy iść dalej. Paru uciekło na tyły. Ale nieustraszony, a groźny Huati nie przestawał ich popędzać. Był to chudy młodzieniec o jasnej skórze i bursztynowych oczach kota. Miał domieszkę niemieckiej krwi. Często wśród dzikiej paplaniny zatracał dziwnie gardłowymi dźwiękami.

Von Kloort palił cygaro, nie odwracając głowy. Huati stanął jak wryty.

— Keluti! — zawarczał.

Gubernator udał, że nie słyszy.

— O! Keluti!

Postać, oparta o odrzwia, trwała zupełnie nieruchomo.

Huati odważył się postąpić krok dalej. Inni, zachęceni tym, że śmiałek pozostał

przy życiu, posunęli się za nim. Parli ku gankowi małymi krokami. Jeden zuchwalszy, odtrącił innych i przepchnął się naprzód. Przykład podziałał zapalnie. Gromada ruszyła biegiem. Van Kloort był jeden, a ich cała kupa. Nozdrza się rozdymały, lśniące zęby błyskały jak wilcze kły.

Biały człowiek wyprostował się, przeciągnął... Udał, że dopiero teraz zauważył nieproszonych gości. Władcze czoło ściągnęło się w groźną bruzdę.

— Czego twoja chceć, Huati?

Przywódca wygłosił gwałtowne przemówienie, poparte gniewnymi błyskami oczu. Dał nurka w tłum i pchnął przed gubernatora wystraszonego młokosa, który miał ręce związane kokosowym włóknem, przewracając go na ziemię

— Jego złamać tabu, jego zabić papuga, co być tabu. Wszystka Kanaka mówić jemu umrzeć. Keluti, kazać jemu zaraz umrzeć...

Van Kloort zmarszczył brwi. Wzburzony, krzykliwy głos ciągnął swoją opowieść. Mówił o najwstrętniejszej zbrodni, jakiej może się dopuścić Kanak, o złamaniu tabu, o zabiciu nietykalnego stworzenia. Kanakowie z Les Aves uważają ptaki chwytające ostrygi za święte. Nieszczęśnik, powalony na ziemię, zabił takiego ptaka, prawdopodobnie przypadkiem. Rozwścieczeni przyjaciele uważali, że zasłużył sobie na najokropniejszą śmierć. Ale musieli dostać pozwolenie od gubernatora. Pamiętali represje, gdy zabili świętokradcę bez zgody władz...

Delegacja stała przed gankiem godzinę. Van Kloort pozwolił się wygadać przywódcy, który w końcu ochrypl z wrzasku. Następnie pięciu czy sześciu jego popleczników wymyślało przestępcy także do ochrypnięcia. Van Kloort i to wytrzymał. Domagali się natychmiastowego wykonania wyroku. Ofiarowywali gubernatorowi noże, truciznę, cokolwiek bądź, byle zabił zbrodniarza. Upalny dzień upływał powoli.

Nagle Van Kloort przemówił. Podniósłszy ręce nad głową, zasypał jeńca, już i tak na pół żywego ze strachu, gradem groźnych słów. Ryczał, szalał, a Kanakowie stojąc kołem słuchali w niemej grozie. Ano, dobrze. Keluti jest po ich stronie. Już zastanawiali się nad możliwie malowniczą śmiercią dla swej ofiary. Zaczynali się kołysać w przód i w tył jak zboże pod podmuchami wiatru.

Van Kloort umilkł raptownie, pobiegł w głąb domu i wrócił ze złowieszczym pakietem w ręku.

— Jego zła człowiek!... — pokazał z krzykiem na złoczyńcę. — Jego taka zła — zła, że nie trzeba — nie trzeba — umrzeć. Twoja Kanaka jego zabić, jego nie leżeć spokojnie, jego wrócić taka upiora, jego taka — taka zła!

Trwoga odbiła się na twarzach. Do takiego nieszczęścia nie należało dopuścić

pod żadnym pozorem. Kanakowie boją się duchów straszliwie.

Van Kloort podniósł na nogi nieprzytomnego ze strachu świętokradcę. Dramatycznym ruchem obrócił go plecami do widzów. Wśród straszliwej ciszy wydobył duży plaster z gorczycy.

— Czary — oznajmił. — Ona czary — czary diabelska!

Nikt nie oddychał, a on tymczasem mocno przylepił przestępcy diabelski czar między łopatkami. Gdy plaster wżarł się w skórę, grzesznik wydał wrzask przeżenienia i uciekł do ogrodu, ścigany przez triumfujących wyznawców bogobożności.

Wrzaski umilkły w oddali, i Ridley wyszedł ze swej kryjówki. Van Kloort wycierał spocone czoło.

— Niech ich diabli! — stęknął. — Namieszaj mi mocną porcję whisky, Ridley. Będzie wył pod tym plastrem całą noc. Tak, to boli, ale przynajmniej go nie zabiją. Musiałem ich jakoś uspokoić.

— Chytry kawał — pochwalił Redley, nalewając whisky do szklanki.

Przyjrzał się gubernatorowi uważniej. Czyżby się na nim nie poznał, osądził zbyt pochopnie. Nie było to przyjemne przypuszczenie. Pozornie niby słabeusz, ale co się kryje wewnątrz? Można doić głupią kozę, ale przykro pomyśleć, że zwierzę ma rogi.

Na górze zgrzytnął ostrożnie klucz, na drewnianych schodach zastukały niepewne kroki. Rezydentowa schodziła na dół. Przeszła koło otwartych drzwi pokoju, w którym mąż z gościem siedzieli rozwaleni na fotelach. Żaden nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Rozstrzęsiona, roztrzepotana, usadowiła się znów w cieniu na ganku.

— Więc na razie nie popłyniesz na Paiku? — zapytał Van Kloort.

— Nie — odparł Ridley.

Wziął kapelusz i wyszedł. Van Kloort patrzył za nim obojętnie. Pierwszy raz poróżnili się. W ten gorący poranek zakiełkowało między współnikami ziarno nienawiści. Mogli je zdeptać, jednym gestem pojednania.

Ale Ridley oddalił się bez słowa.

## ROZDZIAŁ V

Marlowe i Bruce robili zakupy. Karola przyglądała im się, siedząc na skrzyni pełnej mydła.

— Widzę, że wam się śpieszy — zauważyła.

— Im prędzej podniesiemy kotwicę, tym lepiej — odpowiedział Bruce.

— Więc płyniecie na Paiku?

Skinał potakująco.

— Marlowe dobrze radzi. Zastanowiłem się nad tym na zimno. Ale to ryzyko — ciężkie ryzyko — bez koncesji.

— Na tej grupie wysp obowiązują lokalne przepisy — rzekł Marlowe. — Prawo mówi, że wszystko, co się znajduje na wyspach i w lagunach, stanowi własność rządu. Ale prawie na każdą mniejszą wyspę można dostać koncesję i wtedy masz prawo zabierać cokolwiek znajdziesz. Dlatego rząd tak niechętnie udziela koncesji. Ryzyko? Pewnie.

— A co będzie, jak cię złapią?

— Pięć lat więzienia na Amanu — wyjaśnił ponuro — i konfiskata łupu.

— I mimo to chcesz ryzykować?

— Mam czekać, aż Ridley mnie uprzedzi?

Hendry wrócił z konserwami pomidorowymi, po które chodził. Wysypał z brzękiem na ladę naręcze czerwonych i zielonych puszek.

— Mogę to oddać za trzy dolary.

— A co im brakuje?

Hendry skrzywił się.

— Nic. Tylko dwie odrobinę wgniecione. Bruce obejrzał puszki.

— Nie warto więcej niż dwa i pół dolara — zawyrokował. — Dobrze, dobrze. Nie możemy tracić dnia. Czy to wszystko? Nie, wołowiny więcej nie potrzeba. Oliwa jest? No, to chodźmy.

Poszedł do drzwi krzyknąć na Kanaków. Wstali z piasku, otrząsając się jak jamniki.

— Marlowe — zapytała nagle Karola — dziś odpływacie?

— Tak. O zachodzie.

Podeszła, stanęła przy nim i pociągnęła go za guzik koszuli.

— Nie zostawiajcie mnie.

Zrobił wielkie oczy.

— Chcesz płynąć?

— Nie zostawiajcie mnie — powtórzyła.

Spostrzegł, że jest wystraszona.

— Przeszkadzałaś — rzekł z wahaniem.

Nie odpowiedziała. Spojrzał na nią po raz drugi, tak niezwykłą było rzeczą, żeby Karola o coś błagała. Gdyby ją tu zostawić... Ujrzał w wyobraźni twarzę Ridley'a, Van Kloorta, Fanchon, jak widmo... Karola już nie jest dzieckiem. Znów na nią spojrzał. Nie, to nie dziecko, to kobieta. Przypomniał sobie jaki był dumny z córki Hackett. Do pioruna, trzeba będzie ją zabrać.

— Van Kloort cię nie puści — mruknął. — Powie, że młoda dziewczyna nie może przebywać na statku z mężczyznami.

Karola stała ze spuszczonej oczyma.

— Mężatka — może.

— Mężatka? Też wymyśliła! Czy myślisz, że ja się na to zgodzę, że związę się z tobą dla twojej wygody? Niedoczekanie, moja chytra dziewczynko!

— Chyba nie myślisz, że się w tobie zakochałam? — fuknęła pogardliwie. — Nie wyszłabym za ciebie, choćbyś został na świecie sam jeden.

— Jeszcze ci się nie oświadczyłem. — odparował. — Bierz tę linę i nieś do łodzi.

Szalupa już odpływała z pierwszym ładunkiem. Usiedli na piasku i obserwowali słoneczne refleksy na podnoszących się i opadających wiosłach. Upał osłabł. Słońce zniżało się ku zachodowi. Wiatr ucichł zupełnie i leżąca przed nimi przystań wyglądała jak lustro. Daleko od brzegu płetwa rekina przecięła błękitnozieloną toń. Bill legł u nóg swojej pani.

— Gdzie też jest Ridley? — szepnął Bruce.

— Pan Bóg wie. Zresztą co mnie to obchodzi?

— Czekać, niedługo zaśpiewasz inaczej. Czy można by wypłynąć bez świateł? Będzie nas śledził całą noc.

— Karola chce płynąć z nami — rzekł nagle Marlowe.

Bruce spojrzał zdziwiony.

— Dlaczego? Karola, a tobie co przyszło do głowy?

Dziewczyna splatała i rozplatała nerwowo palce. Zarumieniona, spojrzała błagalnie na Marlowe'a.

— Kto się nią zaopiekuje? — zapytał bez ogródek Marlowe.

— Gotowa wpaść w ręce pierwszemu lepszemu — Ridley'owi — Van Kloortowi — czy jakiemuś kupcowi. Dlaczego nie chcesz jej zabrać? Z nami byłaby bezpieczna.

Bruce zwrócił oczy na Karolę, a ona na to spojrzenie splonęła szkarłatem. Marlowe pochwycił między nimi błysk bojaźliwego lecz skwapliwego porozu-

mienia. Czyżby miłość? — pomyślał z dziwnym skurczem zazdrości.

— Zostawiłem fajkę u Hendry'ego — odezwał się Bruce. — Zaraz będę z powrotem.

Wstał i poszedł wolno do różowego budynku, myśląc o Karoli. Czyżby to zgrabne dziewczę o smutnych oczach miało do niego słabość? Przeczucie miłości — dziwna słodka niepewność ogarnęła go z nagłą siłą. Karolę trudno przejrzeć. Dziewczyna urwis, a taka niełatwo się wyda, komu sprzyja. Ale ostatnio była przy nim bardzo cicha, bojaźliwa, prawie nieufna. Czy to znak? Jeżeli ją zabiorą w tę dziką podróż, to dojdzie z nią do porozumienia.

Dobrze będzie opuścić Les Aves, poczuć na twarzy powiewy wiatru. Ta stęchła wyspa jest jak więzienie.

Doszedł do sklepu i przestąpił przez próg. Fajka leżała na ladzie. Biorąc ją, spostrzegł, że nie jest sam.

— Biruti zaszemrał — miękki głos.

Podniósł oczy. Gdzie widział tego tubylca? Ciemna postać stała bez ruchu.

— O! Biruti!

Bruce przypomniał sobie w nagłym przebłysku myśli. Naturalnie, naturalnie — widział tego Kanaka wczoraj wieczorem podczas burzy. Fanchon przysłała go po Scarletta. Tak, tak.

Cóż z tego? Co jego to może obchodzić? Jeżeli to nawet Kanak Fanchon, to co z tego?

— Czego chcesz? — zapytał.

Głos zabrzmiał w ciszy głucho, bezdźwięcznie.

— O! Biruti, Fanchon kazać twoja przyjść w ona — noc, w ona — noc.

I Kanak wyszedł.

Bruce w pierwszej chwili o mało nie złapał najbliższej puszeki z pomidorami, i nie cisnął za posłańcem. Niech go wszyscy diabli! Czy mu się zdaje, że na takie zaproszenie może być tylko jedna odpowiedź? Bruce poskoczył ku drzwiom i stanął, wahając się. A, niech tam! Lepiej wcale nie odpowiedzieć. Udać, że się nie usłyszało, otrząsnąć się jak z wodorostów! Bruce opróżnił fajkę stuknięciem i ją nabijać ponownie, ugniatając tytoń silnymi, kanciastymi palcami.

Jak ona śmiała zapraszać go? Nawet się nie znają! O ile pamiętał, nie widziała go z bliska. Czego ona u diabła od niego chce?

Nabił fajkę tak mocno, że nie chciała ciągnąć. Co u licha? Zajął się fajką. Fanchon... Nikt nie wiedział, co to była za jedna, ani skąd przybyła. Żaden z jej licznych kochanków nie chciał mówić, jak wygląda. Odpowiadali ni to, ni owo i

zmieniali przedmiot rozmowy. Nikt się do niej nie wpraszał. Nikt nie poszedł nie wezwany, chyba Van Kloort, albo Ridley. Bruce zapalił zapalniczkę. Niebieskie skręty dymu jęły się więc leniwie ku zakopconemu sufitowi. Hendry wszedł, powiedział coś, ale nie otrzymał odpowiedzi. Postawił więc szklanekę Bruce'owi koło łokcia i znów wyszedł.

Po co ona go wzywa? Czyżby miała jakąś wiadomość? A — może tylko tak — dla kaprysu — z nudów? A może Ridley zastawia na niego pułapkę, żeby go nie puścić na morze. W związku z tym przypuszczeniem Bruce wpił zęby w fajkę. A co zrobiła z Hackettem? Przysłała po niego, wydobyła z niego tajemnicę, posłała naiwniaka na śmierć tak pewną, jakby białymi rękami sama wbiła mu nóż w serce. Jest winna jego śmierci na równi z Ridley'em.

Bruce wstał i zszedł na wybrzeże, gdzie Karola przekomarzała się przyjacielsko z Marlowem. Usiadł przy nich, ale nie słyszał ani słowa z ich rozmowy. Jaki ma głos ta Fanchon? Nie, żeby był ciekawy. Nie, żeby chciał usłyszeć. Mówiono, że nie zdarzyło się, aby ktoś nie posłuchał jej wezwania. No, to on będzie pierwszy. Niech się syrena złości! Dobrze jej robi, gdy się dowie, że na Les Aves jest choć jeden mężczyzna, nie ciekawy jej wdzięków. „Helena” zawija na tę wyspę od wielu miesięcy, a ona dotąd nie zwróciła na niego uwagi. Skąd ta nagła zachcianka?

Bruce'owi zrobiło się gorąco. Westchnął.

Szalupa przybiła do „Heleny”. Krzyki Kanaków, wyładowujących towary, niosły się nad wodą słabo, lecz wyraźnie. W górze kołował wciąż orzeł morski. Chrapliwy wrzask drapieżnika spadał na nich z wieczornego nieba.

„Helena” podniesie kotwicę tej nocy. Nie zostaną dłużej na tej zatęchłej wyspie. Ridley może ich gonić. Ha! To załatwią stare porachunki. Prędzej, czy później... Nazbierało się tych porachunków, uprzedzeń i kłótni. Miary dopełniła śmierć Hacketta, który przed niewielu godzinami należał jeszcze do świata żyjących. Bruce dumiał głęboko.

Czy Fanchon uzna go za tchórze, jeżeli się nie stawi? Czy pomyśli, że wymknął się z pośpiechem na morze z obawy przed nią, bo wie, jaka jest silna, jaka przebiegła, jaką ma władzę nad mężczyznami? Jeżeli tak, to się grubo omyli, jak nigdy w życiu. Czy jest coś na świecie, czego on się lęka? Czy na wyspach jest ktoś, kto by się odważył narazić na jego nieprzyjaźń? Jeden Ridley...

A gdyby tak — celowo — zejść do kusicielki, nim „Helena” podniesie kotwicę? A gdyby tak spróbować wystrychnąć ją na dudka, stanąć przed nią, zmierzyć zuchwałą beczelnym spojrzeniem! Wpadłaby w pułapkę! Zastosowa-

łaby swoją kobiecą taktykę, a on by tylko obserwował. Już widział siebie nieugiętego jak skała, której nie podmyją fale jej podstępów. Poznałaby mężczyznę, odpornego na fałszywe sztuczki. On by wziął górę, ujarzmiłby ją chłodem i obojętnością. Umilkłaby zmieszana. Poznałaby, co to klęska, co to upokorzenie, co to być wzgardzoną! Niepojęta rzecz, że nikt jej dotąd nie złamał. Za długo panowała nad mężczyznami na Les Aves. Teraz spotka równego sobie. Tak! Na Boga! On jej pokaże, kto jest panem.

Odwrócił się twarzą w dół i zgarniał bezmyślnie piasek, formując kopczyk. Szalupa wracała. Marlowe'owi nie powie o swoim zamiarze, bo ten oburzyłby się, radził, nalegał... Lepiej załatwić wszystko po cichu. Wymknąć się o zmierzchu bez słowa. Szalupa może poczekać. Marlowe może posiedzieć z godzinę na piasku. Nic mu nie będzie.

Z Karolą trzeba zrobić porządek. Musi dziewczyna wrócić do Domu, zanim pani Van Kloort zacznie się awanturować. Potem znów będzie mogła przyjść. Widział ją okiem pamięci biegnącą stromą ścieżką. Zaróżowione policzki, oczy błyszczące, włosy gładkie, lśniące. Ogląda się, czyjej kto nie goni. Czy powiedzieć jej o tym zamiarze? Tak. Nie. Nie zrozumiałyby. Pomyślałaby, że dał się ujarzmić, choć właśnie on będzie zwycięzcą. Dumne słowo! On pokona Fanchon, wydusi z niej tajemnicę losu Hacketta, tak jak ona wydobywa z mężczyzn ich tajemnice. Będzie bez litości. Musi zapomnieć, że to kobieta.

Bruce nie przeceniał kobiet. Dziewczęta kanackie uważał siłą rzeczy za samiczki i powodowany pewnego rodzaju dumą, trzymał się od nich z daleka. Białych kobiet było na wyspach niewiele. Większość z nich przyjęłaby jego zaloty z ochotą. Niektóre mu to wyraźnie dawały do zrozumienia. Ale on szedł swoją drogą, nic sobie z nich nie robiąc. Żył w świecie mężczyzn, którzy mieli wspólną kochankę, morze, wiecznie burzliwe, wiecznie nieukozone, wiecznie wyciągające ramiona głodnych fal po ciała oddanych sobie zapaleńców. Jeżeli budził się w nim zwierz, który drzemie w każdym mężczyźnie, to rzucał mu na żer co popadło. Przygody portowe, będące udziałem wszystkich marynarzy, miały dla niego błahe znaczenie. Wybierał dziewczęta tak obojętnie jak na przykład jabłka ze skrzyni. Tylko na wspomnienie pierwszej kobiety serce mu biło silniej. Reszta — nie warto wspominać! Prawo życia i już.

— Bruce!

— Co takiego?

— Śpisz? Szalupa przybija do brzegu.

— Dobrze, dobrze.



Karola i Marlowe popatrzyli na niego z niepokojem. Niech patrzą. Może im powie, gdy już będzie po wszystkim.

Powie tak: „Owszem, byłem u niej. Myślała, że mnie opęta tak jak tylu innych. Ale trafiła kosa na kamień. Pokazałem jej, kto silniejszy”.

Karola zaczęła coś mówić. Przewrócił się na wznak i spojrzał na nią.

—No?

—Muszę iść do Domu, bo gubernatorowa gotowa coś zwietrzyć. Kto wie, czy Van Kloort, nie kazał mnie szpiegować. Po kolacji wyśliznę się i wrócę. Zaczekacie?

Śmiertelna obawa zabrzmiała w tym pytaniu.

—Naturalnie — zapewniał Marlowe. — Będziemy tu z Bruce'em czekali.

Podniosła się i pobiegła nadmorską drogą. Marlowe odprowadzał zgrabną dziewczynę krytycznym okiem.

—Za parę lat będzie cudowną kobietą... Słuchaj, miałeś jakieś spotkanie u Hendry'ego.

—Jakie znowu spotkanie?

—Nie było cię pół godziny i teraz milczysz jak mruk. Co się stało?

Przenikliwe niebieskie oczy wpatrywały się bacznie w twarz Bruce'a.

Ten wściekły na siebie poczuł, że krew uderza mu do twarzy.

—Pilnuj swoich interesów.

Marlowe przysiadł na piętach i spojrzał ku morzu.

—Nie oszukasz mnie — powiedział spokojnie. — Widziałem Kanaka Fanchon, jak wchodził do sklepu. Chyba nie będziesz taki głupi... żeby...

—Do diabła, właśnie, że będę — zaklął Bruce. — Właśnie, że pójdę. Przypuszczam, że dowiem się czegoś o Hackecie. Wyduszę z niej prawdę, przycisnę diabolicę do muru...

—Myślisz, że ci się uda? Że ona ci powie, co się z nim stało?

—Tak.

—Myślisz, że... że potrafisz jej się oprzeć?

—Czemu nie?

—Myślisz, że ty pierwszy weźmiesz ją za łeb?

—Naturalnie. Ta tajemniczość, to... to wszystko bzdury. Nie wiem, jak jej się dotąd udawało z innymi, bo ze mną przegra.

I Bruce wstał.

Marlowe podniósł oczy na przyjaciela. Taki silny, przystojny, młody... Serce w nim zdrętwiało.

—Lepiej daj pokój.

—Ech! Pójdę i już.

Marlowe poznał, że przegrał i jego usta zacięły się w brzydkim grymasie.

— Głupi jesteś. Pewnie Ridley wymyślił tę pułapkę, żeby cię zatrzymać na ładzie.

— Przed północą będę z powrotem.

— Powiedz to głupcom! Jeżeli wrócisz tu za trzy dni, to będzie za co dziękować Bogu.

Bruce zacisnął pięści.

— Nie pieprz!

— Słuchaj — rzekł z pasją Marlowe, przestając nad sobą panować

— nie myślę tracić dobrej okazji dla twojego kaprysu, idioto! Fanchon okreć cię koło palca, zrobi z tobą, co zechce. Ja uważam, że trzeba płynąć póki można. Jeżeli nie wrócisz, do północy, „Helena” podniesie kotwicę.

— Nie żartujesz?

— Nie!!! Jeżeli Ridley nas uprzedzi...

— Nie pieprz! Zrobię, jak mi się podoba.

— Wolna wola! Ale pamiętaj — nie będę czekał.

— Nie czekaj. Możesz płynąć. I niech cię diabli! — warknął Bruce odchodząc.

Zapadło złowróżbne milczenie i tylko kil szalupy ocierał się ze zgrzytem o złocisty piasek...

## II

Rezydent jadał obiad o siódmej wieczorem, zawsze bardzo uroczyście. Domagał się, żeby żona zasiadała z drugiego końca długiego stołu w wydekoltowanej sukni, nieodpowiedniej w jej wieku, nie pasującej do zwiędłej cery i chudych ramion. Wymyślaniem oduczył Kanaków zanurzania palców w zupie przy podawaniu do stołu i nauczył zręcznego roznoszenia dżemu i sosu cytrynowego. Raz tylko pani wyraziła opinię, że dziewczęta lepiej by sobie dawały radę przy serwowaniu posiłków niż tępi Kanakowie, którzy umieją tylko szczyrzyć zęby. Van Kloort zgodził się z podejrzaną skwapliwością. Wybrano dwie dziewczyny i pani wyszkoliła je sama. Naiwne, wyobraziły sobie, że los powołał je do wielkich zadań, że to jakaś niesłychana uroczystość, że nie mogą zrobić wstydu panu i pani. A żeby nie zrobić wstydu, postanowiły wystąpić w strojach uroczystrych. Poniechały

więc różowych, kretonowych nocnych koszul, i wystąpiły galowo, a na Les Aves od niepamiętnych czasów galowe stroje kobiet to bransoletki na ręce i nogi, naszyjnik, przypaska na biodrach — i nic więcej.

Dawno minęły czasy, kiedy pani miała jeszcze kształtne ramiona' i mąż się do niej uśmiechał. Widok skromnej minki Karoli przypominał starszej kobiecie te czasy, takie inne, tak różniące się od dzisiejszych! Patrzyła na dziewczynę z tępą, bezmyślną zazdrością, przypominając sobie, jaką była w jej wieku. Nie umiała siebie oszukiwać, rozumiała, że nigdy nie mogła być taka ładna jak ona. Wiedziała, że mąż zrobiłby awanturę, gdyby Karola przyszła na obiad w nieodpowiedniej sukni.

-Ale okazało się, że dziewczyna nie ma się po prostu w co ubrać, i pani pożyczyła jej swoją koronkową toaletę. Z miękkich koronek barwy płomienia, szyja i ramiona „małej” wyłaniały się gładką białością. Karola była zarumieniona, podniecona przeczuciem przygód. Już się zastanawiała, jak stawi czoło niebezpieczeństwu. Pani przyglądała jej się ze szczególnym wyrazem urazy i smutku. Gdyby miała córkę... Zwróciła się gwałtownie do usługującego Kanaka Kuri i ostrym głosem rozkazała przynieść wodę sodową.

Rzuciła okiem na męża. Wpatrywał się w Karolę. Nawet gdy pochylał tłusty kark nad talerzem, nie spuszczał z niej oczu. Żona obserwowała go obojętnie. W ciągu trzech miesięcy po ślubie rozczarowała się doszczętnie, a żyła już z nim dwadzieścia lat, dwadzieścia ciężkich lat.

Nie mógł oderwać wzroku od Karoli. Gdy się do niej odzywał, odpowiadała krótko, nieuprzejmie. Mimo obaw była naiwnie zaciekawiona obiadem. Stara Zuzanna nie znosiła wyszukanych potraw i Karola pierwszy raz w życiu jadła omlet z rumem i potrawkę z kurcząt. Miała się więc czemu dziwić. Przy otwartych oknach stali dwaj Kanakowie i odganiaли olbrzymimi wachlarzami z liści palmowych roje cichoskrzydłych owadów, zlatujących się do różowych lamp. Nad widnokretem wisiała okrągła, złota tarcza księżycy. Lekki wietrzyk przynosił woń jaśminu i powiewał koronkami Karoli. Na ten widok Ridley mocniej ścisnął w palcach kieliszek.

Siedział na wprost niej. Co spojrzała, widziała utkwione w siebie czarne źrenice. Jadł od niechcienia, zagadując od czasu do czasu do pani domu. Ale łatwo było poznać o kim myśli.

— Rittermeyer mówił mi, że sprzedał swoją szalupę facetowi z Degas — opowiadał monotonicznie Van Kloort. — Dostał dobrą cenę.

— Tak?

— Nie zgadłbyś, ile. Omyliłbyś się o sto dolarów.

— No?

Van Kloort umilkł i zajął się świeżo przekrojonym ananasem. Ridley nie odrywa oczu od Karoli. To nic dziwnego!... Kto by to powiedział, że suknia tak ją zmieni, doda tyle uroku! Ridley wolał kobiety dojrzałe, lecz któż by się oparł czarowi tych jędrnych kształtów? W sercu starszego zalotnika wezbrała głucha zazdrość, ale był już zdecydowany. Niech Ridley wyprawi się na morze...

Obiad skończył się. Pani wstała i skinęła na Karolę. Mężczyźni zostali przy winie. One przeszły do dużego, skąpo umeblowanego pokoju, który pani nazywała salonem. Podwójne oszklone drzwi wychodziły na ogród. Pani usiadła i nawlokła świeżą jedwabną nitkę.

— Miałam okropny kłopot z dobraniem koloru — rzekła. — Przy tym świetle nie widać. Różowy kolor łososiowy — to jest łososiowy z odcieniem różowawym... Trzy razy posyłałam na Waihiti zanim mi dobrali.

— Naprawdę?

— Tak, nie uwierzyłybyś, co to za kłopot, j — A nie mogła pani wziąć innego koloru?

— Ach, moja droga — odparła z wyrzutem pani. — W książce wzorów są oznaczone kolory. Różowy łososiowy ma być na te pióra

— widzisz narysowanego ptaka? Na deseni jest taki oryginalny odcień

— właściwie nawet nie łososiowy i nie blade różowy. Coś pośredniego. Tyle miałam kłopotu zanim mi dostarczyli z Waihiti, nie uwierzyłybyś...

Skrzekliwy głos terkotał bezmyślnie. Karola przestała słuchać. O czym rozmawiają mężczyźni w jadalni? I jak prędko będzie można się wymknąć? W ciszy nocnej brzęknął łańcuch kotwiczny. Karoli serce zabiło.

Chyba na nią zaczekają? Chyba zaczekają?

— Jak sądzisz? — pytała pani.

— O tak — przytaknęła pośpiesznie Karola. — Czy mogę się trochę przejść po ogrodzie? Tutaj diabeł... — okropnie gorąco.

— Przejdź się, owszem — powiedziała pani z niezadowoleniem. Karola otworzyła drzwi i wyszła do ogrodu. Jakiś statek wypływał

z przystani. Czerwone i zielone światła mrugały na nią z ciemności. Nie, to nie „Helena”. Nie może być. Jeszcze za wcześnie. Zresztą Marlowe obiecał zaczekać. Trzeba coś powiedzieć pani Van Kloort, żeby pozwoliła iść spać. Karola zgniatała w palcach miękkie fałdy sukni. Trzeba się przebrać w stare szmaty i uciekać. Droga na wybrzeże ciemna, niemiła. Można kogoś spotkać, i te nocne wonie takie

duszące. Ale trudno! Co znaczą drobne obawy wobec niebezpieczeństw na jakie byłaby narażona gdyby została na Les Aves?

Kto to kroczy przez oświetlony księżycem ogród? Trwoga ogarnęła dziewczynę.

Chciała uciekać, krzyżeć... Ale nogi wrosły w ziemię, a głos zamarł w gardle, zdławiony biciem serca. Ridley rzucił cygaro.

— Przyglądasz się gwiazdom?

Jaki wysoki w tym białym ubraniu. W blasku księżycy twarz taka wyrazista. W wąskich, brutalnych ustach czai się okrucieństwo. Karolę ogarnęło rozpaczliwe uczucie zupełnej bezsilności.

— Śliczna jesteś w tej sukience.

— Taka sama jak wczoraj — fuknęła.

Dźwięk własnego głosu przywrócił jej zimną krew. Gdy Ridley przysunął się bliżej, zjadając ją oczami, nie odczuła już strachu tylko nienawiść.

Nie pozwoli się dotknąć, nigdy!

— Nie taka sama. Jesteś śliczna — cudowna!

— E, tam śliczna!

— Kiedy mówię to szczerze, wściekła oso!

Pochwycił ją w pół tak niespodziewanie, że nie zdążyła odskoczyć. Muskularne ramiona opasały biedną Karolę i uniosły nad ziemię. Co warta noc bez kobiety? Choć Karola szarpała wściekle głową na wszystkie strony, choć pluła i próbowała gryźć, nie dawał za wygraną. Całował jej ramiona, szyję, chciał sięgnąć ustami piersi... Do diabła! Stary Van chce ją dla siebie. Ridley wyczuł jego zamiary podczas obiadu. Ale ona będzie jego!

— Puść!

Zaśmiał się krótko. Zuchwałymi rękami zgniatał jej delikatne ciało. Opierała się tak gwałtownie, że w końcu doprowadziła go do furii.

— Precz! — syknęła przez zaciśnięte zęby. — Precz, ty bydlaku...

— Zgwałcę ją — myślał z wściekłością. Smarkata — myśli, że jej ujdzie na sucho! — Tracił do reszty panowanie nad sobą.

Ścieżką nadchodził Van Kloort. Karola wyrwała się, a Ridley podszedł do rezydenta. Patrzyła za nimi póki nie weszli na ganek i nie usiedli. Czy Van Kloort widział? Prawdopodobnie zazdrość w nim i' zakipiwała i zaprosił rywala na pogawędkę, żeby mu przeszkodzić w dalszej akcji.

W głosie Karoli kołotała się tylko jedna myśl. Uciekać póki czas! Poszła ku domowi. Póki ją widzieli, szła wolno. Dopiero gdy im zeszła z oczu, podwinęła

koronkową suknię i ruszyła biegiem, szerokim kołem w kierunku morza. Nie oglądała się. Biegła naprzód, potykając się o nierówności gruntu. Liany czepiały się sukni, utrudniały bieg.

Poczuła pod stopami twardą drogę. Daleko na dole płonęły na wybrzeżu ognie Kanaków. Przystanęła, zadyszana, nasłuchując trwożliwie, jak zwierzę, czy nie gonią. Ale cisza nocna szemrała tylko szelestem palmowych liści i echem śpiewów, dolatujących z mroku od strony ognisk.

## ROZDZIAŁ VI

### I

Marlowe siedział oparty plecami o pień palmy i zaciągał się ponuro dymem. Jakiż ten Bruce głupi! Czy myśli, że wyjdzie cało z tej awantury? Po co pobiegł idiota na wezwanie tej dziwki? Zapasy załadowane. Kanakowie, uprzedzeni, czekają przy ognisku. Szalupa leży na plaży gotowa do odbicia. Gdyby w tej chwili wrócił mogliby wypłynąć daleko w morze, zanim Ridley wypuści się w pogoń...

Marlowe przygryzał wargi. Był wściekły.

Kanakowie śpiewali. Na wybrzeżu płonęło siedem ognisk i dookoła każdego leżały ciemne postacie. Nad szmer głosów wybijały się raz po raz stłumione śmiechy. Marlowe poczuł bolesny skurcz zazdrości. Te śpiewy w ciemnościach...

Chrząknął i odgonił wspomnienia minionych lat. Nie ma czasu na rozpamiętywanie. Po prostu widział w mroku wilczą twarz Ridley'a, za nią cień Hacketta. Hacketta widział we śnie nieruchomego, ociekającego wodą.

Szelest wśród drzew. Odwrócił się szybko. Wybrzeżem biegła ku niemu zgrabna postać. Zerwał się na nogi. Karola! Zobaczył przy księżycu, że była okropnie blada i miała przerażone oczy.

— Nic ci się nie stało? Co to za szata?

— Nic... mi się... nie... stało...

Oparła się o niego i dyszała, prawie łkała z ulgi, że już — że już jest bezpieczna.

— Co takiego? Gonią cię?

— Chyba nie, ale może niedługo... Ridley jest w Domu...

— No, i — ?

— Chciał...

— Nie musisz mówić. Znam jego zwyczaje. Ładnie ci w tej sukience. Gubernatorki? Domyśliłem się. Co się tak trzęsiesz? Jesteś bezpieczna.

— Płynmy już — prosiła. — Oni mnie będą gonić. Tak, Marlowe. Wsiadajmy do łodzi. Gdzie Bruce?

— Bruce! Po... to jest...

— Gdzie on jest? Na pokładzie?

— Nie.

— Upił się? Leży w knajpie?

— Nie.

— No. to...

— Fanchon wezwała go.

Karola oderwała się od towarzysza. Dygotała od stóp do głów.

— Chyba żartujesz?

— O! mój Boże! Niestety! Przysłała po niego, i pobiegł. Nie mogłem go zatrzymać. Ubzdurał sobie kretyn, że wydobędzie z niej prawdę o twoim ojcu i Ridley'u. Co za głupi pomysł! Ale nie mogłem mu przemówić do rozumu. Nie mogłem go zatrzymać. Wbił sobie w łeb, że musi iść. Flaki się we mnie przewracają!

— Co zrobisz?

— Powiedziałem idiotcie, że będę czekał do północy, a jak nie wróci, podniosę kotwicę.

— Do rana nie poczekasz?

— Nie.

— Ridley go wciągnął. To jego sprawa.

— Ja to samo pomyślałem, ale nie jestem pewny. Zdaje mi się, że on czeka na nasze posunięcie. Będzie rad, jak się pośpieszymy, sukinsyn!

— Ach, to okropne.

— No, chyba — przytaknął posepnie. — Mów ciszej. Kanakowie ułyszą.

W duszy Karoli wezbrało podejrzenie, od którego jej oczy zapaliły się, jak dwie pochodnie.

— Czy poszedł ze względu na mojego ojca, czy — czy dlatego, że miał ochotę? Jak ci się zdaje?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Poszedł i już.

— Pójdziemy za nim.

— To nic nie da — odpowiedział Marlowe. — Nie dopuściliby nas nawet na sto kroków. Sama wiesz.

Karola wiedziała. Kanakowie Fanchon byli czujni...

— Nigdy go przecież nie widziała, no nie? — spytała Karola.

— Nigdy go nie wzywała.

— Ostatniej nocy wezwała Scarlettta.

— Poszedł?

— Poszedł. Czemu jej ktoś nie strzeli w łeb, Karola?

— A ty nie mógłbyś?

— Widziałaś ją?

— Za dnia się nie pokazuje. Spotykam ją czasami wieczorem, ale twarzy nie widziałam nigdy. A ty?

Marlowe potrząsnął głową.

— Bruce nie kobieciarz. Nie wiem, co go ukąsiło. Nim zawinęliśmy na Les Aves, miałem przeczucie, że spotka nas tu coś niedobrego. Jeżeli wyprawa na Paiku skończy się pomyślnie, jeżeli zgarniemy bogate łupy, to moja noga więcej tu nie postanie.

— Ale on wróci.

— Bruce?

— Tak.

— Czy któryś kochanek opuścił Fanchon?

Umilkli. Było już późno. Ogniska na wybrzeżu przygasały. Mroczne postacie przemykały się ku chatom. Tylko załoga „Heleny” drzemała koło ognia i tylko czasami ktoś dorzucił suszu. W krzakach wrzasnęła spłoszona papuga. Krab lądowy przemknął obok z niezgrabnym pośpiechem. Chrząkanie dawało poznać, że gdzieś w pobliżu żeruje Świnia. U Hendry’ego zgasły światła i zgrzytnęły donośnie rygle.

— Zimno ci?

— Nie. Mogę się owinać w ten ogon. Okropnie długa kiecka. Która godzina?

Marlowe zapalił ostrożnie zapalną.

— Po jedenastej.

— Myślę, że zaczekasz na niego do rana?

— Ani mi się śni. Wie — dureń — o której odpływamy. Jeżeli nie wróci na czas, będę miał dowód, że zmienił plany, a my stracilibyśmy cały dzień. O świcie nie warto. Nie wyszlibyśmy jeszcze z przystani, a Ridley siedziałby nam już na



karku. Musimy wypłynąć nocą. Chyba rozumiesz?

Karola rozumiała. Szaleństwo Bruce'a także dla niej było oczywiste. Sekundy upływały powoli i w sercu dziewczyny obudziła się nowa obawa. Kiedy tam w Domu spostrzeżę, że jej nie ma? Kiedy Van Kloort i Ridley zaczną jej szukać? Mogą co prawda myśleć, że poszła spać, ale gubernatorka może sprawdzić. Z pewnością pójdzie zobaczyć, czy „dziewuszysko” rozebrało się po chrześcijańsku i włożyło przygotowaną, ukrochmaloną nocną koszulę. Karola zachichotała.

— Z czego się śmiejesz?

— Z gubernatorki? Przygotowała dla mnie czystą, nocną koszulę. Oglądała moją skąpą garderobę i była zgorszona, że nie mam nocnej koszuli. Jak powiedziałam, że śpiam nago, to zaczerwieniła się!... Uważa, że to okropny grzech spać na golasa.

— Słuchaj! — syknął Marlowe.

Zaczęli nasłuchiwać i Marlowe ostrzegł szeptem Kanaków. Natychmiast umilkli.

— Kanaka słyszeć?

— Słyszeć ona lecieć prędko — prędko.

— Słuchaj. — Marlowe polecił Karoli podnieść się. — Tętent obutych nóg na drodze. Dzięki Bogu za ciszę. Jeszcze jest daleko. To Bruce tak pędzi.

Znów nasłuchiwali. Daleko na drodze zamigotała latarnia.

— Biruti ona nie mieć latarnia — zauważył Kanak Kahiwa.

— Biruti ona iść po cichu bez latarnia.

— A prawda! — rzekł Marlowe. — Na Boga, dziewczyno, to nie Bruce, to Ridley.

— Ona wszystka dwa — rzucił rozdygotanym szeptem Kahiwa. Nie omylił się. Drogą biegło dwóch ludzi. Dwie latarnie miotały

w mroku smugi światła, dwie pary nóg grzmiały po twardej ziemi

— coraz bliżej, coraz wyraźniej. Biegli do wybrzeża!

Marlowe zastanowił się błyskawicznie. Mogliby spróbować uciec na statek. Nie, za wielkie ryzyko. Ridley mógł strzelać. Ridley mógł gonić na katamaranie, tyle ich leżało na piasku. „Helen a” stoi na kotwicy. Czy mogliby zdążyć na pokład i podnieść kotwicę? Już słyszą głosy. Światła rosną, zbliżają się.

— Właż do łodzi — rzekł Marlowe do Karoli. — Piorunem! Nakryję cię płótnem. Twoja Kahiva powiedziec wszystka Kanaka co być blisko. Rideli ona szukać Karola, ona wściekać się. Ona wszystka diabeł. Kanaka spać.

Kanakowie w lot pojęli, o co chodzi. Upodobanie do dramatyczności sprawiło,

że odegrali komedię znakomicie. Gdy Ridley nadbiegł z Van Kloortem i „zbudził” ich, ziewali, przeciągali się i mruczeli zirytowani tak przekonywająco, że każdemu dostało się kopnięcie i całe towarzystwo skuliło się z powrotem koło ognia.

— Jest Marlowe — rzekł Ridley.

Marlowe leżał wyciągnięty pod palmą z otwartymi ustami i rozchełstaną koshulą, oddychając głośno.

— Upił się — zawyrokował Van Kloort. Przykląkł na jedno kolano i potrząsnął leżącym. — Ale może udaje.

Wspólnymi siłami dźwignęli Marlowe’a na nogi. Chwiał się ciężko i mrugał bezmyślnie.

— Upiłeś się, chłopie? — sarknął rezydent. — Nie możesz ustać?

— Kto się upił? — zapytał ze wspaniałą godnością Marlowe. — Kto

— hep — się upił? Kto się upił jak nie ty? Czekaaj, poprowadzę cię. Czekaaj — hep...

Wziął Van Kloorta pod rękę i — odepchnięty — zatoczył się w tył. Odzyskawszy równowagę, popatrzył na tamtych z wyrzutem.

— Gdzie Bruce?

Cztery razy musieli powtórzyć pytanie, nim odpowiedział z pijackim jękaniem się:

— Na - pokładzie. Muszę- się - nim - zaopiekować. - Pi - ja - ny. — Co po pijanym żeglarzu! Hej! Co po pijanym żeglarzu! Pięk - nie. — Bardzo pięknie. Bruce — na pokładzie. Ja też — hep — chcę na pokład... Nie wrócimy do domu aż rano! Hej, nie wrócimy do dom... Czemu — wszyscy — nie śpiewacie? Tyłu was i nikt nie śpiewa?...

Gruchnął na piasek i toczył się po pochyłości póki pień palmy nie powstrzymał go. Wtedy legł bez ruchu.

— Wracajmy — rzekł Van Kloort. — Gotowiśmy obudzić całe miasto. Najprędzej schroniła się u Hendry’ego.

— Ciekaw jestem, co się dzieje z Bruce’em?

— Razem nie są. Może została w Domu?

— Swoją drogą chciałbym wiedzieć, gdzie on jest.

— Słyszałeś, co mówił ten pijak. Na pokładzie „Heleny”. Chcesz, to bierz łódź i płyn zobaczyć. Ja nie będę ci towarzyszył.

Kłótniwe głosy umilkły. Latarnie przeszły przez osadę i jęły się pięć w górę ku Domowi.

— Karola?

— Jestem.

— Poszli. Nie wylaż spod płótna. Udusisz się? Trudno. Zaraz popłyniemy. Hej! Kanaka, prędko — prędko! Jechać „Helena”.

Ostrożnie zepchnęli szalupę na wodę i Marlowe wskoczył do środka

— A co będzie z Bruce’em? — zapytał zduszony głos.

— Leż cicho. Tę suknię widać z daleka. Kto wie, czy Ridley nie patrzy ze stoku.

— Co będzie z Bruce’em?

— Nie przyjdzie.

Szalupa pomknęła po jasnej od księżyca zatoce ku „Helenie”, szarpiącej się niecierpliwie na kotwicy.

## II

Bruce zboczył z drogi na ścieżkę wiodącą do domu Fanchon. Gwiazdy już pojawiły się na niebie i księżyc wschodził nad wodą podobny do nowiutkiej monety. Bruce doświadczył dziwnego uczucia, że idzie po dnie morza. Trawa ocierała się z szelestem o ręce. Cicho było i ciemno. Domek stał w kotlinie u stóp wzgórza. Nie zawiewał tu najłżejszy wietrzyk; od białej plaży nie dolatywały żadne dźwięki.

Hackett! Tak, on to robi dla Hacketta... Wydobędzie z tej diablicy, co zrobiła z jego przyjacielem. Tylko ten powód skłonił go, żeby tu przyjść, tylko ten... Wyróżniła go? Co za wyróżnienie!... Szedł dalej ciągle pod niesamowitym wrażeniem, że stąpa po dnie zatopionego świata. Pociągnął za widmową gałąź jaśminu, schował twarz w chłodnym kwieciu. Coś dziwnie niezemskiego jest w tych woskowych płatkach. Odtrącił gałąź z nagłą odrazą. Ręce miał lepkie. Wylał niecierpliwie dłonie o spodnie, ale ledwie uszedł kilkanaście kroków, znów zwilgotniały.

Z mroku wynurzył się nieoświetlony dom. Rozróżniał ściany i spadzisty dach na tle palm. Ani żywej duszy. Opuszczona sadyba wróżki... Otwarte okna, otwarte drzwi witały i zarazem straszyły. Naszły go tłumnie wspomnienia starych bajek, czarodziejskich opowieści na pół zatartych w pamięci, których kiedyś słuchał o zmroku.

Naokoło domu rosły czerwone lilie błotne. Poznał je po dusznej woni. Stały

rzędami, w świetle wschodzącego księżyca ciemnoczerwone jak krew. Coś go chyba zaczarowało, że nie może ani krzyknąć na powitanie, ani zapukać w te otwarte drzwi? Schował głowę w ramiona

i jął brnąć przez kwiaty. Od stratowanych lilii powietrze wypełniło się wprost zabójczą wonią.

Przy drzwiach zawahał się. Wejść, czy nie wejść do tego zaczarowanego domu? W martwej ciszy słyszał tylko szalone bicie własnego serca.

Odejdź. Uchodź póki czas — ostrzegał instynkt.

Krok w tył. Jeszcze nie za późno. Może zawrócić i biec do Marlowe'a, który tam czeka niecierpliwie. Ale uporczywa chęć postawienia na swoim wzięła górę tak jak zawsze, choć tyle razy drogo płacił za nierozwagę. Wszedł do murowanego korytarza. Czy tak powinien wkraczać zwycięzca?

Oczy oswoiły się z ciemnością. Szedł wolno, szukając drzwi. Obejrzał się, zobaczył splątany azur gałęzi na tle gwiazd. Daleko w ciemnościach rozlegał się śpiew.

Doszedł do końca korytarza. Świetlista szpara błysnęła nagle u nóg. Poczuł, że włos mu się jeży na głowie. Namacał ręką drzwi. Pchnął i wszedł.

Chwilę stał olśniony światłem, oślepiiony. Zaciśnięte ręce rozprostowywały się powoli. Pokój był prawie pusty. Na śliskiej drewnianej posadzce leżał karmazynowy dywan. W rogu stała wielka waza z brązu napełniona czerwonymi liliami. Na czarnej sofie odcinały się purpurowo trzy poduszki. Po obu stronach drzwi stały dwa olbrzymie lichterze z zapalonymi świecami. Ich to blask tak go przeraził. Kto je zapalił? Bruce zamknął za sobą drzwi i przeszedł na środek pokoju.

Cisza działała mu na nerwy. Zatęsknił gwałtownie do jakiegoś dźwięku, który by przełamał czar. Ale cisza trwała. Nawet daleki śpiew zamilkł. Te trujące lilie! Dotknął chłodnych płatków i przyszło mu do głowy, że ich upojna woń na zawsze skojarzy się w jego pamięci z tym pokojem. Zgarnął włosy z czoła i potarł się po karku. Od cienistych ścian spływała trwoga, lodowatymi rękami ściskając go za gardło...

Czy Fanchon zrobiła to samo z Hackettem? Czy zmarły tak samo czekał, sam, w trwodze nie wiadomo przed czym, w stanie podobnym do złego snu? Myśl o Hackecie odgoniła strachy. Bruce przypomniał sobie, po co przyszedł. Tak, przyszedł wydusić z Fanchon prawdę o Hackecie. Otrząsnął się, wyprostował, przeszedł po pokoju. Buty stukały po posadzce. Złożył usta do gwizdania, żeby sobie dodać odwagi, ale suche wargi nie wydały dźwięku.

Wolne kroki — ktoś nadchodzi...

Serce w nim zamarło, a potem zaczęło bić jak szalone. Obrócił się do drzwi i stał tak, splatając kurczowo palce. Szum krwi w uszach ogłuszał go. Drzwi między wysokimi lichtarzami otwierały się powoli.

Weszła Fanchon i zamknęła drzwi.

— Przecież ona jest brzydka — pomyślał niedorzecznie.

To dodało mu odwagi. Postąpił ku niej i zapytał oddychając szybko:

— Dlaczego mnie wezwałaś?

Nie odpowiedziała.

— Przyszedłem, bo chciałem cię zobaczyć. Nie, nie dlatego, że ja — dlatego, że ty... Przyszedłem zapytać o — Hacketta... Był moim przyjacielem i — i już nie żyje.

Urwał, a ona milczała, jak zakłęta.

— Jego statek zatopili... Znalazły się szczątki... A burzy nie było. Znaleźli szczątki szalupy... ze śladami siekiery. Ktoś się zabezpieczył, żeby Hackett nie mógł się uratować. Mielśmy się spotkać przy Point Henry i — nie było go. Ty musisz wiedzieć, co w tym jest. On — my mamy wroga na Les Aves — kogoś, co chce nas okraść...

Obliznął zaschłe wargi. Czemu ta — nie podniesie oczu? Nie spojrzy?

— Dlatego przyszedłem. Musisz mi powiedzieć. Muszę się dowiedzieć. Ty dużo wiesz, co się wyprawia na Les Aves. Kto, jak kto, ale ty chyba wiesz, co się stało z Hackettem. Van Kloort — Ridley i ty — wy troje rządzą na Les Aves. Przypuszczam, że Ridley go zabił. Ba! gotów bym przysiąc... Wydobędę prawdę z ciebie — z niego.

Fanchon nie odpowiadała. A on rozwodził się rozpaczliwie, powtarzał się, mówił to samo w kółko, aż zgubił wątek. Padały urywane słowa z przestankami. Zaczął się wahać—jąkać, aż w końcu umilkł. Był wściekły na siebie za swą bezsilność. Czy w ten sposób ujarzmia się kobietę?

Podniósł głowę. Znow sypnął gradem nieskładnych słów. Lawina urwała się nagle. Stał zmieszany, rozdygotany, czerwony, jak smarkacz, który nie wie, co z sobą zrobić?

Teraz mu odpowie. Musi odpowiedzieć. Żadna kobieta nie zostawiłaby bez odpowiedzi takich oskarżeń. Chciał ją rozgniewać, pobudzić do odpowiedzi i urągliwych zaprzeczeń. Wtedy mógłby walczyć, odpierać cios po ciosie. Nie trzeba było tak z miejsca rozpuszczać języka. Trzeba było zacząć od umizgów, rozbroić ją, skłonić zrećźnie do zwierzeń, to by się wygadała. Stroszył się, krew mu biła do głowy, pulsowała gwałtownie w skroniach. Musi ją wybadać. Musi mu

powiedzieć, piekielnica...

W tym momencie uderzyła go nadzwyczajna białość jej cery...

Wolno, niechętnie zdjął spojrzenie z jej twarzy i mierzył całą postać od góry do dołu. Wzburzone serce uspokajało się powoli. Na próżno pobudzał się do gniewu, do wściekłości w obronie przed czymś, co szło na niego jak ściana powodzi. Zaczął kląć, pomstować i znów oniemiał. Chciał odwrócić oczy i nie mógł. Chciał powstrzymać pęd myśli i nie mógł. Załamywał się bezwolnie.

Kobieta stała nieruchoma jak posąg i niema jak posąg. Zapach lilii wydawał się żywą istotą, żywym wcieleniem miłosnych pożądań. Bruce patrzył na nią i powtarzał sobie, że to jest zła istota, podobna w swej naturze do tych trujących wonnych kwiatów. Ale nie mógł odwrócić oczu.

— Odpowiadaj — zachrypiał.

Podniosła oczy ku jego twarzy. Zaczęła mówić...

Bruce dygotał jak w febrze. Daremnie przywoływał się do porządku, daremnie powtarzał na cały głos nazwisko Hacketta. Nie wiedział, co mówiła, nie był nawet ciekaw, upajał się głosem, cichym, powolnym... Te oczy, ten głos, to ciało... Ona — brzydka? Głupie przywidzenie! Zaśmiał się dziwnym, wysokim śmiechem, aż go zabolalo w gardle. Hackett — Hackett nie żyje i już. Ridley — Ridley może poczekać. Bruce poczuł, że nie zazna spokoju, póki... póki...

Otrząsnął się, lecz tylko na moment. Zatruty czas powracał, ogarniał, oślebiał... Nieszczęśnik widział tylko ją, Fanchon. Kusicielka poruszyła się i w tym momencie Bruce pojął, że nic już go nie obchodzi ani Ridley, ani zamordowany Hackett — ani tajemnica Paiku — ani nawet honor... Wszystko jedno, dlaczego po niego przysłała. Wszystko jedno, dlaczego posłuchał wezwania. Dostyc, że się spotkali i zobaczyli. Czyż ma odejść, żeby do końca męczyć się niezaspokojonym pragnieniem? Czyż ma się skazać na wieczystą tęsknotę?

Nie mógł się odezwać. Nie mógł wymówić jej imienia. Wybuch namiętności pozbawił go mowy, wypłoszył z mózgu wszelkie myśli, zamroczył wzrok, ścisnął za serce. Pozostało tylko to jedno pragnienie. Postąpił ku niej z wyciągniętymi rękami jak człowiek w lunatycznym śnie. Zdobył się na ostatni zaiste żalony wysiłek.

— Musisz mi powiedzieć. Wiesz, co się stało z Hackettem...

Urwał. Oddychał szybko, z trudem, jak człowiek, który wygrał bieg. Stał tuż przy niej, widział z bliska jej białą skórę, białą jak te jaśmimy, w których przed godziną zanurzał twarz. Fanchon umilkła i patrzyła na niego niezgłębionymi oczyma. Podniósł ręce szczególnym, bezradnym gestem... Tak, jakby zrozumiał,

dlaczego żaden mężczyzna nie odrzucił wezwania Fanchon, dlaczego mówili o niej tylko pod przymusem, dlaczego nikt nie umiał wyjaśnić, co spowodowało z powrotem na Les Aves jej kochanków, stęsknionych, udręczonych, zniechęconych do wszystkich kobiet, prócz tej jednej...

Osunął się na kolana, powtarzał jej imię, błagał oczami o to, o co nie śmiał prosić ustami. Wiedział, że potem zostanie sam na sam z Bogiem i rozbitą duszą, ale poza nią nie liczyło się nic. Usłyszał swój własny głos, zmieniony, chrapliwy:

— Ja ciebie chcę — chcę ciebie. — Fanchon — Fanchon...

Przyglądała mu się poważnie, z namysłem, jakby się zastanawiała, czy odmówić. Na ustach igrał uśmiezek.

Otworzyła ramiona.

## ROZDZIAŁ VII

### I

O świcie zeszedł ze wzgórza Ridley. Udał się prosto do Hendry'ego. Buda się trzęsła, taką zrobił awanturę.

— Gdzie dziewczyna Hacketta? Gdzie Karola? Nie, nie! Nie nocowała w Domu! Van Kloort wysłał Kanaków, żeby przepatrzyli trzęsawiska, a pani dostała trzeci raz ataku. Dawajcie Karolę, Hendry. Założę się, że ona tu jest.

Szalał. Gospodarz przyglądał mu się ciekawie.

— Dziewczyny u mnie nie ma, ale gdyby nawet była, to bym jej tobie nie wydał. Czego wy od niej chcecie, ty i Van Kloort? Ja umiem obserwować...

Urwał uderzony wyrazem twarzy Ridley'a.

—Gdzie „Helena”?

— „Helena” ? — powtórzył Hendry.

I obaj popatrzyli bezmyślnie na zatokę. Ridley opadł ciężko na ławkę koło wyjścia. Słońce wychylało się nad widnokrąg i woda z ciemnej robiła się powoli niebieska. Białym wybrzeżem kroczyli dwaj tubylcy z włóczniami do łowienia ryb na ramionach.

— Gdzie się ta „Helena” podziała? — dziwił się głośno Hendry. — Bruce i Marlowe to chytne sztuki...

— Poślijcie Putekego do Kanaków, niech ich przepytają — porwał się Ridley. — Piorunem! Na pewno któryś widział, jak „Helena” wychodziła w morze.

Hendry pobiegł szukać Putekego, a Ridley siedząc na ławce, kopał z wściekłością ziemię. Czy Karola uciekła z tym draniem? Ridley wyrzucał sobie, że wczoraj zabrał się do niej zbyt obcesowo. Ale cóż, wzięło go. „Mała” ni z tego, ni z owego zmieniła się nie do poznania. Naturalnie ta suknia zrobiła swoje, ale było jeszcze coś, coś takiego, że nie mógł oderwać oczu. A ten stary koń, Van Kloort — jak się na nią gapił. Małe oczka ledwie nie wyskoczyły z tłustej gęby. Ridley wstał i zaczął się przechadzać tam i z powrotem.

Wrócił Hendry.

— Powiedziałem Putekemu.

— Marlowe był wczoraj kompletnie pijany.

— Pijany?

— Czy dużo pił?

Hendry pamiętał doskonale, że Marlowe wypił tylko dwie szklaneczki rumu.

— Sporo. — powiedział przezornie. (Dlaczego Marlowe udawał pijanego?) — Nieźle pociągał. Gdzieś go znalazł?

— Leżał nad wodą na piasku. Powiedział, że Bruce jest na pokładzie. O kilkadziesiąt kroków dalej drzemało przy ognisku ze sześciu Kanaków.

— Jego Kanaków?

— Skąd ja mogę wiedzieć?

Ale Hendry zaczął się domyślać prawdy.

— A może Karola zabrała się z nimi?

— Po co, u diabła, miałyby z nimi płynąć?

Nadbiegł Puteke na czele kilku przyjaciół. Stanął przed Ridley’em, zadyszany z przejęcia, — „ważny”.

— O, Rideli, ona boy mówić Marilu (Marlowe) płynąć na ona „Helena” ciemno — ciemno, noc — noc. Ona boy mówić Marilu nie pijana.

— Łżecie.

— Ona boy mówić prawda jak sam mitinari (misjonarz) — zaklinał się Puteke. — Ona mówić Karola iść „Helen a”, Karola ona wielka strach, jak Rideli przyjsć, ona schować w ona szalupa. Jak Rideli iść, Marilu ona zabrać wszystka Kanaka, zabrać Karola i wszystka na ona „Helena”!

— A Bruce? Twoja znać Biruti. Gdzie ona być Biruti?

— Moja nie wiedzieć — odparł Puteke.

Przypadkiem powiedział prawdę i Ridley wykręcał mu ręce bez skutku.



Przyjaciele Putekego poparli go wrzaskliwie, zaklinając się, że nic nie wiedzą o Brusie, nic a nic. W końcu Ridley pchnął go między nich, i cały zastęp czmychnął na wybrzeże.

— Najprawdopodobniej był na pokładzie, tak jak Marlowe mówił— podsunął Hendry, a Ridley skinął głową.

— Dobrze to sobie zaplanowali. Karola jest z nimi, ale ich jeszcze dopadnę.

Poszedł pod górę do Domu. Musi powiedzieć coś Van Kloortowi i jechać na morze. „Lampart” dobieje do Paiku zaraz po „Helenie”. A jeżeli Marlowe wolał płynąć na Waihiti i tam dochodzić sprawiedliwości? No, wtedy skarb z tej wysepki zabierze się na Lamparta bez walki, bez kłopotu. Tak, on, Ridley, miał nosa. Van Kloort jest głupi. Gdyby on, Ridley od razu popłynął na Paiku, znalazłby się w roli zająca, bo Marlowe by się wypuścił za nim. Gdyby nie burza, — ale po co biadać nad tym, co się nie może odstać? Wszystko wychodziło tak, jak sobie ułożył, tyle, że nie wziął pod uwagę osoby Karoli. Na myśl o niej przyspieszył kroku. Smarkata! Pokaże jej jeszcze! Nie zważając na żar słońca, biegł pod górę do Domu.

Van Kloort czekał przy bramie z niespokojną twarzą.

— Znalazłeś ją, co?

— Niech ją diabli! — zaklął z pasją Ridley. — Znalazłem?... Gdzie miałem szukać u diabła? Wiesz pan, gdzie ona jest? Na „Helenie” z Marlowe’em i Bruce’em...

Rzucił się na trawę i otarł spoconą twarz.

— Uciekli w nocy. Znaleźliśmy Marlowe’a na wybrzeżu, pijanego, prawda? Wcale nie był pijany. Wyprowadził nas w pole. Udało mu się. Karolę schował — leżała w łodzi, przykryta płótnem. Widział pan szalupę na brzegu? Tam się przyczaiła. Jak tylko poszliśmy, schronili się na „Helenę”. Kanakowie wiedzieli. Zdaje mi się, że Hendry także wiedział. Pewnie w tej chwili wie już cała wyspa.

Van Kloort podrapał się po karku.

— To myślisz, że koło tego ognia spała załoga „Heleny”?

— Tak.

— No, to...

Gubernator urwał. Ridley podniósł brwi.

— Gadaj, królu. Co — „to”?

— Dlaczego oni czekali?

— Czekali?

— A tak. Zeszliśmy na wybrzeże w dobre dwie godziny po zniknięciu Karoli. Czy ci to nie daje do myślenia, że marudzili dwie godziny?

Ridley potrząsnął głową.

— Nie umiem się głowić nad zagadkami. Wiem że umknęli i już.

— Chciałeś, żeby pierwsi popłynęli — zauważył z chytrym spojrzeniem Van Kloort.

— Ale kto by pomyślał, że drapną w nocy?

— Każdy by mógł pomyśleć. Wiesz, Ridley, jesteś głupi.

— Powtórz to, dostojny panie!

— Mogę powtórzyć sto razy. Wiedziałaś, jakie mieli zamiary, i gdybyś miał odrobinę rozumu, kazałbyś pilnować „Heleny” w dzień i w nocy. Gdybyś wczoraj nie ganiał za Karolą, byłibyśmy..., ale co tu gadać? Gdybyś mnie posłuchał i pożegłował na Paiku.

— Dostyc tego.

— Aha, teraz to dostyc. Muszę ci wygarnąć, co myślę, niedołego. Nie zapominaj, że jesteś w moich rękach. Wiem, co się stało z Hackettem. Nie zapominaj o tym.

— Dobrze, święty władco! Zapomnieć nie łatwo. Może i wasza królewska mość nie zapomniałaś, że mam w kieszeni sfalszowany dokument. Tę koncesję z podrobionym podpisem Carruthersa... Co pan na to, he?... Gdybym chciał wykreść kota ogonem i przysiąc, że podejrzewając gubernatora, zastawiłem pułapkę... A! proszę, strach obleciał. Masz mnie w rękach? A Maitland, to co? A przemykanie broni, to co? Możesz mnie posłać na szubienicę, ale będziesz dyndał obok mnie.

— Ja trzymam cię na stryczku, a ty mnie — powiedział wolno gubernator. — Radzę ci, nie naciągaj sznura.

Spoglądali jeden na drugiego nieufnie, badawczo, z rosnącą nienawiścią.

— Kiedy odpływasz? — zapytał Van Kloort.

— Zaraz.

Wyspiarska gościnność przeważała u gubernatora nad wrogością.

— Może się napijesz?

— Chętnie.

Weszli do domu i Van Kloort klasnął na Pukę. Wódka udobruchała współników, świat wydał im się znośniejszy. Puka pobiegł na wybrzeże z rozkazem do załogi „Lamparta”, żeby się szykowała do drogi. Zapasy były już na pokładzie.

Gdy Kanak zniknął, Van Kloort zapytał od niechcienia:

— A co będzie z Karolą?

— Jak to?

— No, jak pochwycisz Bruce'a i Marlowe'a, co z nią zrobisz?

— Dlaczego pan pyta?

— O, tak sobie — odrzucił gubernator trochę podchmielony.

Ridley postawił szklanę.

— Nie „tak sobie”. Chciałbyś, sułtanie, żebym ją przewiązał różową wstążeczką i przywiózł ci w upominku niespodziankę. O to chodzi. Nie trzecha warzyć. Znam cię, ptaszku.

Van Kloort poczerwieniał.

— Ale omyliłeś się tym razem — ciągnął Ridley. — Podzielimy się łupem z Paiku, ale nie dziewczyną. Co to, to nie. W twoje tłuste łapy ona się nie dostanie.

— Jeżeli się nie pośpieszysz, to i tobie się nie dostanie.

— Myślisz że — Bruce — ?

— Tak. Nie pojechałaby z nimi, gdyby się... tego... nie spiknęła z Bruce'm.

Ridley wstał.

— Niech tam. Bruce odwali kite, to ją sobie wezmę.

— Nie zależy ci na tym, żebyś był pierwszy?

— Co mi ma zależeć? Nikt nie może być pewny, że jest pierwszy?

— Na co ci Karola?

— Też pytanie. A gubernatorowi na co? Podoba mi się, bo młoda, świeża, i jak się zdaje, z temperamentem. Ale trudno będzie ją zdobyć. Każda ładna baba zanim da, lubi się stawiać. Kanackie dziewczęta dlatego takie nieciekawe, że same leżą do łóżka. Jeszcze bym się napił.

Wypił i skierował się do wyjścia.

— Powodzenia — rzekł Van Kloort.

— Tego nigdy nie za dużo — odparł Ridley i wyszedł.

Gubernator patrzył za współnikiem. Kiedy wróci? — pomyślał.

— A czy wróci? — dopowiedziała prędko obawa. Kto mu przeszkodzi wyprawić się z cennym łupem na Honolulu albo nawet do San Francisco? Po cóż by ostatecznie miał wracać na Les Aves? Van Kloort zbladł. Niepokój przeradzał się w coraz to nowe lęki.

Załamał tłuste ręce.

Musi się zdać na los szczęścia. Przez szereg lat pracował z Ridley'em. Złodziejski honor... Banialuki. Nie ma żadnego honoru. Wiedział, że Ridley pod-

stawiłby mu nogę, gdyby wiedział, że mu to ujdzie bezkarnie. Zastanowił się też mimochodem, kto też wymyślił bajkę, że złodziei obowiązuje honor. Wiedział z doświadczenia, że jeżeli coś ich trzyma razem, to interes. A tych, którzy są gorzej niż złodziejami, których ręce plami krew, co ich trzyma? Co go wiąże z Ridley'em?

Strach...

Wstrząsnął się i poszedł szukać żony. Pani siedziała w pustym salonie. Dysząc z gorąca, naprawiała bluzkę.

— Ridley poszedł? Dziś nie będzie na obiedzie? A gdzie Karola? Nieznośna. Wynieść się tak bez słowa! Naprawiam tę bluzkę. Myślałam, że będzie w sam raz dla niej. Prawda, jaka niegrzeczna, żeby w ten sposób... Pewnie jest w mieście. Uważam, że postąpiła bardzo nieładnie, nieprawdaż? Nie rozumiem, po co ją sprowadziłeś. Bo jeżeli ma uciekać, ni z tego, ni z owego...

— Niech ucieka — sapnął Van Kloort, waląc się na trzciny fotel.

Patrzył na ruchliwe palce żony, ale myślami był przy współniku.

Zamknął oczy i zaraz napłynęły obrazy. „Lampar t” żegluj na Paiku co wiatru w żaglach, w pogoni za nieprzyjacielem. Ridley rwie się do walki. Będzie walka. A tam het! het! na morzu — Paiku, wysepka, otoczona rafami, bita przez fale, bezmyślne fale, które ją sobie wybrały z całego archipelagu na składnicę skarbów.

Bo to skarby, rzadsze niż perły, droższe niż złoto, te bezkształtne grudy, przez które wielu ludzi może stracić życie. Van Kloort poruszył nabrzmiałymi ustami.

— Szara ambra — szepnął. — Szara ambra...

## II

„Helena” posuwała się szybko. Paiku leży na północo-zachodzie. Wiatr był zmienny i Marlowe musiał lawirować. Spoglądał niespokojnie na wysokie fale. Statek kołysał się od uderzeń wiatru, bowiem postawił wszystkie możliwe żagle. Pod pokładem silnik pracował cicho i równomiernie. Krzyknął na spoconych Kanaków, żeby go zatrzymali. Nie było sensu marnować paliwa przy dobrym wietrze. Marlowe'a otaczał przy sterze pył wodny. Otarł z niego oczy i poprawił się na siedzeniu. Ręce miał mokre. Bolały go wszystkie kości, ale bał się oddać ster Kanakowi przy niepewnym wietrze, zmiennym i porywistym. Z każdym sil-

niejszym przechyłem statku z ust sternika wyrwało się siarczyste przekleństwo.

— Koszula ci przemokła — zauważyła Karola.

Siedziała obok na pokładzie z podkurczonymi nogami. Spojrzał na nią tłumiąc śmiech. Uciekła z Les Aves w wieczorowej, wydekoltowanej sukni. Gdy wiatr silniej powiał, suknia wydymała się nad jej głową w kształt balonu. Karola była wściekła. Uciekła do kajuty Marlowe'a i zajęła się garderobą. Skoro świt ukazała się zdziwionym Kanakom w niebieskiej koszuli Bruce'a i welwetowych spodniach Marlowe'a, obciętych równo przy kolanach. Stare szelki i wyświechtany pas ratowały tę ostatnią część ubrania przed opadnięciem. Karola przechadzała się uroczyście po pokładzie i wykręcała na wszystkie strony jak modelka na pokazie. Marlowe wreszcie stłumił chęć do śmiechu.

— Chodź i usiądź tutaj — rzekł. — Wyglądasz, jak zwariowany kwiat.

— Masz mokrą koszulę — powtórzyła.

— To i co z tego? — wzruszył ramionami. — Woda morska nie może zaszkodzić. To nie to co rzeczna. Szanuj te spodnie. Obcięłaś nogawice bez pozwolenia. A ta nowa koszula — prawie nowa... Bruce kupił ją w czasie ostatniej bytności na Waihiti.

Na wzmiankę o Brusie umilkli oboje, jednakowo zawstydzeni i przygnębieni. Co on tam robi na Les Aves? Po co się zastanawiać? Oddał się w niewolę Fanchon. Karola odwróciła głowę, lecz Marlowe zdążył pochwycić gorący rumieniec.

— Niech go diabli! — zaklął. — Mówił, że musi iść do niej w sprawie twojego ojca. Zapewniał, że wydusi z niej prawdę. Może miał szczyry zamiar. Może na początku... Ale myślę, że go ciągnęło do tej dziwki.

Nachylił się nad sterem. Czuł, że statek jest mu posłuszny, jak żywa istota.

— Przykro ci? — zapytał obcesowo.

Karola nie odpowiedziała. Głos jej uwiązł w gardle. Była przerażona własnym gwałtownym wzruszeniem i rozpaczą. Co przeważało w jej wzburzonym sercu: gniew, nienawiść czy zazdrość? Z pewnością gniew, że ich zawiódł, że nie dotrzymał słowa i nie wrócił przed północą. Oczarowany nową przygodą, zapomniał o nich obojgu.

Wiatr zaczął słabnąć, Marlowe wrzasnął na Kahiwę, żeby przyszedł objąć ster. Ziewając, przeciągnął się i zeszedł pod pokład. Kucharz postawił miskę na stole, otaczającym główny maszt. Karola została na pokładzie. Siedząc z kolanami podciągniętymi pod brodę, patrzyła bezmyślnie na rozhuśtane fale. Imię Fanchon paliło ją w mózgu. Co to za kobieta? Co to za kobieta!?... Karola pamiętała ją na Les Aves, jak tylko mogła sięgnąć pamięcią wstecz. Wydawała się odwieczna,

wieczna, niezmienna. Była złym duchem bezwietrznej wyspy, przekleństwem mężczyzn, których gubiła bez ratunku. Karola przypominała sobie wszystko, co kiedykolwiek o niej słyszała. Chciała dojść, czym ta kobieta podnieciła nawet Bruce'a, twardego człowieka, który nic sobie z niczego nie robił, a przede wszystkim z kobiet. Ale za mało wiedziała. Widziała Fanchon przy księżycu — wysoka postać szybko mignęła wśród cieni. Słyszała głos. Poza tym nic. A może część jej uroku polega na tej tajemniczości, na ukrywaniu się?

Niech ją szlag!

Karola wstała i skierowała się do kajuty, schodząc bez pośpiechu po trapie. Marlowe drzemał nad konserwą wieprzową. Podniósł na nią senne oczy.

— Co ci jest? — zapytała.

— Jestem cholernie zmęczony — mruknął ociężale. — Uważaj na Kanaków, Karola. Prześpię się z godzinę. Która też może być godzina?

— Koło ósmej!

— Jakby co, to krzyknij na mnie.

Rzucił się na koję i momentalnie usnął. Karola wyszła na pokład i przyglądała się morskiemu ptactwu, kołującemu nad statkiem. Słońce szło w górę i już ostro dopiekało. Podróż na Paiku wymagała trzech dni.

— Dziś, jutro i pojutrze — dumiała Karola — i będą na miejscu. Ale bez pogoni się nie obejdzie. Karola widziała Ridley'a okiem duszy: jego twarz srogą, groźną, zawziętą. Dobrze go przejrzała. Poznała po oczach, co to za człowiek. Aż ją dreszcz przeszedł, gdy na nią spojrział. Ten zbój, ten rekin. — Jakże się przed nim uratuje? Oglądała się na smugę skotłowanej wody za rufą, czy nie zobaczy pościgu, którego zresztą była pewna. Kanak na bocianim gnieździe wyśpiewywał donośnie, kołysząc się w takt przechyłów statku. W górze ptactwo darło się przeraźliwie. Marynarze utrzymują, że są to dusze żeglarzy — topielców, wiecznie tęskniące za ukochanym morzem. Karoli, gdy tak patrzyła na ten powietrzny taniec, przypomniały się słowa ojca:

— Morze mnie kiedyś pochłonie, córuchno. Ale nie myśl wtedy, że leżę na dnie jako mokra zgnilizna. Nie myśl o krabach i o rybach huk a, które jedzą topielców. Ja nie legnę w mule. Nie! Otrzymam skrzydła i nauczę się chwycić dziobem ryby.

Córka się śmiała, a i jego twarz marszczyła się w uśmiechu.

Zwróciła oczy na spienioną wodę i nagle zstąpiło na nią uczucie osamotnienia i opuszczenia. Komu zaufać? Kto wyratuje ją z niebezpieczeństw tej szalonej podróży? Uciekając na „Helenie” naraziła się Ridley'owi i Van Kloortowi. Gdy

„Lampart” dogoni ich, kto wie, czy nie zwycięży Ridley. Jakie szanse może mieć Marlowe z nią i garstką Kanaków przeciwko jego sile? Widziała już Ridley’a zwycięzcą i ta wizja przejęła ją trwogą. Gdyby był Bruce... Ale Bruce został na Les Aves.

Gdy Marlowe wyszedł na pokład, powitała go umyślnie odważnym uśmiechem. Mruknął coś i odebrał ster od Kanaka Kahiwy.

— Północno-zachodni będzie nam towarzyszył do Paiku. Karola, nie masz nic do roboty, to mi skreć tę linę. Kahiwa, twoja być przy ster długo-długo, twoja dobra chłopak. Twoja iść do kuchni i jeść mnóstwo.

Zaczekał póki nastroszona grzywa Kahiwy nie znikła w forkasztelu.

— Karola, umiesz strzelać?

Skinęła głową.

— Tatuś mnie nauczył. Mówił, że mi się to może przydać.

Marlowe kiwnął głową.

— Dobrze zrobił. Przyda ci się ta umiejętność.

— Myślisz, że dojdzie do walki?

— Mamy do czynienia z Ridley’em, a czy on kiedy komu przepuścił? Dla nas najważniejszy jest czas, ale niewiele zyskamy, bo już ruszył w pogoń.

— Ale tam na Paiku prędko załatwimy sprawę.

— Do Paiku można dobić tylko podczas ciszy. Dogodny dostęp jest od strony laguny, lecz morze usiane rafami. Możesz zejść i przyjrzeć się mapie. Sama poznasz, jak blisko da się podpłynąć, żeby spuścić łódź. Niech Bóg ma nas w swej opiece.

Karola kiwała głową.

— Ale nie cofnę się! Jak się nie uda, to umrzemy.

Dziewczyna potrzęsnęła wojowniczo czupryną. I ona była gotowa walczyć do upadłego. W chytrych oczach Marlowe’a błysnęło zadowolenie. Musiał ją czymś zająć, zainteresować, żeby nie myślała o człowieku, który ich oszukał, przez którego mogli zginąć. Obiecywał sobie, że jeżeli się spotkają, to się z nim rozprawi. Zapłaci bydlak za swoją zdradę. I ta kobieta także zapłaci. Kim ona jest, żeby zarzucać sieci i snuć intrygi dla własnych celów, bez względu na dobro i życie innych? Marlowe zacisnął ręce na sterze z taką wściekłością jakby to była szyja osławionej Fanchon.

Dzień upływał powoli. O zachodzie, gdy pokład zasnuły cienie, wiatr wzmógł się gwałtownie. Wysoko spiętrzone fale ciskały się na burty białymi czubami. Marlowe zwinął żagle. Po ciemniejącym niebie sunęły zygzakowate chmury,

przesłaniając blade gwiazdy. Zdradziecka fala wynurzywszy się z ciemności przewróciła Karole i poniosła ją po pokładzie. W ostatniej chwili przytrzymała się masztu. Przerazona odpoczywała, łapiąc powietrze. Marlowe kazał jej zejść pod pokład. Odmówiła. Zawołał więc na Kahivę i Aorę i gdy ci zajęli się sterem, ruszył ku niej wielkimi krokami po śliskim pokładzie.

— Złaż na dół! — ryknął. — Ty wściekła kocico, rób, co każe, bo —  
Porwał ją i pchnął brutalnie ku kajucie.

— Zejdź, bo zepchnę — zagroził. Sztorm, to nie zabawa dla kobiet.

Morze pochłoneło Hacketta. Nie trzeba, żeby pochłoneło i jego

córkę. Zatrzasnął luki i wrócił do steru. Przez całą noc na zmianę z Kanakami prowadził „Helenę” przez rozszalałe morze. O świcie rozpostarło się nad szarymi wodami szare niebo. Wiatr przycichał, jakkolwiek fale piętrzyły się wciąż wysoko. Pokład był zalany. Marlowe zeszedł na dół. Znalazł Karolę zasepioną, wyzywającą. Usiadł sztywno na skrzyni. Po pracowitej nocy był kompletnie wykończony.

— Spałaś? — zagadnął.

— Nie.

Karola spojrzała na jego znużoną twarz i momentalnie złagodniała. Podsunęła mu jedzenie, przekroiła polec mięsa. Uśmiechnął się.

— Nie będziemy się kłócili, prawda?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie.

Stała tuż przy nim. Objął ją niedbale wpół i przyciągnął do siebie.

— To daj buzi — zażartował.

Pocałowała go w same usta, niewinnie i prowokująco zarazem.

Poszła na pokład, a on siedział zapatrzony w przestrzeń nad nietkniętym jedzeniem.

Cóż się stało? Co to za bolesne ostrze wbiło się w jego serce wraz z dotknięciem jej warg? Pocałowała go od niechcienia, bo nie dba o niego. Sercem wyrywa się do Bruce’a...

Do Bruce’a...

Zacisnął pięści, aż knykcie zbieleły.

## ROZDZIAŁ VIII



## I

Bruce leżał twarzą na piasku. Żałował, że żyje.

Ostry żwir kłuł obnażone ramiona. Cień palmy odsuwał się ze słońcem, południowy żar objął nieruchome ciało.

— Dostanę porażenia słonecznego — przemknęło mu przez myśl.

— Trzeba się przesunąć.

I przetoczył się w cień.

Marlowe dotrzymał słowa. Odpłynął o północy, a Karola z nim. Dla nich — otwarte morze i szalone przygody, dla niego — zgniłe Les Aves i udręka samopogardy. „Helena” wypłynęła cicho z przystani w mroku gwiazd. Marlowe stał przy sterze, czujny i spokojny, Kanakowie musieli się denerwować. A Karola? O niej wolał nie myśleć.

Dlaczego był taki głupi? Ach, dlaczego? Obiecywał sobie, że wydusi z Fanchon tajemnicę śmierci Hacketta. Zawztał się. Był pewny siebie, beztroski, chłodny. Marlowe błagał, żeby zaniechał ryzykownego zamiaru. Marlowe przeczuł, że z tego nie wyjdzie nic dobrego. A on go tylko wyśmiał i pobiegł do tej kobiety. Czy na niego czekali, czy też darowali mu choćby godzinę, czy nasłuchiwali, czy wypatrywali wśród cieni?

Zawiedli się na nim... Myśl ta paliła go ogniem upokorzenia. On, Bruce, który chełpił się swoją uczciwością, oszukał przyjaciół. Pamiętał, jak się zawsze wyśmiewał z mężczyzn, dających się ogłupić kobietom. Nazywał ich durniami, głupcami i teraz został takim samym idiotą. Co robił, gdy „Helena” wychodziła w morze, że nie usłyszał brzęku łańcucha kotwicznego? Czy wszelkie dźwięki były niesłyszalne prócz bicia serca Fanchon?

Wstał i powłókł się do Hendry'ego. Ten nalał mu bez pytania podwójną porcję.

— Coś blady jesteś?

Bruce wypił i postawił szklanekę z brzękiem.

— Marlowe odpłynął?

— Tak. Zabrał Karolę.

— A Ridley?

— Co tak ochrypleś? Ridley też — ze dwie godziny temu.

I gospodarz popatrzył na Bruce'a uważnie.

Nieszczęsny kiwnął głową. Hendry spojrzawszy ku morzu, rzekł:

— Troje popłynęło, ale czy wszyscy wrócą? Jak ci się zdaje?

— Jak to czy wrócą?

— Ridley wyprawiał się, aby zabijać — powiedział otwarcie Hendry.

— Myślisz, że jesteś na „Helenie”. Ja to samo pomyślałem, a tu patrzę

— idziesz.

— Wy? Może. Ridley co innego. On...

— Myślał, że jesteś na statku.

— O, nie. Hendry, wy potraficie zgadnąć, dlaczego nie popłynąłem.

Gospodarz kiwnął głową.

— Masz w oczach to samo, co każdy po wyjściu od Fanchon. Nieszczęśliwe, niesyte spojrzenie. Każdy myśli, że dozna u niej ukojenia i każdy odchodzi zadowolony. Diablica nie kobieta.

— On to sobie zaplanował — mówił Bruce wspierając brodę na zaciśniętych pięściach. — Jeszcze nalejcie, Hendry. Kazał jej mnie zatrzymać. Nie przewidział, że Marlowe i Karola popłyną sami. Myślicie, że nie przeglądałem tej intrygi? Ukartował całą rzecz z Van Kloortem i Fanchon. Dałem się nabrać jak szesnastoletni gówniarz.

— Wpadłeś. Nie wiem, jakie on miał plany, ale jestem przekonany, że odpływając nie wiedział, że jesteś na wyspie.

Bruce opuścił głowę na ręce. Upłynęła godzina a on siedział bez ruchu. Hendry, sądząc, że śpi, zamknął okiennice.

Ale Bruce bynajmniej nie spał. W jego udręczonej wyobraźni snuły się twarze Marlowe’a i Karoli, pełne wyrzutu i wykrzywiona triumfalnym uśmiechem morda Ridley’a. Widział, jak na jawie „Helenę” na falach, a za nią w pościgu zdradzieckiego „Lamparta”. A on tu został na Les Aves, bezsilny, bezczynny. Co jakiś czas w zamęcie obrazów wyłaniała się Fanchon, lecz przejmujące, upojne wspomnienie rozplątywało się natychmiast w goryczy na myśl, jak drogo za to zapłacił.

Usiadł prosto i zgarnął włosy z czoła.

Ktoś wszedł do sklepu.

Van Kloort!

Sapał z gorąca. Hendry natychmiast wydobył Old Highland. Rezydent wytarł kark, położył biały kapelusz na wysokim stołku pod ścianą i jał kłać na gospodarza, na upał i na wysoką cenę Old Highlandu z jednakową zaciekłością. Gdy się odwrócił, spotkał się ze wzrokiem Bruce’a.

— Wielki Boże! — zawołał i usiadł zadyszany.

Mierzyli się oczami. Policzki Van Kloorta zachodziły powoli bladością. Ręka, obejmująca szklanę, drżała. Źrenice latały niespokojnie, co dowodziło, że dygnitarz jest przerażony. Bruce podniósł się bez pośpiechu i postąpił ku niemu. Van Kloort powściągnął rozdygotane nerwy. Jakim sposobem, u diabła, ten drab jest na wyspie?

— Czego chcesz? — wyjąkał.

— Gdzie Ridley?

— Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Pewnie wybrał się na południe po kopkę.

— Łgarzu! Urządziliście mnie we dwóch.

— My urządziliśmy cię?

— Tylko bez udawania i bez pogroźek! — krzyknął Bruce, bo zaczynało się w nim gotować. — Nie chciałeś, żeby Ridley pierwszy wyruszył? Nie wszystko poszło po twojej myśli, stara Świnio! Marlowe miał szczęście, że udało mu się wypłynąć.

— Oszalałeś! — nastroszył się rezydent.

— Ja? Zobaczymy, kto oszalał, panie Van Kloort. Ridley już pewnie gna na Paiku. Ty, on i Fanchon...

— Fanchon?

— Nie udawaj. Pouczyliście Fanchon, co ma robić.

Fanchon? Van Kloort zastanawiał się gorączkowo. Widział odpowiedź Ridley'a na świstku papieru, na którym Fanchon pytała, czy zatrzymać Bruce'a na Les Aves, czy nie. Ridley napisał: nie. Nie! Więc co się stało? Van Kloort popatrzył niespokojnie na Bruce'a.

— Byłeś u Fanchon?

— Byłem.

— Mówisz, jakbyś miał nóż w plecach — wtrącił Hendry. — Może łykniesz, to ci się lepiej zrobi?

Ale Bruce machnął ręką, że nie chce.

— Dlaczego pytasz, ekscelencjo? Zwabienie mnie do niej to robota wasza i Ridley'a. Wy troje znacie się na podłych intrygach. To, co zrobiliście z Hackettem...

— Mylisz się — przerwał Van Kloort. — Przysięgam, że ani Ridley, ani ja nie wiedzieliśmy o twojej schadzce. Myśleliśmy, że jesteś na „Helenie”.

Bruce zawahał się. Rezydent wydawał się szczery. Jego zdziwienie, gdy zobaczył Bruce'a, też było szczere.

Hendry, który ich miał na oku, widział, że Van Kloort zbladł, a Bruce nie wie, co robić z rękami. Zaciskał pięści i otwierał.

Van Kloort więcej się nie odezwał. Nacisnął kapelusz na głowę i wyszedł. Było mu gorąco i miał pragnienie, ale bał się zostać w jednym pokoju z Bruce'm. Pot lał mu się po karku, koszula przyłgnęła do ciała. Spieszył na górę do domu z jedną myślą w głowie: Co Bruce teraz robi? Przystanął dla nabrania oddechu i spostrzegł, że nogi pod nim drżą. Dlaczego Fanchon to uczyniła? Jakim prawem postąpiła na przekór Ridley'owi? Van Kloort otarł spoconą twarz. Któż mógł wiedzieć, czy za tym wszystkim nie kryła się jakaś złowieszcza intryga?

Przy ścieżce, wiodącej do domu Fanchon, zawahał się. Może by mu powiedziała, co zaszło? Jeżeli — jeżeli spiskuje z Ridley'em przeciwko niemu, to on to z pewnością odgadnie, po jej zachowaniu się. Skręcił ze stromej, zwirowatej drogi między pachnące krzewy. Czuł przyśpieszone bicie serca. Ridley zapłaci — oj zapłaci, jeżeli zdradził. Liany oplatały mu nogi, powoje chwytały za ubranie, a z bagniska za olbrzymimi paprociami wzbijała się biała, parna mgła. Szkarłatna papuzka wrzasnęła mu nad głową, ale rezydent nie miał czasu podziwiać jaskrawej, bujnej przyrody Les Aves. Pochłaniała go intryga. Musiał wybadać Fanchon.

Doszedł do domu i depcząc po liliach, wgramolił się na ganek. Kanak, drzeмиący w kącie, usłyszał kroki, skoczył na równe nogi. W rękę dzierżył kris, a na twarzy miał wyraz gotowości. Ale na widok rezydenta, ochłonął.

— O! Keluti, twoja przyjsć do Faniton?

— Tak. Twoja powiedzieć Faniton prędko — prędko.

Kanak pobiegł, cicho jak kot, spełnić rozkaz.

Van Kloort obawiał się, że zacznie z niego kapać, tak był spocony. Łażnia, istna łaźnia na tej przeklętej wyspie! Trzasnął laską w drewnianą balustradę i poprawił mokry kołnierzyk. Z głębi domu zawołano: „O Keluti!” więc wszedł w chłodny korytarz. Kanak wprowadził go do pokoju, wyłożonego sosnowym drzewem. Na ścianie wisiało lustro; pod ścianą stała niska sofa. Zielone okiennice były zamknięte.

Fanchon stała na środku pokoju. Przywitała go z powagą.

Van Kloort zwałił się na sofę, postępując.

— Upał, ależ upał, co? — zaczął. — Jak w piecu. Dwanaście lat i jeszcze się nie przyzwyczailem. Fanchon, co ty, u Pana Boga... To jest, chciałem powiedzieć, dlaczego?...

Utknął, ale nie kwapiła się mu pomóc.

— Bruce był u ciebie wczoraj w nocy...

Skinęła głową.

— A przecież nie miał być. Ridley chciał ich wypuścić przodem. Myśli, że Bruce jest na „Helenie” i wyprawił się za nimi. Bruce tymczasem jest na wyspie i gotów nam wszystko popsuć. Wiesz, co to za człowiek — nigdy nie daje za wygraną. Upatrzył sobie Paiku. Lada chwila pogoni za Ridley’em.

Sapał bezradnie.

— Czy nie widzisz, co z tego wyniknie? — pytał. — Ridley, dostanie się we dwa ognie. Czemu to zrobiłaś, co? Wpakowałaś nas w tarapaty. Czy nie czytałaś co ci Ridley odpisał? Co ci też strzeliło do głowy, kobieto?

Fanchon wzruszyła ramionami. Van Kloort obserwował ją bacznie.

— Rozegraliśmy we troje niejedną grę — ciągnął wolno. — Ja i Ridley zgadzaliśmy się z sobą nieźle. Ale w tej sprawie nasze zdania się rozeszły. Chciałem, żeby popłynął pierwszy i zaczął się tak, jak na Hacketta. A on — nie. Niech Bruce płynie pierwszy... Co pomyśli, gdy zobaczy, że został oszukany?

Ta strona zagadnienia przedstawiła się rezydentowi z groźną wyrazistością.

— Pomyśli, że ja maczałem w tym palce! — zawołał ochryple.

— Pokłóciliśmy się już o to, a co będzie, gdy wróci? Co? Gadaj, czarownico! Upewni się że ja — że to moja robota!

Wargi mu się trzęsły.

— Zestarzałem się — biadał. — Nie mnie walczyć z Ridley’em. On jest młody i wściekły jak rozżarty rekin. Jeśli z tego będzie bieda — to — miej ty się na baczności, Fanchon.

Wstał i zajrzał w jej śmiałe oczy.

— Czy ty z nim to ukartowałaś?

— Nie.

— Więc czemu wezwałaś Bruce’a?

— Bo mi się tak podobało.

Tłumione obawy Van Kloorta wyładowały się wybuchem:

— Bo ci wpadł w oko, co? Takie buty, moja damo! Pamiętasz naszą umowę sprzed lat, że będziemy działali w porozumieniu, że żadne nie zrobi nic za plecami pozostałych. I teraz ty — ty nas zdradziłaś diablicco! Kto wie, czy nas nie zgubiłaś. Jeżeli Marlowe będzie górą, to co się stanie z nami. Dla nas nie będzie miłosierdzia. Ach, ty, głupia, czy chcesz, żeby nas powiesili?

Jak zapalił się, tak zgasł. Usiadł, przybity, ledwie żywy z gorąca, znękany, złamany trwogą o przyszłość.

— Co robić? Jeżeli zatrzymamy Bruce’a na wyspie...

— Nie możemy go zatrzymać.

Popatrzył na nią znacząco.

— Ty możesz.

Fanchon potrząsnęła głową.

— Nie.

— A gdybyś po niego posłała? Ridley mógłby tymczasem coś zdziałać.

— Nie.

— Dlaczego nie? — nalegał. — Musisz to zrobić, Fanchon. Innego sposobu nie ma. On się postara o statek — w razie czego ukradnie — i popłynie za Ridley'em na Paiku. Nie możemy do tego dopuścić, powiadam ci...

Milczała.

— Nie chcesz? — zapytał.

— Nie.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

Mierzyli się oczami.

— Dlaczego? — powtórzył i w głosie jego brzmiała groźba, zrodzona ze strachu. Pot zalewał nabiegłe krwią oczy. Otarł powieki wierzchem mokrej dłoni.

Fanchon milczała.

— Musisz go ściągnąć — nastawał ochryple, bo już głos odmawiał mu posłuszeństwa. — Fanchon, ty nas zgubisz. Bruce go zabije, jeżeli się za nim wyprawi.

Fanchon spojrzała na niego z pogardliwym skrzywieniem ust. Rezydenta ogarnęło nagle poczucie bezradności, jakby tonął i nie mógł dłużej walczyć.

— Na Boga, tobie chyba wszystko jedno, szalona kobieto!

Wstał i ruszył ku drzwiom. Stapał ociężale jak starzec. Nie oglądając się dorzucił:

— Jeżeli zatrzymasz Bruce'a na wyspie, dostaniesz zapłatę, jakiej sama zażadasz.

— Nie chcę nic.

Obrócił się ku niej z rozpaczliwym załamaniem rąk.

— Co się z tobą stało?

— On tu przyszedł nie dla mnie — przemówiła wolno Fanchon. — Myślał, że

mu powiem, co się stało z Hackettem. Dieu! A mnie się chciało śmiać. Myślałam, że będzie tak jak z innymi, ale — wyszło inaczej.

— Jak to?

Nie chciała powiedzieć więcej. Podszedł i wykręcił ją twarzą ku sobie.

— Fanchon, ty nigdy nie dbałaś o kogokolwiek. O żadnym swoim kochanku nie pomyślałaś dwa razy. A teraz — ten — Bruce...

— Tak.

— Nie bądź głupia. Nie znałaś go. Wczoraj pierwszy raz z nim mówiłaś. Ty nie... Chyba się w nim nie zakochałaś?

— Tak — padła cicha, wolna odpowiedź. — Nie jesteś młody, mon ami. Wiesz, jak to bywa... Więcej po niego nie poślę.

— Ale jeżeli ci tak przypadł do gustu — miotał się rezydent — to dlaczego nie chcesz go zatrzymać, u wszystkich diabłów? Czego ci więcej potrzeba, wariatko? Zatrzymaj go póki Ridley nie załatwi na Paiku Marlowe'a...

— Nie.

Patrzył na nią, nie wierząc własnym uszom. Ale wiedział, że „diablica” mówi prawdę. Marnie żyła, wyzbyła się wszelkiej czci, gubiła ludzi i naraz zebrało się „głupiej” na skrupuły.

Van Kloort wyszedł bez słowa na cichy, wonny upał. Z trudem przedostał się na górę do drogi, j<sup>^</sup>rowadzącej do Domu. Przystanął, żeby wytrzeć twarz. Morze spało, ciche i błękitne, jak niebiosy. Do przystani wchodził statek ze szkarłatnymi żaglami.

— Ani chybi Fairless — rzekł na głos.

Skręcił i szedł pod górę, zasepiony, znużony życiem i złymi przeczuciami.

## II

„Hiszpański Grand” przybił do brzegu w całej krasie rozpiętych w słońcu szkarłatnych żagli. Załoga śpiewała przy szotach. Monotonna pieśń zlewała się z szelestem leniwych fal, zamiatających białe wybrzeże. Brzęk łańcucha kotwicznego wywabiał Hendry'ego na próg.

— Fairless w przystani — oznajmił z dłonią nad oczami.

— Co to kogo obchodzi? — mruknął obojętnie Bruce.

— Mówią, że w Anglii czeka na niego strychezek.

— Kłamstwo.

— On jednak nie doczeka starości ten Fairless — rozgadał się szynkarz. — Tacy nie umierają w łózkach. Ciekaw jestem, co teraz robi.

— Pewnie sam kręci na siebie sznur. Hendry, jak myślicie, Van Kloort się odgrażał?

Hendry potrząsnął głową.

— Nie. Okropnie się zląkł, jak cię tu zobaczył. Fairless przybija do brzegu.

— Diabli z Fairlessem!

Ale usłyszawszy głos Fairlessa, podniósł głowę. Chwytał się chciwie wszystkiego, co go mogło oderwać od myśli o sobie. Stał w drzwiach. Szkarłatne żagle gorzały w tropikalnym słońcu. Przypomniawszy sobie, że Fairless miał szczególne upodobania, że przepadał za jaskrawymi barwami i dźwięcznymi słowami. Pamiętał jego piękne ręce, wiecznie ruchliwe, wiecznie czegoś dotykające. Czyżby ten człowiek trwożył się, że czar życia musi się skończyć? Czyżby dlatego tak chciwie korzystał z jego darów? Czyżby chciał poznać przed śmiercią wszystkie barwy, dźwięki i widoki? Każdy nowy dzień mógł być ostatni. A więc chłonać z życia co się da, co się tylko da!

Fairless wszedł rozmawiając z Hendrym. Skinął głową Bruce'owi. Był niemal tak czarny jak Ridley; pomimo szczupłej budowy potrafił bić się jak lew. Był niebezpieczny. Przy dobrze przekroczonej trzydziestce miał młodzieńczy wygląd, niesłychanie zwodniczy.

— Co się z tobą stało? — zwrócił się do Bruce'a, podczas gdy Hendry dzwonił szkłem na ladzie. — Wyglądasz jak zbity pies.

Bruce schował głowę w ramię i odwrócił się. Przybysz zrobił wielkie oczy.

— Co tobie?

— Pilnuj swoich interesów.

— Nie mam żadnych interesów. Obijam się.

Przyjechałem po koprę, ale załaduję dopiero za tydzień. Co ci jest? Gadaj.

Bruce wyszedł znów na próg i spojrzał ku przystani. „Hiszpański Grand” stał na kotwicy, obmywany leniwie falami. Oprócz niego w porcie znajdował się tylko jeden statek, „Mary Rose” Scarletta. Na wybrzeżu leżały krzywym rzędem katarany Kanaków.

— Fairless.

— No?

— Ile chcesz za swój statek?



— Za mój statek?

— Tak.

— Ja go nie chcę sprzedać.

— Naznacz cenę — mówił Bruce dziwnie zbielełymi ustami. — Potrzebuję na gwałt szybkiego statku.

— Mojego nie dostaniesz.

— Słuchaj — błagał Bruce — prowadzisz awanturnicze życie. Uganiałeś się po całym świecie za głupstwami... A dla mnie to sprawa życia i śmierci...

Urwał. W dziwnych orzechowych oczach właściciela „Granda” grały wrogie błyski. Bruce chwilę się wahał, wreszcie rzekł:

— Nie chcesz sprzedać. A jako pasażera byś mnie zabrał?

— Dokąd?

— Na Paiku.

— Po co.

Słuchał z uwagą, gdy Bruce wyrzucał swoją opowieść krótkimi urywanymi zdaniami. Oczy mu zajaśniały jak zwykle na zew nowej przygody. Zwilżył ukradkiem usta.

— Szara ambra... Jesteś tego pewny?

— Tak!

— Ridley — zastanawiał się Fairless. — Owszem, chętnie bym się z nim spotkał. Mamy porachunki... o dwie sprawy

— O?

— Raz na Waihiti. Przelicytował mnie...

— O kobietę poszło?

— Tak!

— Ridley — zastanawiał się Fairless. — Owszem, chętnie bym się z nim spotkał. Mamy porachunki... o dwie sprawy.

— O?

— Raz na Waihiti. Przelicytował mnie...

— O kobietę poszło?

— Tak.

— A drugi raz?

Twarz awanturnika nachmurzyła się groźnie.

— Drugi raz tutaj — na Les Aves...

Przygryzł usta do krwi. Bruce to zauważył.

— Jeżeli przychyłisz się do mojej prośby — rzekł — jeżeli weźmiesz mnie na pokład i popłyniesz za Ridley'em, przyjmiemy cię do spółki. Dostaniesz czwartą część.

Fairless zdecydował się w jednej chwili.

— Dobrze. Ale musimy zabrać zapasy. I mam do wyładowania trochę towaru.

— Za godzinę musimy wyruszyć — niecierpliwiał się Bruce. — „Lampar t” płynie chyżo. Czy, „Hiszpański Grand” ma silnik?

— Nie, ale jest to najszybszy żaglowiec. Hendry—zakupy — piorunem! Co to mi potrzeba — mąki, konserw wołowych, kawy...

W sklepie zrobił się ruch. Fairless zawołał swoich Kanaków, którzy nadbiegli kłusem. Niebawem naładowana szalupa mknęła całą siłą wioseł ku „Grandowi”. Trzy razy obróciła, aż z wioślarzy lał się pot. Fairless wyładował na piasek całą stertę towarów przywiezionych z Amanu, żeby Hendry zabrał je w wolnej chwili. Żądał nowych lin, i Hendry przewracał sklep do góry nogami, a Bruce przeklinał stratę czasu. Hendry, czerwony od wysiłku, odstawiał jedne za drugimi rzędy jaszkawych puszek z wędzonką i fasolą. Szukając rozpaczliwie potrzebnego artykułu, opróżnił całą półkę z budzików, motków bawełny, czerwonych chustek do nosa i męskich półbutów. Bela pasiastej flaneli spadła z lady, rozwinęła się i okręciła mu wokół nóg. W sklepie duszno było od kurzu, dymu i wyziewów alkoholowych. Przyszło mu na myśl, że zarzucone gdzieś sznury mogą leżeć koło maszyn do szycia. Schylił się do najniższej półki, nadział rękę na igłę i przez chwilę wył z bólu z palcem w ustach. Ale znalazł ów zwój. Znalazł tam, gdzie schował. Kanakowie są urodzonymi złodziejami, a lina dla Kanaka — cennym skarbem. Hendry pochwycił zwój i podniósł triumfalnie nad głową.

— Mam! — wrzasnął. — Mam!

I nagle, tak jak stał, z ręką nad głową, rzecz można skamieniał. Tamci patrzyli na niego zdumieni. Gapił się nad ich głowami, lecz gdy się obejrzel, zobaczyli tylko ścianę i zamknięte okna. Więc czemu tak okropnie zbladł? Czemu oczy znieruchomiały w przerażeniu?

— Hendry! Hendry! Co się stało?

Nie słyszał. Doświadczyli dziwnego przywidzenia, że zapadł się gdzieś i została tylko martwa figura — manekin.

— Co się stało? — szepnął Fairless.

Hendry opuścił powoli rękę. Trwoga znikła z oczu, krew napłynęła do twarzy. Najoczywiejszej wizja, która mu się objawiła, pierzchła.

— Hendry, co to było?

Patrzył na nich jak obudzony ze snu. Fairless zaczął się niecierpliwić.

— Dalej. Czekam na tę linę.

Kupiec patrzył na niego, nie ruszając się z miejsca.

— Co u licha? Dajcie mi tę linę. Jaka długość? Sześć sążni?

— Fairless — rzekł Hendry, z trudem dobywając głosu — ty musisz zostać. Ty nie pływaj z Bruce'm.

Mówił szkockim akcentem, jak zawsze w chwilach silnego wzburzenia.

— Nie pływaj — prosił z przejęciem. — Czeka cię nieszczęście.

— Skąd wiecie?

— Widziałem. Widziałem cię... Nie pływaj z Bruce'm. Pożegłujesz po śmierć.

— Bzdury. Nie możecie wiedzieć.

— Jestem jasnowidzący — tłumaczył szynkarz. — Umrzesz, wyjąc z bólu Fairless. Wyjąc z bólu...

Awanturnik zaśmiał się beztrąsko.

— Ech, bzdury! Wróćmy z Bruce'm z ładunkiem cenniejszym od złota. Musieliście za wiele wypić, Hendry. Dawajcie tę linę i zróbcie rachunek. Bruce, twoja garderoba została na „Helenie”. Weźmiemy parę koszul...

Załatwiwszy wszystko, poszli do czekającej szalupy. Kanakowie już się zmagali z łańcuchem kotwicznym, a żagle były postawione. Scarlett, zajęty na pokładzie „Mary Rose” przeciąganiem takielunku, zaniechał na chwilę roboty i patrząc ciekawie za nimi wykrzykiwał coś na pożegnanie. Na skalnym przylądku dwaj Kanakowie łowili ryby włóczniami. Nagie ciała lśniły w słońcu jak brąz.

Szalupa odbiła od brzegu. Spod kilu umykały w popłochu błękitne i złote h o b o żerujące na gnijących szczątkach roślinnych i zwierzęcych, które im dalej od plaży, rozmywały się i zanikały. Weszli na „Hiszpańskiego Granda”! Fairless wykręcił dziób statku ku otwartemu morzu, w ucieczce od przeklętej wyspy, od jej cichych, ponurych lasów i upiornych trzęsawisk, porośniętych czerwonymi liliami

o trujących kwiatach. Les Aves wyglądała za odpływającym statkiem zadrośnię i ukradkowo, niby podstarzała kobieta, od której uciekają kochankowie.

Bruce odwrócił się ku morzu. O! jak dobrze uciec z tej stęchłej dziury! Wiatr wzmógł się niedaleko od brzegu i Bruce czuł na rękach chłodne bryzgi wody. Skrzypienie lin odzywało się w jego uszach echem muzyki. Zapach nasmołowanych postronków upajał jak wino.

A na Les Aves Hendry zakrywał twarz, żeby odgonić natrętną wizję; wizję człowieka z rozpostartymi rękami, wijącego się w męce...

## ROZDZIAŁ IX

### I

Rano trzeciego dnia „Helena” dopływała do Paiku, już widocznej z bocianiego gniazda.

Słońce wychylało się leniwie zza widnokregu, niebo szaro-czerwone zachodziło barwą szafranu. W górze ukazywały się szerokie smugi błękitu, zasłane pasmami białych chmur, wróżących wiatr. Marlowe pokazał Karoli ciemny pas u nieboskłonu.

— To będzie Paiku.

Dziewczyna z wrażenia wstrzymała oddech.

— O, jak to dobrze! Jak długo jeszcze będziemy płynąć?

— Ze trzy godziny.

Ale zeszło więcej niż trzy godziny.

Już czuli pod kilem uderzenia fal od strony raf. Statek miotał się i rzucał jak koń, którego opadną psy. Marlowe, choć nie czuł już rąk, nie odważył się powierzyć steru Kanakowi. Zaciśnął zęby i mocował się z kołem. Nic dziwnego, że Hackett nie zatrzymał się, gdy sztorm rzucił go na Paiku. „H e l e n a” podchodziła wolno do brzegów wysepki. Marlowe śledził niespokojnym okiem linię piany, oznaczającą rafę. Szukał wejścia do laguny. Ale szukanie to było męczące. Minęło południe, a oni jeszcze błądzili po falach wzdłuż wybrzeża.

— Dziś już nic nie dokażemy — orzekł Marlowe. — Diabelska wyspa, jak Boga kocham! Te cholerne rafy — prawie słyszeć jak zgrzytają o dno statku. Szkoda, że zmarnowaliśmy większą część dnia!

Karola zajadała suchary. Wiatr zwiewał jej włosy na twarz. Odgarnęła je wolną ręką. Siedziała jak zwykle w kucki na pokładzie.

Marlowe rzucił na nią okiem.

— Ale z ciebie dama! — zaśmiał się urągliwie. — Chciałbym, żeby cię Bruce zobaczył.

Zarumieniła się gniewnie.

— Czy myślisz, że mi na nim zależy? Czy myślisz, że spojrzalabym teraz na niego?

— Nie dziwiłbym się, gdybyś go poczęstowała nożem — rzekł z wielką przebiegłością. — Drugiego takiego drania...

— Cicho! — wrzasnęła.

— Więc to tak? Tobie wolno na niego wygadywać, a innym wara. Puść go w trąbę, dziewczyno. Nie zawracaj sobie nim głowy.

— Zgoda. Niech idzie do diabła. O! rekin! rekin.

Dwadzieścia metrów za rufą szarobiała płetwa przecięła powierzchnię wody. Kanakowie również zobaczyli ludojada. W innych warunkach spuściliby kawał mięsa na haku i mieliby zabawę, ale nie było na to czasu. Poprzestali więc na wymyślaniach i przekleństwach. Marlowe śmiał się.

— Dziwna rzecz: oni są przekonani, że rekin rozumie. Zupełne dzieci... Ciekawe, gdzie jest teraz Ridley?

— Niechybnie goni za nami jak wściekły — odparła Karola. — Ale musie-

liśmy go znacznie wyprzedzić. Nie widzieliśmy świateł.

— Nie spotkaliśmy żadnych statków oprócz tego holenderskiego transportowca. Wiesz, co ja myślę?

— No?

— Że Ridley się nie pokaże, póki nie załadujemy towaru. Dopiero, gdy będziemy gotowi do powrotu, „Lampart” wychyli łeb z morza. Zaczai się na nas, tak jak zaczął się na Hacketta. Ridley lubi walkę na morzu. „Lampart” ma działko na pokładzie.

— Niemożliwe. To statek handlowy.

— Myślisz, że Van Kloort nie wie o poczynaniach Ridley’a? Możesz mu powiedzieć, jak wrócimy. Będzie się miotał i dopytywał, a co, a jak? Wysłucha cię łotr, ale nic Ridley’owi nie zrobi. Skręciłbym karki tym dwom sukinsynom.

— Będą mieli za swoje — rzekła pocieszająco Karola.

— Od nas naturalnie — przytaknął groźnie — Do diabła, wiatr zmienił kierunek.

„Helena” uderzona z boku silnym podmuchem, chybotając się zeszła z kursu. Zaczęła się kołysać tak niebezpiecznie, że żagle nieomal dotykały zachłannych fal. Marlowe walczył ze sterem, żeby ustawić dziób do kursu. Niebieskie żyły nabrzmiały na wyprężonych rękach, jakby miały popękać. Kahiwa przybiegł z pomocą. Biały i brązowy ratowali zagrożony statek wspólnymi siłami. „Helena” ześliznęła się w bruzdę wodną i wyprostowała ze wstrząsem, jakby odetchnęła.

Do samego wieczora zmagali się z wiatrem, z rafami i krzyżującymi się prądami. Znaleźli dostęp do laguny, lecz luka była wąska. Tylko szalupa mogła przez nią przejść. Marlowe spojrział na słońce bliskie zachodu. Niebo już ciemniało i pokazywały się nagle gwiazdy.

— Za późno — orzekł. — Spróbujemy o wschodzie słońca, Kahiwa — twoja powiedziec Kanaka spuścić pływającą kotew. My tu zostać cała noc. Rano skoro świt iść laguna.

Kahiwa kiwnął głową.

On miał przeprowadzić szalupę przez wąski otwór w rafie, osłaniającej lagunę.

— Ona ciemna noc nie iść — powiedział z zadowoleniem. — Ona źle — źle iść ciemna noc.

Odbiegł i za chwilę pływające kotwie plusnęły w wodę. Marlowe nie chciał ryzykować zarzucenia kotwicy gruntowej wśród skruszonych raf. Ogromne płocienne pływaki wzduły się, użyczając statkowi równowagi.

— Ten rekin jeszcze się tu kręci — odezwała się Karola. — Od godziny cią-

gnie za nami — bestia.

Marlowe zmarszczył brwi. Wśród marynarzy panuje przesąd, że skoro rekin trzyma się statku, to znak, że trzeba się mieć na baczności.

— Niech go szlag! — mruknął z pasją. — Za ciemno, bo strzeliłbym do niego.

— Spróbuj. Słońce jeszcze nie zaszło.

Karola przyglądała się, a Marlowe dobył rewolweru. Jeden strzał, drugi i woda zaczerwieniła się od krwi. Momentalnie z dziesięć płetw pośpieszyło na miejsce kaźni. Rozdarty brzuch rekina mignął na powierzchni i znikł w żarłocznych paszczekach.

Marlowe schował rewolwer.

— Zwietrzą krew o milę. Szkoda zachodu i amunicji aby zabijać jednego. Widzisz, ile się tego zebrało. Ale pojrzą go, to się wyniosą.

Ostatnie blaski zachodu oświetlały wzburzone morze. Nim rekiny wyjadły do czysta szczątki i odpłynęły, już zapadł zmierzch.

Marlowe i Karola zeszli na dół. W forkąsztelu Kanakowie przekomarzali się dobrodusznie przy jedzeniu. Na pokładzie dla dodania sobie odwagi śpiewała wachta. Wysoko nad pokładem mrugało i błyskało białe światło, niby gwiazda strącona z kursu. Fale tłukły się z łoskotem

o rafę. Marlowe klnąc na zimną kawę, spostrzegł na twarzy Karoli cień niepokoju.

— Co się stało? (Kahiva, twoja powiedziec kucharz ona kawa zimna — zimna. Ona ma być gorąca — gorąca, sama ogień. Twoja powiedziec Marilu zła — zła, może bić kucharz). Karola, co ci jest?

Dziewczyna położyła ręce na stole, a na nich głowę.

— Boję się — powiedziała. — Zostaw mnie samą, to mi to przejdzie. Czy miewasz przeczucia, jeżeli coś ma się stać?

— Tak.

— Mnie to naszło.

w Podniosła głowę. Zobaczył drżenie ust. Odstawił kubek z taką siłą, że denko pękło z głośnym hukiem. Obszedłszy stół, objął dziewczynę w pól.

— Przedemną nic nie ukrywaj, dziewczyno... Masz ochotę, to płacz... Miałaś złe dni. Wpierw ojciec, a teraz z tym Bruce'm — draniem... O! nie musisz się czerwienić. Wiem, co masz w sercu. Kochasz go, chcesz go, ale że Fanchon go zdobyła zamordowałaś oboje. Nieprawda?

Poczuł pod rękami konwulsyjne drżenie.

— Nie myśl o nim, moje dziecko. Musimy się przygotować na walkę z Ri-

dley'em. Szkoda nerwów.

Karola wzdrygnęła się trwożnie.

— Jeżeli „Lampart” posiada działko — rzekła — to tak czy owak nie mamy szans... Tak, przejrzałeś mnie. Ale nie ma co o nim mówić. Będzie czas się martwić gdy się pokaże.

Marlowe puścił Karolę. Miała łzy w oczach, jednak głowę podniosła wysoko. Zarumieniona, z ustami drżącymi od płaczu, ujęłaby za serce każdego mężczyznę.

— Spróbujemy się bronić, choć z tego nic nie wyjdzie — odezwała się. — Ridley... prędzej umrę, niż...

Nie dokończyła. Przypomniała sobie oczy Ridley'a, wtedy gdy zastał ją u Hendry'ego. Jeżeliby zwyciężył, jeżeliby Marlowe padł od kuli, co by się z nią stało? Przypomniała sobie jeszcze spotkanie z Ridley'em w ogrodzie rezydenta. A tak, wiadomo, co by się z nią stało. Marlowe wyczytał te obawy z jej twarzy.

— Dam ci broń — rzekł. — Patrz, mały rewolwer, ale skuteczny.

Otworzył kluczem skrzynkę, okutą żelazem, i położył na stole drobny błyszczący przedmiot.

— Rzadko używany — dodał. — Bruce wygrał go od jednego Hiszpana w Port Edwardzie. Grali w pokera, i Hiszpan splukał się do czysta. Masz pas z kaburą — w sam raz. Uważaj — nabity. Ale ty przecież nie jesteś oferumą...

Karola wsunęła rewolwer do kabury.

— Strzelaj tylko wtedy, gdy nie będzie innego wyjścia — ostrzegął.

— Gdyby mnie szlag trafił — a wszystko możliwe, bo Ridley dobrze strzela — gdybym ja... tego... będziesz musiała radzić sobie sama. Nasza załoga, póki ja jestem — bezpieczna. Słuchaj, jeśli ja zginę i Ridley...

— Wpierw padnie trupem...

Marlowe myślał chwilę.

— Więc zabiłabyś Ridley'a z zimną krwią?

— Tak — wyrzuciła przez zaciśnięte zęby.

Zajrzał jej w oczy.

— Ja ci lepiej doradzę. Masz zabić jego, to raczej zabij siebie. Bo, choćbyś zastrzeliła Ridley'a, to przecież pozostaną Kanakowie...

— Rozumiem.

— Nie rozumiesz. Co ty możesz wiedzieć? Mówię ci to, bo Bóg wie, co się może zdarzyć. Coś ci opowiem. Rok temu byłem na Degas z ekspedycją, która szukała w górach zabłąkanego białego z żoną. Jego nie znaleźli, tylko ją, i przywieźli nieszczęśliwą, ale miłosierniej byłoby przeciąć jej gardło. Trzy miesiące



leżała, zanim umarła. Widziałem ją. Zlana potem, wpatrywała się nieprzytomnie w ścianę i jęczała. Coś okropnego jak jęczała — nie jak kobieta, a jak otruty pies. To był skowyt.

— Nie mogła powiedzieć, co — co się stało?

— Nie, bo usta miała... Ach, nie będę ci o tym opowiadał. Szatany, nie ludzie! I oni wszyscy jednakowi. Nasi zrobiliby to samo. Cywilizacja, wpływ misjonarzy — to wszystko zawracanie głowy. Zawracanie głowy, słyszysz? Ten i ów się nawróci, ale to tylko pozory, bo pozostają takimi bydlętami jak byli. Gdyby tam w kraju wiedzieli, co to za dzicz, to nikt by im nie przysyłał czerwonych flanelowych kamizelek i innych prezentów. Przysyłałiby im raczej nitroglicerynę...

Wstał i skierował się ku trapowi. Gdy się obejrzał, Karola stała pod wiszącą lampą nieruchoma jak posąg.

— I nie zapomnij tego co ci powiedziałem. Zmarnowaliśmy przez te rafy blisko siedem godzin. Jak się tylko rozwidni, wyprawimy się na lagunę. Może jednak zdążymy załadować towar nim Ridley przybędzie?

— Słaba nadzieja.

— Idź się przespać — rzekł Marlowe. — Gdyby coś zaszło, to cię zawołam.

Wyszedł na pokład. Wiatr ucichł i „Helena” chwiała się łagodnie pod naporem przeciwnych prądów. Maszty wydawały się niebotyczne, wanty znikwały w mrowiu gwiazd.

Ciemność — mroczna woda — łoskot fal o rafę...

Marlowe stał i wyteżał wzrok ku południowi. Ale ciemnego widnokregu nie rozwidniało najśłabsze światełko. Mimo to czekał cierpliwie na pojawienie się „Lamparta”.

## II

„Lampart” płynął z południo-wschodu. Ridley rozpiął tyle żagli, ile się tylko dało. Na próżno Kanakowie podnosili sprzeciw, gdy statek przechylał się niebezpiecznie. Ridley tylko się śmiał. Wyprawił się aby zabijać. Powziął nieodparte postanowienie; wyzywał żywioły; jego okrutna wola panowała nad duszą statku. Daremnie gniewne fale biły w burty. Wiatr mógł się wykręcać, mógł kapryścić jak kobieta, on nic sobie z tego nie robił. Prędzej, prędzej — jak najprędzej dognać nieprzyjaciela!

Przemknęła mu myśl, że może Bruce popłynął na Waihiti zakwestionować

ważność koncesji. Ale — machnął ręką. Bruce i Marlowe to ludzie czynu, a tacy nie dbają o formalności i papiery. Nie, oni raczej skorzystali z okazji i wylądowali na Paiku, zabrali cenną ambkę i — i...

I co? Dokąd by popłynęli? Mniejsza z tym, bo i tak mieli za mało czasu... Ridley postanowił zacząć się w pewnej odległości póki „Helena” nie odbije od wyspy. „Lampart” jest bardzo chyży i posiada działko... Czy Marlowe wie o tym? Jeżeli nie, to niedługo się dowie.

Ridley sam sterował i „Lampart” po prostu śmigał po spienionej wodzie. Ręce zbrodniarza zaciskały się mocno na kole. Kochał ten piękny statek, tak posłuszny jego woli. Popatrzył po silnie wydętych żaglach, twardych jak bębny. Wiatr zawodził w olinowaniu, piana pryskała na pokład. Kabina pokładowa, świeżo pomalowana, wznosiła się dumnie nad białymi deskami. Serce korsarza śpiewało razem z wiatrem. Biel żagli na tle błękitu upajała go radością życia. To życie pogoń za skarbem i kobietą!

Karola!

Na wspomnienie wieczoru w ogrodzie rezydenta zagryzł usta. Uciekła mu szelma! Gdyby wiedział o jej planie ucieczki z Bruce’em, nie puściłby jej tak łatwo. Dziwne, że mu tak zawróciła w głowie. Nie wiedział, dlaczego zajął się nią tak nagle, bo przecież znał smarkatą od dzieciństwa. Z dnia na dzień przeobraziła się w kobietę. Uległ mimo woli czarowi jej zmysłowości i impertynencji. W salonie „gubematorki”, zarumieniona i podniecona, wydała mu się tak powabna, iż poczuł, że nie zazna spokoju, póki jej nie zdobędzie. Krew się w nim gotowała na myśl o tej nietkniętej krasie. Co łatwiej opanować, statek czy kobietę?

Kanak na bocianim gnieździe machnął ręką i pokazał za rufę.

— Jedna statek — doleciało słabo od rozkołysanej postaci. — O! Ridley, ona statek, co być Fahiless.

Fairless? Co, u diabła, Fairless robi na tych wodach? Może Hoawa się omylił...

Ridley przechylił głowę w tył i wrzasnął:

— Ona statek czerwona — czerwona?

— Ona czerwona — czerwona, Rideli! — odkrzyknął Hoawa.

A więc Fairless! Ale co go przyniosło pod Paiku? Wyspa leży z boku od uczęszczanego szlaku handlowego, odosobniona, niebezpieczna ze względu na rafy. Jednak Fairless bez powodu by tu nie zboczył. Czyżby głupiec przypuszczał, że w lagunie są perły? Ba, zawsze był skłonny do głupich awantur. Ridley’owi zrobiło się dziwnie nieswojo. Nie mógł się otrząsnąć z niepokoju. Próbował wmówić w siebie, że tylko przypadek zagnał tu owe czerwone żagle, i że nim noc

zapadnie, zginą w oddali. W nagłym i niespodziewanym pojawieniu się „Hiszpańskiego Granda” nie było w gruncie rzeczy nic złowieszczonego. Mimo to Ridley nie mógł się opędzić złym przeczuciom. Na próżno silił się na lekceważący śmiech, na próżno rezonował przed sobą, że nie ma powodu do obaw. Przecież Fairless nie mógł wiedzieć o skarbie na Paiku. Gdy „Lampart” wychodził w morze, nie było go w przystani. Więc co tu robi w odległości półtora dnia żeglugi od Paiku?

A może przybił do portu wkrótce po odbiciu „Lamparta” i natychmiast wyszedł na morze. Czy to możliwe? A nawet jeżeli tak było, to dlaczego, żegluje na północo-zachód? Jedyńi ludzie, świadomi tajemnicy Paiku, znajdują się na pokładzie „Heleny”. Więc co to może znaczyć?

— Na Boga! — rzekł na głos Ridley. — Van Kloort wie.

Tak. To by wyjaśniało zagadkę. Ridley przypomniał sobie wrogie spojrzenie rezydenta i lekką sprzeczkę, którą stoczyli o to, czy od razu płynąć na Paiku. Czyżby Van Kloort chciał mu podstawić nogę? Czyżby się spiknął z Fairlesssem, zwierzył mu się i na gwałt wyprawił w pogoń za „Lampartem”? Van Kloort byłby zdolny do takiej zemsty. Niby to byli przyjaciółmi, ale znalazłyby się porachunki do wyrównania. A teraz jeszcze wchodziła w grę Karola. Ridley widział jak na jawie zmysłową gębę Van Kloorta i jego niespokojne ręce. Stary rozpustnik! Przeżył młodość, zostawił za sobą daleko gorące porywy i uniesienia i pragnienia miłości i już tylko diabeł palił w starym piecu, a jeszcze diabeł nie daje za wygraną.

Ridley’a ogarnął gniew. Jakim prawem Van Kloort ośmiela się myśleć o Karoli? Nie dosyć miał kobiet? Tu nasunęła się Ridley’owi nieunikniona odpowiedź, że człowiekowi, póki żyje, nigdy dosyć. Przypomniał sobie swoją przeszłość, swoje podboje i kobiety, o które walczył, jak i te, o których zapominał o świcie.

„Hiszpański Grand” towarzyszył mu nieustępliwie cały dzień. Ridley powierzył ster Hoawie i wszedł na maszt z lornetką. Tak, Fairless, nie ulega wątpliwości!

Przyciśnięty do rozkołysanego masztu, Ridley wyteżał wzrok, czy nie zobaczy, kto jest na pokładzie. Czyżby Van Kloort — o! nie! Van Kloort nie narażałby życia w walce. Nie warto patrzeć, bo go nie ma.

Ridley zeszedł na pokład bynajmniej nie uspokojony. W miarę jak czas upływał, niepokój jego wzrastał. W tym coś jest, że Fairless uczepił się go jak rzep psiego ogona. Jeżeli to nawet przypadek, to diabelnie niedogodny. Nie byli w przyjacielskich stosunkach. Fairless wszedł mu w drogę dwa razy, raz na Waihi-ti—poszło o dziewczynę — a drugi raz... o drugim razie wolał nie myśleć.

Musi się go pozbyć, do cholery!

Czy Fairless wie, że na „Lamparcie” jest działo? Może tak i dlatego trzyma się w bezpiecznej odległości. Ridley miotał się w bezsilnym gniewie. Co to będzie? Zeszedł na dół napić się, ale „podła” wódka była bez smaku. Wrócił na pokład i odebrał ster od Hoawy. Miało się ku wieczorowi. Wiatr zawiewał od przodu. Obliczał, że dobieje do Paiku dopiero nazajutrz przed zachodem słońca.

Słońce zachodziło w krwawej smudze. W górze przeleciał z wrzaskiem orzeł morski. Na pokładzie słały się czarne cienie. Ridley zaniepokoił się, bo wiatr stał się nagle ostry, przejmująco chłodny. Co to? Czyżby sztorm? Spojrzał na Kanałów, przyciągających linę. Jazgotali i pokrzykiwali beztrosko. Odetchnął. Gdyby miał być sztorm, chodziliby jak struci.

Za to on sam nie mógł w sobie obudzić zgaszonej fantazji. Ten

— pościg za „Lampartem” rozstrajał go. Czy nie mówił Van Kloortowi, że nie lubi być zającem! „Hiszpański Grand” pochłaniał go całkowicie i na próżno starał się skupić myśli na swoim „zajacu”, „Helenie”. Nawet obraz Karoli nie mógł odgonić złowieszczej wizji szkarłatnych żagli. Słońce, osuwało się coraz niżej, aż na morzu utworzyła się jakby krwawo-czerwona ścieżka. Tak samo krwawo zachodziło słońce w dzień walki z ojcem Karoli. Pamiętał czerwony odblask na zakrwawionej twarzy Hacketta, ранnego, skrepowanego, bezsilnego. „Jestem ostatnim, którego zabijasz” — powiedział nieszczęśliwy, i Ridley uderzył go w usta...

A jeżeli to prawda?

Mówią, że człowiek w chwili śmierci staje się jasnowidzący. A jeżeli Hackett wiedział? Co mógł wiedzieć? Że „Lamparta” czeka zguba? Bzdury. Kłamstwo. Hackett chciał go nastraszyć. Ridley otrząsnął się wzgardliwie. Lecz nie mógł się pozbyć wspomnienia Hacketta, którego statek zatopił, a jego samego, uwięzianego do kotwicy, wrzucił do morza w Głębokiej Cieśninie. Diabli nadali, że ten głupiec Hawes wyłowił szczątki szalupy.

Chociaż, czy to może mieć znaczenie? Żadnego. Nie dowiedliby mu niczego. Bruce i Marlowe podejrzewają go, tak! ale i z tym zrobi się porządek. Usta właściciela „Lamparta” zacięły się z wyrazem okrucieństwa. Karola... ech! to, co myśli czy czuje kobieta, jest zawsze bez znaczenia. Może go sobie nienawidzić, może się opierać, zwinna kocica, ale to głupstwo. On ma w ręku asa, wysoką kartę, wobec której reszta talii to śmiecie. To, czego chce, może zagarnąć prawem silniejszego. Kocica może walczyć do upadłego i tyle tylko zyska, że nazbiera siniaków i zmęczy się, a wtedy już on sobie z nią poradzi. Czy triumf będzie mniej

słodki, bo zaprawiony wściekłością kocicy? Podobną poznał w Tungasie, mieście korzennych woni. Na to wspomnienie doświadczył znów radosnego dreszczu zwycięstwa, bo tamtą pokonał po zacieklej walce. Wydało mu się, że widzi w cieniu masztu jej piękną twarz i przerażone oczy. Obiecywał sobie, że znów kiedyś wyprawi się na wietrzne równiny, gdzie króluje Tungas, miasto marzeń.

Słońce zaszło i na morze spłynęła zasłona ciemności. Oko ześlizgnął się z masztu i przyszedł zameldować, że „Hiszpański Grand” nie zaprzestaje pogoni.

— „Spanita Grand” ona jedna dwa światło. A gdyby ona „Lampariti” nie śpieszyć i ona „Spanita Grand” dogodnie „Lampariti”. Dobrze — dobrze, Rideli?

— Twoja źle — źle — fuknął Ridley.

HLR

Więc „Hiszpański Grand” dogania „Lamparta”? Co w tym jest? Co w tym jest, do wszystkich diabłów! Jeżeli to ręka Van Kloorta, to zapłaci on za to. Na Boga! dobrze zapłaci.

— Muszę się przespać, bo inaczej oszaleję — powiedział Ridley na cały głos.

Posłał Hoawę do steru i zeszedł na dół. Spał wśród rozrzuconych derek dwie godziny jak kamień, z głową wciśniętą mocno w poduszkę, z pięściami wpartymi mocno w piersi...

Obudziwszy się, przełknął kawę z rumem, i wyszedł na pokład. Statek kołysał się lekko. Hoawa wyszczerzył radośnie zęby. Ridley kazał mu jeszcze chwilę zostać przy sterze, a sam Wspiął się na maszt. Zawisł wysoko nad ciemną wodą. Nic, żadnych świateł. Wyteżył wzrok. Nic. Doznał ulgi tak wielkiej, że aż dławiącej.

— A może to jakiś podstęp? — przemknęło mu przez myśl. — Może Fairless żegluje bez świateł, żeby się podsunąć bliżej w ciemnościach?

Wyciągnął szyję omiatając spojrzeniem czarne morze. Lecz widział tylko odbicie gwiazd. Nic więcej.

## ROZDZIAŁ X

### I

W bezwietrznej godzinie przed świtem Marlowe poszedł budzić Kanaków na pokładzie. Obudził również Karolę.

— Spiesz się, prędko — prędko! naglił rozespaną załogę. — Jechać laguna co ma być Paiku. Ridley ma przybyć prędko — prędko. My się śpieszyć, my jechać Paiku, my znaleźć mula — mula. Być dużo — mula — mula, to Kanaka zjeść dużo — dużo solona wołowina.

Solona wołowina to ulubiony przysmak Kanaków, toteż cała załoga w mig otrząsnęła się z senności. Nie mogli pojąć, na co komu mogła się przydać mula — mula, niezdatna ani na odzież, ani do jedzenia, a więc według nich rzecz bez wartości.

— Ty zostaniesz na pokładzie — oznajmił Marlowe Karoli krótko i węzłowato.

— Odwal się! — odpaliła. — Nie mów nic, bo szkoda słów.

Stała przed nim śliczna, wyzywająca, z głową zadartą wojowniczo.

Podszedł i oparł jej ręce na ramionach.

— Zrobisz to, co każę. Nie mamy wiele czasu. „Lampart” może się wyłonić zza horyzontu lada minuta. Nie mam czasu się z tobą użerać. Musisz zostać.

— Nie zostanę — oświadczyła stanowczo. — Nie wiem, czy wśród stu tysięcy kobiet jest jedna, która by zbierała ambre własnymi rękami. Nie prawda? Nie pozbawisz mnie tej przyjemności, Marlowe.

— Ty diablico — westchnął. — Nie umrzesz śmiercią naturalną.

I spojrział gniewnie. Ale Karola odważnie patrząc w jego rozognione wściekłością niebieskie oczy, uśmiechnęła się.

— Zabierzesz mnie?

Odepchnął ją, po prostu z desperacją.

— Dobrze, już dobrze — rzekł bezradnie. — Gdybyś była chłopcem, wziąłbym na ciebie kija, a tak... Widzisz tę lukę w rafie? Nie wiadomo, czy zobaczymy dziś zachód słońca.

Tarcza słońca wyszła na niebo groźnie zaciągnięte ciemno żółtymi oparami. Mogła to być zła wróżba, ale nie było czasu zastanawiać się nad pogodą. Już szalupa bujała się u burty i Kahiwa nawoływał wrzaskliwie do pośpiechu. Załoga „Heleny” składała się z sześciu Kanaków. Marlowe zostawił na pokładzie dwóch. On i trzej z pozostałych mieli wiosłować. Kahivie przypadła rola sternika. W jego brunatnych rękach spoczywało życie wszystkich. Musiał, uważać, wypatrując stosownej chwili, żeby wpłynąć bezpiecznie do laguny na grzbiecie fali.

Kanakowie wsypali się do łodzi. Marlowe wskoczył za nimi. Karola skoczyła mu wprost w ramiona. Omijając pływające kotwie, wiosłarze jęli pracować. Żeby dobić do Paiku musieli wyteńczyć wszystkie siły. Przeprawa była nad wyraz ciężka. „Helena” znajdowała się w odległości dobrej mili od rafy. Marlowe bał się podpłynąć bliżej. Nurty, krzyżujące się wśród raf, rzucały szalupą jak korkiem. Wiatr spał, ale w miarę jak się zbliżali do wyspy, fale rosły. Karola znalazła w skrzyni szufłę i energicznie wylewała wodę. Co chwila zdawało się, że się wywróca. Mięśnie bolały od bezustannego wysiłku. Pochylali się nad wiosłami, oślepieni pryskającą pianą, ogłuchli od ryku fal, i zadyszani. Kahiva stał wyprostowany na dziobie łodzi patrząc ku wąskiej luce w rafie. Śpiewał pieśń sterników. Wysokie, wyraziste tony dochodziły do uszu wiosłarzy w postaci słabego dźwięku.

Szalupa wpadła w kipiela wodną przy samej rafie. Pieśń Kahivy spadła do niskich, ostrzegawczych tonów. Nakazywał, żeby zwolnili, starając się usilnie zachować równowagę. Karola przemokła do nitki. Ją też bolały wszystkie kości.

Marlowe klął zupełnie bezwiednie. Kanakowie siedzieli z kamiennymi twarzami. Pieśń Kahivy podniosła się do wysokich tonów i znów zgięły plecy. Dalej, dalej, dalej! Przyjaźni bogowie pamiętajcie o sterniku! Tony pieśni podnosiły się w górę, w górę, w górę, aż przeszły we wrzask. Karola wiedziała, co to znaczy.

Leżała na dnie, pełna oczekiwania na ostateczny krzyk — rozkaz dla wiosła-  
rzy, żeby podnieśli wiosła. Zgarnęła z czoła mokre włosy. Niebieska koszula była  
zupełnie przemoknięta. Pomyślała ni z tego, ni z owego, że może Bruce gniewałby  
się, że mu ją zniszczyła. Nagle obraz Bruce'a pierzchnął, bo szalupa uniosła się  
jak podrzucona, Kahiva wrzasnęła: Huaa, huaa, huaa, huaa, huaa, huaa! za  
siódmym okrzykiem lśniąca pióra wiosła śmignęły do góry i szalupa, niemal za-  
lana zielonym odmętym, wystrzeliła przez lukę do laguny.

Tu woda była spokojna. Ulga po strasznej walce z morzem rzuciła Kanaków  
twarzami na wiosła. Ręce opadły bezwładnie, barki podnosiły się i opadały w  
przyśpieszonym oddechu. Marlowe, strząsnąwszy wodę z oczu, sięgnął po bu-  
telkę. Kahiva obejrzał się na lukę w rafie. Poruszył głową.

— Zła być ona, zła.

Laguna leżała pod porannym słońcem niby zaczarowane zwierciadło, laz-  
rowe odbiciem nieba. Karola, przechylona przez burzę, ciągnęła ręką po chłodnej  
wodzie. Widziała roje rybek, uciekających spod szalupy, złotych, niebieskich,  
purpurowych, bogatych barwami szlachetnych kamieni. W trwodze przed po-  
tworem w górze usiłowały skryć się w kępie koralowych krzaków.

Sama Paiku była mała i płaska. Ku wodzie schodziło pochyłe białe wybrzeże.  
Dalej rosły drzewa kokosowe, pandany i nieliczne drzewa chlebowe. Świat  
zwierzęcy reprezentowały stada hałaśliwych papug, które fruwały jak szalone tu i  
tam, dziwiąc się wrzaskliwie, co to za goście zawitali w ten daleki zakątek oceanu.  
Gdy kil zazgrzytał o żwir, Marlowe zauważył:

— Spokojnie tutaj, co?

Karola kiwnęła głową.

— Bardzo. Na Les Aves też cicho, ale jakoś zupełnie inaczej.

— Tak. Taka różnica jak między uczciwą dziewczyną i dziwką.

Zreflektował się dodając:

— Chyba nie jesteś zgorszona? Tylko staruchy i dewoci czerwienią się słysząc  
ostrzejsze słowa. Dalej, wysiadamy.

Wyniósł ją na brzeg. Wylądowali od północy i w tym celu musieli opłynąć  
wyspę. Wyrwy w rafie nie było stąd widać. Kryła się za lekkim wzniesieniem i  
gęstym lasem. Rozpalony piach skrzypiał gościnnie pod stopami przybyszów.



Miło było stanąć na twardym gruncie. Kahiva i Puahe skoczyli w wodę i brodzili ku brzegowi. Dwaj Kanakowie zostali w szalupie. Ci podnieśli się i zaczęli wolno wiosłować.

Wstępne rozpoznanie wyspy Marlowe przeprowadził jeszcze z pokładu, przez lornetkę. Zauważył miejsce, gdzie nierówne grudy na wybrzeżu obiecywały bogate żniwo. Karola złapała go za rękę i kazała biec. Widok jej zarumienionej, roześmianej twarzy ścisnął mu serce skurczem bólu. Nie bądź głupi! — powiedział sobie w duchu, patrząc na podniecające wklęsłości i wypukłości dziewczyny. Kto ją zdobędzie: Ridley? Bruce? On sam? Krab lądowy wyrwał mu się spod nóg, więc zaklął gniewnie. Bruce? Mała ma do niego słabość. Ale może jej to przeszło. Czy kobieta potrafi przebaczyć mężczyźnie, który postąpił tak jak Bruce?

Kahiva i Puahe, którzy puścili się przodem, wrócili z krzykiem, że znaleźli mula — mula. Karola wyrwała rękę Marlowe'owi i poskoczyła przodem. Biegła jak Atalanta, córka wiecznie błękitnego nieba.

Na północno-zachodnim skraju wyspy brzeg był mniej stromy. Tu w małej zatoczce krył się skarb. Rozsypane grudy ambry walały się po plaży. Marlowe przypuszczał, że dużą, siedemdziesięcio lub osiemdziesięcio funtową masę, sztorm przerzucając przez rafę rozbił na kawałki. Była to brzydka materia, swą pstrokacizną przypominająca pośledni marmur. Bezkształtne grudy szpeciły świetliste białe wybrzeże, lecz dla Marlowe'a były one cudowne. Wziął najbliższą bryłkę i podniósł nad głowę na znak triumfu, na znak radości, na znak zwycięstwa.

— Widzisz to? — mówił do Karoli głosem ochryłym ze wzruszenia. — Na oko suche błoto. Ale to skarb cenniejszy od pereł. Dostaniemy za to grube pieniądze. Będziemy bogaci. Popatrz, ile tego. Szkoda, że nie mamy jakiegoś dobrego trunku, żeby oblać nasze szczęście. Ale co się odwlecze, to nie uciecze.

— Skąd to się bierze?

— Wydzielina wieloryba, a wielorybów coraz mniej z każdym rokiem. Zawieziemy to do Nowego Jorku, albo może do Sydney. Nie. Jankesi znają się na rzeczy i najlepiej płacą. Trzymaj.

Karola wzięła w ręce czarniawą masę i nachyliła się wchłaniając słodką, ziemną woń.

— Co z tego robią?

— Zdaje się, że jakieś bardzo drogie perfumy. Producenci perfum zabijają się za tym. Dziwny zapach, nieprawdaż? Patrz, Kahiva, kręci nosem. Hej, Kahiva, mula — mula brzydko ona śmierdzieć?

Kahiva uśmiechnął się potakująco.

— Dalej — rzekł nagle Marlowe. — Karola, pomagaj. Trzeba to zebrać i znieść do łodzi. Nie mamy czasu do stracenia.

Słońce stało wysoko i prażyło niemiłosiernie. Natura skręcała się w ognistej udreće. Marlowe, Karola i Kanakowie pracowali w pocie czoła. Plecy ich rozboleły od schylania się. Każda grudka była cenna. Nawet okruchów szkoda było zostawić. Niektóre bryły ważyły po kilka

TLR

funtów, inne były jak drobne kamyczki. Niektóre piasek przysypał do połowy. Niektóre sterczały z wody. Marlowe zabrał ze sobą płócienne worki i ładował do nich skarb. Pracowali dobrą godzinę, rozglądając się uważnie, czy nie przeoczyli gdzieś cennych okruchów. Marlowe, na pół oślepiiony przeraźliwą białością piasku, podniósł głowę:

— Ależ gorąco! „Heleny” stąd nie widać. Chyba... chyba...

— Co chyba?

— Nic.

— Powiedz — rzekła Karola. — Obawiasz się, że coś się stało? Przypuszczasz, że może Ridley?...

— Spiesz się — znów zabrał się do gorączkowej pracy. — Dalej, dalej! Musimy wracać. Może jestem głupi. Może Ridley jest o sto mil stąd. Ale było nie było — śpieszmy się.

Nareszcie skończyli. W szalupie leżały trzy mocno związane worki. Pod Karolą nogi się trzęsły, a Kanakowie ślaniali się, jak zbite psy. Ale zadanie było spełnione. Ta świadomość podniosła wszystkich na duchu i dodała prężności zmordowanemu ciałom. Wsiedli po kolei do szalupy, ocierając pot z oczu i ust. Łódź wykręciła się powoli w kierunku luki w rafie, niewidocznej zza zakrętu.

„Helena” jest. Kołysze się niecierpliwie, przytrzymywana pływającymi kottwami. Białogrzywe fale szturmują niezwykłą rafę. Wszystko tak jak'było, a jednak...

— Ochłodziło się — zdziwiła się Karola.

Marlowe poderwał głowę. Rozejrzał się naokoło i zbladł. Raptem porwał za wiosło i jął pracować jak szalony.

— Prędko do diabła, prędko!

Kanakowie przerażeni dźwiękiem jego głosu, pochwycili również za wiosła. Pędzili ku wyrwie, jakby ich ktoś ścigał. Mętny strach opanował Karolę. Wschód słońca był groźny i teraz ta szara zasłona na wyspie, na morzu, na dalekiej „Helenie”...

Kahiva śpiewał. Za chwilę rozlegnie się krzyk, który wyrzuci szalupę na spienione fale. Karola nie rozumiała, dlaczego zaczęła nagle drżeć. Gdy łódź wyskoczyła przez wir piany na otwarte morze, zamknęła oczy i długo — długo nie otwierała.

W końcu przecież odważyła się spojrzeć.

## II

Mgła spadła na morze z chyżością złej myśli. Ogarnęła „Helenę” tumanem niewidzialności. Gęsta biaława szarość pochłonęła słońce, Paiku i białe grzebienie fal nad rafą. Została tylko szalupa pomykająca na oślep w kierunku gdzie powinna być „Helena”. Marlowe opuścił wiosło.

— Stać! — rozkazał. — Ona mgła zjeść „Helena”. Może wrzasnąć, może ona Kanaka na „Helena” odwrzasnąć.

Złożył przy ustach ręce w trąbkę i posłał w przestrzeń przeciągły krzyk. Czekali. Żadnej odpowiedzi. Znów i — znów — żalosne wołanie poniosło się wibrując nad niewidzialną wodą. Bez skutku. Powiosłowali wolno, na oślep. Mgła tłumi dźwięki. Ryk fal na rafie przeobraził się w stłumione dudnienie. Starali się mieć je za sobą. Wtem usłyszeli je donośniej i wyraźniej z prawej strony, więc skręcili i uciekali co sił. Wiry nad zatopionymi rafami zmuszały ich do szalonych wysiłków. W drodze na Paiku Karola musiała wylewać wodę. Teraz nie było potrzeby. Pominąwszy prądy i wiry morze było gładkie, spokojne.

Karola dygotała. Mgła przejmowała ją przenikliwym chłodem. Marlowe milczał. Był blady, oczy mu gorzały. Wyteżał słuch, czy nie pochwyci jakiegokolwiek odgłosu. Gdzie „Helena”, do pioruna? Przekłęta mgła nie dawała się przeniknąć, nie pozwalała odgadnąć czy nie błądzą. Marlowe krzyczał. Kanakowie krzyczeli. Karola krzyczała. Bez skutku. Głosy nie donosiły. Dławiąca mgła tłumiła każdy dźwięk.

— Niech to wszyscy diabli! — klął Marlowe, aż czerwony z wysiłku.

— Gdzie, u wszystkich diabłów jest ta zapowietrzona „Helena”? Karola, trzymasz się? Ta przekłęta mgła! Pan Bóg wie, kiedy się podniesie. Pamiętam, raz złapała nas koło Wyspy Johnsona, to trwała trzy dni. Trzy dni! Słuchajcie! Usłyszeliście coś?

— Nie — odparła Karola.

Na dźwięk jej głosu Marlowe precisnął się koło wioślarzy i przysiadł przy niej.

Poczuła jego ręce na ramieniu.

— Nie bój się — rzekł. — Wydostaniemy się z tego. Nie boisz się, powiedz?

— Nie — skłamała.

— Dziwnie jak we śnie, nieprawda? — mówił. — Ogień na morzu to straszna rzecz, a mgła to druga okropność w kolejności, zaraz po ogniu. Czy słyszysz łoskot fal przy rafie?

— Nie.

— I ja nie słyszę.

— Niesie nas na morze.

— Nie bądź taka pewna. Prawdopodobnie...

Zawahał się.

— Co takiego?

A pomyślała:

— Boi się, że tak jest, ale nie chce mi napędzić strachu. — Głośno rzekła: — Marlowe, jeżeli Ridley wyprawił się za nami, to już powinien być.

— Może już jest — mruknął ponuro Marlowe. — Tacy jak on nie mają zwyczaju zwlekać. Jeżeli zamierzał nas gonić, to wyruszył następnego dnia. Jeżeli nawet wyprzedziliśmy go o dwanaście godzin, to już powinien tu być.

Nie odpowiedziała.

Groza szła ku niej z białego mroku mgły i dławiała za gardło okrutnym skurczem. Ze wszystkich trwoźnych przywidzeń, ciągnących w ślad za szalupą, widmo „Lamparta”, wyłaniającego się z mgły wydawało jej się najstraszniejsze. Na próżno je odganiała, wracało coraz groźniejsze, coraz okropniejsze. Kanakowie trzęśli się z zimna i strachu. Co chwila wyciągali ręce i dotykali Marlowe’a, któremu ślepo ufali. To im dodawało odwagi. Pocieszał ich jak mógł, dał tytoń do żucia. Czas upływał, ale niesposób było orzec, jak długo już błądzą w tej mgle. Dwie godziny? Trzy?

— Bruce nie narzeka na mgłę — powiedział zjadliwie Marlowe.

— Niech go diabli!

Poczuł, że Karola sprężyła się sztywno.

— Może zatrzymał Ridley’a — może nie pozwolił mu nas ścigać?

— A może pozwolił — odparł kwaśno Marlowe. — On już teraz jest na usługach Fanchon, a ona nie wystąpi przeciwko Ridley’owi.

— Żałuję, że nie jestem mężczyzną. Pokazałabym draniowi...

— Nic byś nie pokazała. Czy myślisz, że nie starałem się przemówić mu do rozumu? Ale go ciągnęło. Wmawiał w siebie, że musi z niej wydobyć, co się stało z twoim ojcem. Bajki! Chciał iść do niej i już. Można człowieka odwieść od awantur rewolwerowych i od wódki, ale od jednej rzeczy — od kobiety — nigdy go nie odwiedzisz. Mówię ci to, Karola, bo kobietom trudno zrozumieć te

sprawy. Słuchaj!

Wstał, wbił wzrok w mgłę i znów siadł.

— Zdawało mi się, że słyszałem silnik okrętowy.

Musiał mówić. Musiał jakoś zajmować uwagę dziewczyny wśród tej szarej grozy. Zziębła, więc rozcierał jej ręce.

— Kobietom trudno to zrozumieć — ciągnął przeszukując niespokojnym wzrokiem szare ciemności. Widzisz, przeciętny mężczyzna kocha jedną kobietę sercem, a kilka ciałem. Powiadają, że to dowodzi naszej zwierzęcej natury, aleja nie jestem tego zdania. Jeżeli mężczyznę ciągnie do kobiety, to jeszcze nie znaczy, że ją kocha. W dziewięciu wypadkach na dziesięć niewiele sobie z niej robi. Idzie mu po prostu o wygodę. Ale kobiety, zwłaszcza żony, nie mogą zrozumieć i gdy któryś jest niewierny, robią mu piekło. Nie rozumieją i nigdy nie rozumieją, bo nie mogą się w to wczuć, a mężczyźni nie potrafią im tego wytłumaczyć...

Szalupa nagle podskoczyła, co to? Fala?

— Płyniemy bezpośrednio za statkiem — wyjąkał Marlowe.

— Czujesz? O! — znowu! Siedź spokojnie.

Karola odgadła jego obawę. Jeżeli w pobliżu jest statek, to nie „Helena”, bo „Helena” stoi na pływających kotwiach, a nie sposób było przypuścić, że dwaj Kanakowie, którzy zostali na pokładzie, wciągnęli kotwie i wypuścili się na oślep w morze. Nie, prawie na pewno, została w miejscu. A w takim razie spotkali się z nieprzyjacielem.

Bali się poruszyć. Bali się oddychać. Kanakowie siedzieli jak kamienne figury. Marlowe dotknął ukradkowo rewolweru. Z mgły dobiegły głosy, szcęk kubła, trzeszczenie lin. Marlowe zaciał zęby. Jeżeli to już koniec, to powinni godnie...

W poprzek dzioba zamajaczył czarny kadłub. Kanakowie wrzasnęli i uderzyli po nim wiosłami, cudem unikając wywrócenia. Koniec liny świsnął im nad głowami. Z góry doleciał głos Ridley’a.

— Hej! tam! Co wy za jedni?

Mgła ogarnęła statek. Krzykliwe pytania przycichły i zamilkły.

— Diabli nadali!

— M... mało brakowało — szepnęła Karola.

Marlowe otarł kark.

— W każdym razie dowiedzieliśmy się, że przyplłynął — mruknął.

— Och! Boże!... Och! Boże!... Och! Boże!...

Wydobył butelkę i pił przechylając głowę w tył. Jak długo potrwa jeszcze ta niepewność? Jeżeli nawet mgła zaraz się podniesie, to nic im to nie da. W otwartej

łodzi na morzu przeciw „Lampartowi”?

— Wiosłować! — rozkazał nagle.

Chwycili za wiosła, uciekając przed „Lampartem” na otwarte morze. Lepiej zabłąkać się na oceanie, niż nadzieć się na „Lamparta”. Parli naprzód, dobywając wszystkich sił z umęczonych, obolałych ciał. Bali się krzyżeć, choć mogli być blisko „Heleny”. Marlowe, wparty nogami w worki z ambrawą, przeklinał dzień, w którym oczy Hacketta ujrzały na Paiku ten skarb. O głupoto! Więc to ma być koniec przygody, koniec walki z morzem, mgłą i zażartym nieprzyjacielem? Wciąż wiosłowali, gnani strachem, rozpostartym nad zaczarowanym morzem, gdy wtem jakby artyleria zagrała, usłyszeli szum fal.

— Rafa!

Kahiva wykręcił szalupę z okropnym wrzaskiem. Zamiast na pełne morze parli na Paiku... Musieli się teraz ratować przed pewną zgubą. Zdrętwiałe ręce wyrywały się ze stawów. Od pośpiesznych uderzeń

wioseł łódź chybotąca się niepewnie. Nagle, bez żadnych wcześniejszych oznak, wpłynęła na jasny, słoneczny obszar.

Zdumienie wydarło z piersi jednogłośnie okrzyk. Kanakowie uradowani ciepłym słońcem, zaśmiewali się hałaśliwie z dziecinną uciechą. Karola i Marlowe popatrzyli na siebie, na swoje zmizemiałe twarze.

— Jesteśmy w kominie — rzekł Marlowe.

Miał słuszność. Trafili na okrągłą, słoneczną studnię we mgle o średnicy może dwudziestometrowej. Naokoło ściany mgły szły do samego nieba na podobieństwo olbrzymiego komina.

— We mgle takie fenomeny zdarzają się dość często — objaśniał Marlowe. — Karola, daj no suchary i wody ze skrzynki. Umieram z głodu.

Zjedli i wypili. Karola zdobyła się na słaby uśmiech. Marlowe spojrział na nią z nagłym podziwem.

— Jesteś odważna jak twój ojciec, dziewczyno. Trzymaj się, może trafimy na „Helenę”.

Słoneczna studnia zamknęła się powoli i mgła znów pochłonęła szalupę. Niebo znikło. Znów wiosłowali na oślep, rozpaczliwie, w strachu przed Ridley'em, otwartym morzem i czającą się rafą. Płynęli wolno, gdy szalupa uderzywszy o coś dziobem, zakołysała się gwałtownie.

— O! Marilu, ona statek!

I tak było. Wysoko nad nimi wznosiła się burta statku, mocna i przyjacielska w tym niematerialnym świecie cieni. Kanakowie szlochali nerwowo w przypiływie gwałtownej ulgi. Koniec liny uderzył o wodę obok i Puahe chwycił za nią pośpiesznie.

— „Helena”, hej! — Zawołał Marlowe niepewnie. — Madu, Taini, wy tam?

Patrzył w górę, lecz widział tylko na wysokość sześciu cali nad głową. Wyrwał linę Puahemu i naciągnął. Szalupa przywarła do burty. Puahe i jeszcze dwaj Kanakowie zarzucili worki na plecy. Niebezpieczeństwo minęło, więc znów nabrali fantazji. Wciągnęli się na pokład jeden po drugim. Marlowe podniósł Karolę, która uczepiła się rękami liny. Nagle mgła rozrzedziła się i Marlowe zobaczył brunatne ramiona, wyciągnięte, żeby jej pomóc, a nad nimi roześmianą twarz Kanaka.

W tym momencie Kahiva podniósł się, rzucając się całym ciałem na swego pana. W górze huknął strzał. Pocisk uderzył w wodę.

— Ona statek nie „Helena” — dyszał Kahiva. O! Marilu, nie „Helena”...



# ROZDZIAŁ XI

## I

„Hiszpański Grand” wpłynął we mgłę o trzeciej po południu. Fairless przypuszczał, że muszą być niedaleko od Paiku. Zeszedł do kajuty i rozłożył zniszczoną mapę. Bruce towarzyszył mu z posępną twarzą.

— My pewnie jesteśmy tutaj — mówił Fairless pokazując palcem.

— Gdzie jest Ridley, Pan Bóg jeden wie. Ta podła mgła popsowała nam szyki. Możemy się z nim minąć i możemy się minąć z „Heleną”. Można by się założyć, że i „Lampart” i „Helena” umkną nam i zawrócą na Les Aves, a my tu tymczasem będziemy się bawić w ślepą babkę naokoło Paiku.

— Diabli nadali! Diabli nadali!

Wyszli na pokład. Dookoła unosiły się strzępy mgły. Ogromne, białe tumany przesuwały się górą i bokami, osnuwały wierzchołek masztu, kryły bukszpryt, nadając statkowi wygląd przedziwnie widmowy. Fairless wykręcał piękną głowę we wszystkie strony niby jelen, wietrzący niebezpieczeństwo.

— Lepiej położyć się w dryf — rzekł w końcu. Jeszcze wpadniemy na rafę.

— Nie myśl, że tu się da zarzucić kotwicę — odparł Bruce. — Te podwodne rafy kruszą się jak świeży chleb. Chcesz próbować, to próbuj!

Fairless potrząsnął głową.

— Nie. Może trzeba będzie uciekać.

Przechylony przez burzę, obserwował gęsty biały mrok.

— Słuchaj — dodał spokojnie. — Słyszać głosy.

Stali przy sobie, rozemocjonowani i ciekawi, gdzie też mogą być tamte statki, wędrujące we mgłę jak widma.

— Ja nic nie słyszę.

— Hm! Musiałem się przesłyszeć. Zdawało mi się, że ktoś krzyknął.

— Wredne to czekanie — zżymał się Bruce.

Fairless kiwnął głową.

— Szkoda, że nie możemy zobaczyć słońca.

— Słońca?

— Tak.

— A bo co?

— Pamiętasz, co Hendry powiedział, jak znalazł tę linę, która mu się gdzieś zapodziała? Pamiętasz, jak mnie prosił, żebym nie płynął?

— Ten głupiec! No, więc co?

— Prawie zawsze przeprowadzałem to, co chciałem — ciągnął Fairless. Rzadko mi się nie udawało. Mając dwadzieścia pięć lat, już miałem doświadczenie i korzystałem z życia.

— Powinieneś się napić. Za długo byłeś przy sterze. Zejdź na dół i gołnij sobie podwójną porcję — nalegał Bruce.

Bał się czegoś. Fairless był dziwny, nie taki jak inni biali na wyspach. Uroda, szalona odwaga, niebezpieczne przygody, czyniły go przedmiotem powszechnego zainteresowania. Nie było ryzyka, na które by się nie ważył, najprzebieglejszego awanturnika, którego by nie zaczepił, najdumniejszej kobiety, której by przepuścił. A jednak te błyszczące, niespokojne oczy nigdy nie odbijały zadowolenia. Te ruchliwe ręce nigdy nie odpoczywały. — Za czym on goni? — dziwił się od trzech dni Bruce, nie znajdując na to pytanie odpowiedzi.

— Fairless — rzekł nagle i urwał zmieszany, gdy tamten się odwrócił.

Śmiertelna mgła ogarnęła ich nieprzeniknionym całunem. Stracili poczucie czasu. Niby znękani więźniowie w bezdrzwiowej celi, spoglądali ciągle w górę, czy nie zobaczą nieba. Bali się posunąć dalej w którąkolwiek stronę z obawy przed rafami. Mogli tylko lec w dryf. Godziny wlokły się nieznośnie. Oczy ich zaczęły boleć i ledwie się trzymali na nogach. Przez trzy dni gnali pod wszystkimi żaglami, wyzywając wiatry, byle przybyć na czas. Ale wszystkie wysiłki spęły na niczym. Ridley nie dał się przegonić. Ryzykowali nadaremnie. Jednak o odpoczynku nie mogło być mowy. Nieprzyjaciel mógł się wyłonić z mgły w każdej chwili. „Lampart” musiał wiedzieć, że jest ścigany. Może w tej chwili podkrada się do nich morderczo.

— Jeżeli mu się uda, to rozpruje nam kadłub — przemówił zamyślony Bruce.

Fairless ścisnął go za ramię.

— Co to?

Dał się słyszeć stłumiony odgłos gwałtownego zderzenia, a potem słabe krzyki i piskliwy lament Kanaków, wreszcie złowieszczy trzask drzewa.

— Zderzyli się — powiedział z wysiłkiem Bruce.

Podszedł do steru i odebrał koło Kanakowi.

— Co robisz? — wrzasnął Fairless, gdyż statek wykonał obrót. Zerwała się słaba bryza. Nawiało jeszcze więcej mgły, ale można było ruszyć.

— Co robisz, u diabła?

Bruce nie odpowiedział. Nie zważając na niebezpieczeństwo, skierował statek

w stronę, skąd doszła ta przerażająca wrzawa. To zderzenie...

Tam ktoś musiał zginąć... A tylko co Bruce'owi przeszło przez głowę, że Ridley nie zawahałby się rozpruć burty „Hiszpańskiemu Grandowi”. A jeżeli zaatakował w ten sposób „Helene”? Może Marlowe płył w tej chwili na oślep, czałkiem, żeby wydostać się spośród szczątków statku.

A Karola?

Ale o Karoli nie mógł myśleć.

Z drugiej strony skąd pewność, że „Helena” padła ofiarą zderzenia? Szalona nadzieja zapaliła się w sercu Bruce'a. Może właśnie Marlowe zaatakował „Lamparta” i Ridley jest w tej chwili w niebezpieczeństwie. Może tonie, lub walczy z rekinem. Oby tak było!

„Hiszpański Grand” sunął we mgle jak duch, i Fairless zaniechał protestów. Znał świat, spotykał takich Bruce'ów, na wpół oszalałych z powodu wyrzutów sumienia i wstydu, na wpół nieprzytomnych z pragnienia zemsty. Widział, że Bruce stracił szacunek dla samego siebie i żeby go odzyskać, musi zabić wroga, za którym się wyprawił. Fairless popatrzył na zaciętą twarz towarzysza, i wzruszył ramionami.

— Co ma być, to będzie — pomyślał i znów tęsknota za słońcem przeszła go jak niewidzialne ostrze. Wiatr się wzmagął. Niebawem zapadnie noc. Wtedy dopiero będzie piekło! Bryza jeszcze za słaba, żeby rozproszyć mgłę. Ogromne tumany przewalały się nad „Grandem” na podobieństwo szarży widmowych potworów. Fairless miał uczucie, że niezwyciężone, nieustraszone armie prą na statek z mroku zapadającej nocy.

Bruce otarł czoło.

— To musiało być gdzieś tutaj. Diabli nadali tę mgłę! Nie wiadomo dokąd się kierować. Tamte statki mogły być o pół mili od nas.

— Czy widzisz coś?

Rozglądali się, ale przy zerowej widoczności, mogli mieć równie dobrze związane oczy.

W szarobiałym mroku zaczynała przeważać szarość. Ściemniało się. Wreszcie, skłębione morze mgły przybrało czarno-granatową barwę dojrzałych winogron. Kanakowie potykali się na pokładzie z latarniami, których słabe światła wydawały się olbrzymimi żółtymi czereśniami.

— Trzeba spuścić pływające kotwie. Musimy położyć się w dryf!

— zawołał z ciemności Bruce.

Wrzasnął na Kanaków i pokład zadudnił od tętentu nóg. Wszelka krzątanina

była pożądana. Przymusowa beczynność i bezskuteczne oczekiwanie na wypadki działały wszystkim na nerwy. Fairless postawił czterech Kanaków na wachcie, a sam z Bruce'm zszedł na dół przełknąć coś gorącego. Karoro podał soloną wieprzowinę, smażoną fasolę, pieczone jamy, placki, banany i gorącą kawę, do której Fairless dodał rumu. Zawinawszy rękawy, rzucił się z apetytem na mięso. Przepadał za dobrym jedzeniem, tak jak przepadał za wszystkim, co przemawia do zmysłów. Rozkoszował się smakowitym zapachem mięsa, miłą wonią parującej kawy, ciemno złotą barwą bananów na ciemnym półmisku.

— W Anglii nie wiedzą, co to banany — mówił. — Widują tylko nędzne żółte wybierki.

Bruce nie odpowiedział. Nie jadł. Fairless spojrzał na niego niespokojnie.

— Co ty?

Zajął się więc jedzeniem. Ale przełknął dwa kęsy i przestał. Nagle cisnął nóż, cisnął widelec, i zaczął przechadzać się po kajucie. Fairless dał mu pokój. Nie miał zwyczaju zmuszać do zwierzeń. Dolał sobie w milczeniu kawy. Bruce'a ponosi! Ale jeśli czyjaś głupota uderza w innych, to sprawca widzi sprawy czarno.

— Powinienem być na „Helenie”! — wybuchnął Bruce. — Pewnie gdybym z nimi popłynął, wracalibyśmy teraz. Moja wina, że Marlowe ma za mało ludzi. Owszem, mamy sześciu Kanaków, ale jeden biały znaczy tyle, co trzech Kanaków. Sam wiesz. Jak się to mogło stać, że nie zauważyli nadejścia mgły? Marlowe i Karola... a ja tutaj, do diabła! kiedy powinienem być... powinienem być...

— Daj pokój narzekaniom — przerwał Fairless. — Lepiej się posil, żebyś miał siły do walki. Doskonała ta wieprzowina i Karoro robi świetne placki. Złodziej, łgarz, podobno zabił dziadka i miał siedemnaście żon. Tłukę łotra i tłukę, już nawet przestał być wrażliwy na ból. Ale gotuje — palce lizać. Napij się jeszcze kawy.

Bruce posłuchał niechętnie. Jadł i pił nie wiedząc, co połyka. Gdzie jest Karola? Gdzie jest Marlowe? Czyj statek kołysze się jeszcze na wodzie, a czyj walczy z falami?

Fairless nie spuszczał oczu z towarzysza.

— Wygadaj się — rzekł. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Co?

— Dlaczego zostałeś na Les Aves?

— Wiesz.

— Tak, przez Fanchon. Ale ja pytam, czy zostałeś u niej dlatego, że nie mogłeś odejść, czy dlatego, że tak ci się podobało?

— Nie mogę tego roztrząsać.

Fairless sięgnął po fajkę.

— Czy znasz Tungas? — zapytał. — Tungas znaczy Miasto Wiatrów. Nadzwyczajne miasto. Leży wśród równin, na górze. Dziwna okolica. Znałem ludzi, którzy raz tam byli i na próżno starali się trafić po raz drugi. Ja raz tam byłem, ale drugiej wyprawy nie planuję. Nie warto ponawiać takich ekspedycji, bo pierwsze wrażenie nigdy się nie powtórzy.

— Mów dalej.

— Otóż — mówił wolno Fairless — spotkałem tam pewną kobietę, która знаła Ridley'a.

— Tak? Jak się poznali?

— Tak, jak się poznają mężczyzna z kobietą w obcym mieście. Była piękna — miała wielkie podłużne oczy i skórę jak atlas. Zauważyłeś, że po ciemku odczuwa się wszystko silniej? Byłem u niej kilka razy. W dzień pożegnania przyniosła tacę z piaskiem i wróżyła co mnie spotka. Śmiałem się, bo jakże! Już zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Przy tych wróżbach byliśmy oboje dziwnie poruszeni. Nagle zmieniła się na twarzy, ale kazałem jej mówić dalej.

— Co ci powiedziała?

— Wpierw poleciała mi przeciągnąć rękami po piasku. Patrzy, patrzy — powiedziała kilka niezrozumiałych słów i wtedy właśnie twarz jej się zmieniła. Po chwili mówi tak: „Widzę cię na statku. Powietrze zamglone. Dzień, ale słońca nie widać. Masz rozpostarte ramiona i zdaje się, że krzyczysz. A on — ten, co go znamy — on jest w pobliżu”. Była ogromnie zdenerwowana, ale udało mi się ją uspokoić... Rozumie się, bajdurzenie i już. Prawdopodobnie sama wszystko wymyśliła, żebym się zląkł i został z nią. W dodatku zwierzyła mi się, że nienawidzi Ridley'a.

— Dlaczego?

— Nie pytałem. Kobiece powody.

Światło wiszącej lampy padało na jego młodzieńczą, opaloną twarz. Usta zacisnięte na fajce, były pełne i czerwone. Czy przepowiednia, którą wróżka wyczytała z piasku to bajka? Przypomniał sobie słowa Hendry'ego. Czyżby naprawdę miał zginąć z okrutnych rąk Ridley'a?

Bruce jadł żarłocznie. Fairless przyglądał się jego potężnym ramionom i szerokiej piersi, prześwitującej białą skórą spod rozpiętej koszuli. Gdyby przyszło do

walki między wrogami, z Ridley'em mogłoby być źle. Tu Fairless przypomniał sobie obyczaję Ridley'a i zastanowił się. Nóż zakrwawi najpotężniejsze barki, pocisk roztrzaska najmocniejszą pierś.

Bruce podniósł się niecierpliwie.

— Chodź.

— Prześpij się z godzinę — poradził Fairless.

— Ty się prześpij. Zamykają ci się oczy. Ta piekielna mgła przenika aż tutaj. Idź, połóż się na godzinę. Kiedy spałeś ostatni raz?

Spać... Jeżeli godziny jego życia istotnie są policzone, to czy mógłby marnować choć jedną na sen? Bruce więcej nie mówił. Narzucił kurtkę i zaczął wchodzić po trapie.

W połowie wysokości przystanął, patrząc na twarz Fairlessa.

— Brednie, same brednie! — wybuchnął ni z tego, ni z owego.

— Hendry i tamta — nie mogli wiedzieć. A Ridley, jeżeli go spotkam

— dlaczego nie zostaniesz na dole? Nie ma sensu ryzykować...

Urwał. Przecież gdyby nie on, Fairless próżnowałby bezpiecznie na

Les Aves! Bruce nie ignorował grożących zewsząd niebezpieczeństw. Wiedział, że przypuszczalnie kilku członków trzech załóg nie ujrzy więcej Les Aves. — Jeżeli ma paść na Fairlessa — myślał — to ja bym był winien jego śmierci.

— Czy ty się kiedy modlisz? — zapytał zniecierpliwiony.

— Nie — odparł obojętnie Fairless. — Chcesz odprawić nabożeństwo? Bo jeżeli tak, to będę musiał iść poszukać śpiewnika.

Bruce odwrócił się i wyszedł na pokład.

Miał wrażenie, że wstąpił na nocne niebo. Aksamitne ciemności ogarnęły ich zewsząd, zamglone latarnie świeciły jak dalekie gwiazdy. Cisza panowała niezgłębiona, tylko woda pluskała o burty.

Stali chwilę obok siebie, drżąc z chłodu. Fairless zaczął chuchać w palce.

— Oziębilo się — zauważył. — Pójdę po kurtkę. Twoja także tam jest? Dobrze... na Boga!

Pochwycił Bruce'a za ramię i wykręcił ku prawej burcie.

— Słuchaj no! Co to?

## II

Krzepkie ramiona, które wyciągnęły się z góry po Karole, objęły ją mocno i ku jej szalonemu oburzeniu wielka dłoń zamknęła jej usta. Ale dziewczyna nie stra-

ciła głowy. Na chwilę zwisła bezwładnie, po czym z całej siły kopnęła. Usłyszała bolesne stęknienie i została ciśnięta na pokład. Z mgły doleciał krzyk Kahivy:

— Ona statek nie „Helena”.

Padł strzał i Karola zrozumiała, w czyje ręce wpadła. Oszołomiona, potłuczona, usiadła macając deski naokoło siebie. Czy aby ten strzał nie ugodził Marlowe’a?

— Karola!

Na dźwięk głosu Ridley’a, Karola ścierpła. Zerwała się chwiejnie na nogi i szukała w kieszeniach rewolweru. Palce drżały. Czuła niesamowite dreszcze. Ciężkie ręce spadły na jej ramiona. Ktoś podniósł ją i przycisnął do siebie. Poczowała równe bicie czyjegoś serca. Błysnęła myśl, że tak musi się czuć szczur, gdy podniosą pułapkę. Nie mogła przemówić słowa. Ręce szukające gorączkowo rewolweru, opadły bezwładnie, bezbronnie.

Ridley zniósł brankę po trapie do oświetlonej kajuty. Złożył na skrzyni jak martwą rzecz, odstąpił, oparł się plecami o zamknięte drzwi i patrzył.

Mierzył okiem znawcy jej zgrabną sylwetkę w męskim ubraniu. Z obciętych noga wic wystawały wysmukłe nogi. Śliska, śliczna, piękniejsza w przebraniu chłopca niż w koronkach, wtedy u Van Kloorta! Przez długie godziny nie schodziła mu z myśli. Teraz, gdy ją upolował, krew się w nim zaczęła gotować.

Był w nastroju zwycięzcy. Uśmiechał się pobłaźliwie. Mógł się nie śpieszyć. Miał łup w rękach. Mógł się nim delectować powoli. W ładowni „Lamparta” leżały worki z ambrawą. Nagła radość uderzyła mu do głowy jak wino.

— Karola!

— Co? — zapytała znękany głosem rozpacz.

Litość go ogarnęła. Podszedł i ukląkł przy skrzynce. Przymuszona jego błyszczącymi oczami, podniosła powieki.

— Musiałaś mieć ciężkie przeżycia.

— Nie.

— Jesteś zmordowana. Może wina?

— Nie.

— Nie masz się co rozglądać — rzekł z nagłym gniewem. — Nie uciekniesz stąd! A na pokładzie nie ma nikogo oprócz Kanaków.

— To Marlowe nie wsiadł? — zapytała przebiegle.

— Nie. Ani Marlowe, ani Bruce.

— Bruce...

Nie dokończyła. Więc on nie wie, że Bruce’a nie było na „Helenie”.

— Co Bruce? — zapytał Ridley. — Jak śmiałaś uciec?

Oparł ręce na skrzyni z obu stron, tak że Karola była uwięziona jak wśród krat. Rozpacz ścisła ją za gardło.

— Dlaczego uciekłaś? — nastawał. — Przysporzyłaś wszystkim kłopotów. Co ci przyszło do głowy? Zachciało ci się morza, czy — tu głos zabrzmiał groźnie. — Chciałaś być z Bruce'm?

Karoli wracała odwaga. Pierwszy przykry wstrząs przerażenia i zdumienia ustępował powoli przed desperacką obojętnością, bo już czuła, że nie uniknie śmierci.

Spojrzała mu zuchwale w oczy.

— Uciekłam przed tobą, — odparła. — Nienawidzę i ciebie i Van Kłoorta i bałam się was obu. O Bruce'a nie dbam. O nikogo nie dbam.

Rumieńce zalały śliczną twarzyczkę. Karola usiadła wyprostowana, pogardliwa, wyniosła jak królowa.

— Nienawidzę cię, ale teraz przestałam się ciebie bać. No, co teraz? Wiem, o co ci chodzi.

— Więc wiesz — wyrzucił szeptem.

— Taki jak ty dybie na każdą kobietę — mówiła pogardliwie Karola. — Jesteś zwierzem, Ridley. Jesteś świnią...

— Dosyć — urwał gniewnie. — Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Karola wzruszyła ramionami.

— To mnie bij — parsknęła. — Ty pewnie inaczej z kobietami nie postępujesz. Słyszałam nieraz, co o sobie opowiadałeś. Raz chełpiłeś się u Hendry'ego, jak sobie poradziłeś z jedną dziewczyną w Port Edwardzie. „Wziąłem na nią linę — mówiłeś — i za chwilę chlipała mi w ramionach”. Dalej. Są liny, a ja mam cienką koszulę.

— Ty jędo! Nie, tego bym ci nie zrobił. Jeżeli biję, to tylko Kanaków. Wtedy u Hendry'ego koloryzowałem. Chełpiłem się...

— Akurat! — fuknęła. — Wszyscy wiedzą, jaki z ciebie zwierz.

Ridley wstał z kolan, przeszedł koło stołu, umocowanego klamrami, otworzył drzwi i krzyknął w stronę kambuza, żeby Hoawa podał jedzenie i gorący napój. Wróciwszy do branki, stanął i wpatrywał się w nią tak długo, że w końcu poruszyła się niespokojnie.

— Więc nie boisz się mnie?

— Nie — skłamała.

Udając swobodę zmusiła się do jedzenia. Ale oczy jej latały jak u osaczonego



zwierzęcia. Gdy podnosiła do ust gruby kubek, ręce jej nie drżały, ale nie potrafiła opanować drżenia warg. Ridley nie odzywał się. Siedział na wprost niej z papierosem w ustach, ani na chwilę nie spuszczał oczu z jej twarzy.

A Karolę tymczasem zaczynała opuszczać fałszywa odwaga. Co on zamierza? Dlaczego siedzi tak cierpliwie z tą uroczystą miną? Skąd ona wezwie ratunku? Kogo zawoła? Trzej Kanakowie z „Heleny” wdrapali się na pokład z workami ambry. Czy ich uciszono, wyrzucono za burtę, uwięziono w ładowni? Ale jeżeli nawet są wolni, to przecież nie poradziłiby sobie z załogą „Lamparta”. Zresztą Kanakowie nigdy nie są szczególnie wierni. Ich zmienna, strachliwa natura nie jest materiałem, z którego powstają oddani obrońcy. Trudno było przypuścić, żeby walczyli w obronie białej dziewczyny, którą znali dopiero od paru dni. A gdyby spróbowali, sam głos Ridley’a ostudziłby ich zapędy.

Karola poruszyła się lekko, wyczuwając rewolwer. Sięgnęła ukradkiem do kieszeni. Palce natrafiły na przyjaźnie chłodny metal. Z wielką ostrożnością i strachem przełożyła broń do prawej ręki. Żeby on odwrócił wzrok! Ale nie, wpatrywał się w nią jak w tęczę. Siedział w pozie niedbalej, lecz czujnej. Czytał w jej twarzy jak w książce. Wiedział, że jakiś plan dojrzewa w tej ślicznej główce. — Można poznać, gdy kobieta coś kombinuje — pomyślał. — Zawsze otwiera szeroko oczy z wysiłku, zamiast je zmrużyć jak mężczyzna.

Ridley położył papierosa i spojrzał na zamknięte drzwi za jej plecami.

— Hola! — zawołał tonem zdziwienia.

Karola mimo woli odwróciła głowę. Ramię bandyty wystrzeliło nad stołem. W oka mgnieniu znalazł się nad nią. Wykręcił jej rękę, aż krzyknęła z bólu. Drobne palce otworzyły się powoli. Rewolwer stuknął o podłogę i Ridley przydepnął go nogą. Karola podniosła do ust bolącą rękę, a on schylił się po rewolwer.

— Więc to tak? — syknął. — Ach głuptasie, chciałaś mnie nastraszyć? Nawet gdybyś zdążyła strzelić, nic byś mi nie zrobiła. Kobiety nie umieją strzelać.

Wetknął rewolwer za pas.

— Lepiej przygotuj się od razu — dodał. — Wpadłaś mi w ręce i będziesz moja. Gwiżdżę na Bruce’a i Marlowe’a, czy kogokolwiek. Mam ciebie, mam ambrę i jak tylko mgła się podniesie, wracamy na Les Aves. Byłaś ze mną szczerą to i ja będę szczerą. Dam ci do namysłu dzień — dwa. Potem — nie chcę być brutalny, ale musisz mi się oddać.

Umilkł.

Karola podniosła wyzywająco czerwoną, zalaną łzami twarz, lecz nim zdążyła coś powiedzieć, potworny wstrząs o mało nie rzucił obojga na podłogę.

„Lampart” zachwiał się jak zwierzę trafione pociskiem.

Na pokładzie Kanakowie podnieśli okropny wrzask. Zatupotały nogi. Ridley wybiegł po trapie. Nieszczęście zaskoczyło statek we mgle. Słysząc było trzask wiązań i pękających belek. Ridley stanął na dziobie i wyteżył wzrok. Rozróżnił ciemną sylwetkę statku. „Lampart” wpadł w ciemnościach na „Helenę”, która prawdopodobnie stała na kotwicy. Ridley na próżno starał się dojrzeć, czy została poważnie uszkodzona. Kto był na pokładzie? Bruce? Marlowe? Marlowe był w szalupie, gdy Kahiwa ostrzegł go krzykiem. Bruce — nie wiadomo.

— Bruce! „Helena”, ahoy!

Odgadł co się wydarzyło.

„Lampart” wycofywał się. Załodze udało się wykonać ten trudny manewr. Ridley przypuszczał, że przedziurawili tamten statek przy dziobie. Słyszał krzyki, które niebawem umilkły. Nie wiedział, czy załoga wyskoczyła do morza. Kazał swoim Kanakom opuścić się za burtę przy dziobie, żeby obejrzelni uszkodzenia i dokonali najniezbędniejszych napraw.

Czy rozbili „Helenę”? A jeżeli tak, to co się stało z Bruce’em? Czy zginął w katastrofie? A może siedzi skulony na tonącym statku i patrzy, jak szara woda podnosi się coraz to wyżej i wyżej.

Był prawie pewien, że to nie „Hiszpański Grand” padł ofiarą zderzenia. Pewny bezpieczeństwa, zeszedł wreszcie na dół do Karoli. Już nie płakała. Przyjęła go twardym spojrzeniem.

— Rozbiliśmy „Helenę” — oznajmił powoli. — Jeżeli Bruce był na pokładzie, to po nim.

Spodziewał się, że dziewczyna szarpnie się, że krzyknie. Ale nie zareagowała. Zdumiał się. Czyżby był na fałszywym tropie?

— Czy Bruce był na „Helenie”?

— Naturalnie,

— Nie płaczesz, że może zginął?

— Nie

Tu Karola przesadziła. Ridley domyślił się prawdy.

— Nie płaczesz, bo wiesz, że go tam nie było. Nieprawda? Mów!

Przysunął się bliżej.

— Odpowiadaj. Na szalupie też nie był. Więc, gdzie jest?

— Pan Bóg wie.

— Ty także wiesz. I powiesz mi. Musisz powiedzieć.

Odwrócił się i pośpieszył na pokład.

## ROZDZIAŁ XII

### I

Bruce dobył rewolweru.

Z mroku, z prawej burty, wynurzała się ogromna, czarna masa. Światła majały niewyraźnie. Dały się słyszeć niskie głosy, okrzykujące „Granda”. Cudem uniknęli zderzenia. Obcy statek przesunął się widmowo, o sześć stóp od „Hiszpańskiego Granda”. Fairless okrzyknął go bez wahania:

— Statek, ahoy! ahoy!

W odpowiedzi padł strzał. Kula utknęła w nadbudówce.

Bruce pochwycił zwój lin i cisnął z rozmachem. Niezwykłym trafem pętla zahaczyła o słupek na pokładzie „Lamparta” i statki znalazły się obok siebie. Kanakowie przepychając się, biegli do walki. Wrzaski i złowieszczy huk wystrzałów wypełniły ciszę. Bruce ciągnął linę, póki statki nie zwały się burtami.

— Fairless! — zakrzyczał we mgle głos Ridley’a. — Fairless, rozprawię się z tobą, psie parszywy!

Teraz, gdy wreszcie doszło do starcia, którego Ridley tak się lękał, wszelkie obawy ustąpiły przed szalem walki. Doznał ulgi. Spotykał człowieka, który go ścigał, któremu na próżno usiłował umknąć. Teraz załatwią stare porachunki, tajemnicze, nie darowane, nie przedawnione. Zamknął na klucz Karolę, która miała się w kajucie jak uwięziona tygrysica. Ambra była schowana bezpiecznie w ładowni. Marlowe błąkał się po morzu w małej łodzi. Do zupełnego zwycięstwa brakowało li tylko śmierci Fairlessa.

— A Bruce...

O Brusie wolał nie myśleć. Karola upierała się, że nie wie, gdzie się podział, ale w tych zaprzeczeniach było coś wykrętnego. Głupstwo! Dziewczyna musi coś wiedzieć. W sposobnej chwili, powie. Znajdzie się metoda na wydobycie z niej prawdy.

Statki ocierały się o siebie. Ridley przeskoczył na pokład „Granda”. Za nim tłoczyli się rojnie Kanakowie. Jego załoga pochodziła z Les Aves. Fairlessa — z Degas. To zadecydowało o zaciętości walki. Poznawszy po krzykach, że na

„Hiszpańskim Grandzie” są ich, dziedziczni wrogowie, załoga „Lamparta” wpa-  
dła w morderczy szal. Co ich obchodziły kłótnie białych? Nie często im się zda-  
rzała tak wspaniała okazja.

Ridley skoczył i natychmiast zwał się z jakimś człowiekiem. Po szczupłej  
budowie, po sprawności w walce poznał Fairlessa. Właściciel „Grand a”, choć  
niewielki wzrostem, miał stalowe mięśnie; przy tym był zwinny i gibki jak wąż.  
Ridley próbował powalić go uderzeniem, ale za każdym razem Fairless odparo-  
wywał cios. Ridley zgrzytał zębami z wściekłości. Dookoła nich bili się Kana-  
kowie. Czarna noc ziała wonią świeżej krwi, huczała wrzaskliwym zgiełkiem  
walki. Ridley, cofając się, by zadać morderczy cios, potknął się o leżące ciało i  
runął jak długi. Zerwał się chwiejnie na nogi, lecz Fairless tymczasem znikł w  
ciemnościach.

— O, Boże! że też jest tak ciemno! — zawołał na głos Ridley.

Musiał poszukać Fairlessa i udusić łotra. Pościg dał mu się we znaki.

Co on wie, ten Fairless? Dlaczego ściągnął pod Paiku? Ridley odgarnął włosy z  
oczu i splunął na ręce. Wyjął sztylet, kuty przed laty w Wenecji, już zahartowany  
we krwi. Palce zacisnęły się na znajomej rękojeści. Zakradł się pod nadbudówkę i  
zaczaił na nieprzyjaciela, nasłuchując jego głosu. Walka wrzała w dalszym ciągu.  
Kanakowie rzucali się w ciemnościach jak wściekli. W mroku wymieszali się  
obrońcy i napastnicy. Początkowe dzikie wrzaski, przeszły teraz w złowieszcze,  
wilcze pomruki, przerywane stęknięciami i okrzykami bólu. Ridley obracał się to  
tu, to tam. Zetknięcie z Fairlessem obudziło w nim nieprzytomną żądzę mordy.  
Było w tym coś więcej niż stara nienawiść; coś więcej niż złość na Fairlessa, że  
wdał się w nie swoje sprawy. Mniejsza z tym, dlaczego Fairless go ścigał.  
Mniejsza z tym, kto go posłał. Van Kloort czy inny diabeł. Zapewne Van Kloort,  
ale 1 na niego przyjdzie kolej. Więc dlaczego Ridley zawział się na życie Fair-  
lessa? Może z powodu przepowiedni Hacketta: „Ja będę ostatnim człowiekiem,  
którego zabijesz, Ridley”. Więc może, żeby dowieść, że to kłamstwo, że pro-  
roctwo konającego niekoniecznie musi się sprawdzić? Warczał bezgłośnie jak  
wilk, gdy dojrzy wśród drzew błyszczące ślepie wroga.

Szarpnął głową. Głos Fairlessa. Skąd...

— Bruce, gdzie jesteś? — wrzeszczał Fairless.

Bruce! Więc on tu jest? Ridley’owi serce przestało bić, a potem załomotało jak  
szalone. Zagadka: „Gdzie Bruce?” wyjaśniła się, jak też powód, dla którego Fa-  
irless ścigał „Lamparta”. Ale dlaczego Bruce został na Les Aves? Przypadkiem  
czy naumyślnie? A w takim razie kto uknuł to posunięcie? Może Van Kloort z

Bruce'm? Chytrze wykombinowali. Ale Ridley nie zapomniał, jak świetnie Van Kloort poradził sobie ze wzburzonym tłumem Kanaków, chcących zamordować świętokradcę. Drobnym epizodem, niewątpliwie, ale charakterystycznym dla przebiegłości rezydenta.

— Czy to jego robota? A jeżeli nie, to dlaczego Bruce został na Les Aves?

— Bruce!

— Do diabła! — mruknął Ridley. Wszystko jedno, dlaczego. Grunt, że tu jest. Ktoś wpadł na niego dysząc charkotliwie. Osunął się u jego nóg i leżał oparty głową o nadbudówkę. Był to Maureke, jeden z jego Kanaków.

— Rideli — jęczał.

— Maureke, twoja bardzo ranna? — zapytał Ridley.

— Moja umrzeć, Rideli.

Ridley po chwili wahania pochylił się i jął szukać krisa Maurekego. Kanak pozwolił sobie zabrać broń bez słowa sprzeciwu. Głuchnące uszy słyszały jakby z ogromnej dali słowa:

— Twoja wsadzić kris w h o b i ?

— Moja — tak — hobi, Rideli — wyjęczał konając.

Ridley wetknął własny sztylet do pochwy; wziął natomiast zatrute ostrze.

H o b i — tak — wiedział, jak to działa...

Skierował się ostrożnie w stronę dziobu, stamtąd bowiem doszło go wołanie Fairlessa. Jeżeli Bruce jest na pokładzie, trzeba się śpieszyć. Dwóm na raz nie dałby rady. Potracony przez dwóch zmagających się w śmiertelnej walce Kanaków, odepchnął ich z pasją i parł dalej. Powiała leciutka bryza i mgła uniosła się niedostrzegalnie, przez co latarnie nabrały blasku. Ridley'owi mignęła czerwona koszula. Czarna głowa nad kołnierzem powiedziała mu, że znalazł zwierzyne.

Podsunał się bliżej. Skoczył w chwili, gdy Fairless się odwracał. Zwarli się w morderczym uścisku, niepamiętni niczego, prócz swojej nienawiści. A na smętym statku śmierć, siedząc wśród takielunku, liczyła łupy na palcach. Zastarzałe porachunki, długo udaremniane chęci zemsty ożyły gwałtownie. Walczyli jak dwa wilki. Żaden się nie odzywał, tylko gdy cios trafił, ten czy ów jęknął głucho. Ridley miał kris w rękę, ale nie mógł go użyć, gdyż Fairless miażdżył mu przegub dłoni w stalowych palcach. Ridley zamachnął się lewą ręką. Fairless ugiął się pod ciosem, ale nie puszczał. Ridley nie wytrzymał. Obolałe palce otworzyły się bezsilnie i kris brzęknął o deski. Ostry ból w prawym ramieniu ostrzegł Fairlessa, że może z nim być źle. Ridley wiedział o tym, i triumfował. Zaczął się pchać tam, gdzie upadł kris. Pozwolił się atakować, przystając w gotowości i odpierał lotnego

przeciwnika ciosami, od których ten krztusił się i łapał oddech. A Ridley tymczasem szukał gorączkowo nogą swego krisa.

Jest!

Schylił się, ale w tej chwili Fairless powalił go z nienacka na plecy i runął na niego błyskawicznie całym ciężarem. Szybkie, dotkliwe ciosy posypały mu się na twarz i piersi, zgniatały, przybijały do pokładu.

Kris! Kris! Byle chwycić kris! Krew buchała mu z ust, serce tłukło się straszliwie o żebra. Czy to już śmierć? Wypreżył się i z całej siły uderzył obiema rękami w duszące go ciało.

Skutek był natychmiastowy. Fairless zachwiał się i w tej chwili oberwał w szczękę. Zaczęli się taczać po pokładzie w nieprzytomnej, ostatecznej śmiertelnej walce o przewagę. Podnosili się i znów walili z trzaskiem na pokład. Ale ręka Ridley'a szperając po mokrych deskach, znalazła, czego szukała.

— Mam cię! — zawył chrapliwie. — Mam cię, Fairless!

— Fairless, idę!

Głos Bruce'a! Trzeba się śpieszyć!

Ridley zerwał się chwiejnie na nogi, ocierając pot z oczu. Fairless przysiadł do skoku. Ridley podniósł rękę, uderzył...

Poczuł, że Fairless zapadł się pod tym uderzeniem.

Wyciągnął kris i czekał na Bruce'a. Zgiełk naokoło wzmógł się.

— Co to jest? — zastanowił się półświadomie i uprzytomnił sobie, że to tylko szum krwi w uszach. — Hackett grubo się omylił — pomyślał. Dobrze! To dowód! To dowód, że umierający nie może widzieć przyszłości. „Ja jestem ostatni, którego zabijasz”. Fałsz, bo Fairless umrze. Ridley uzmysłowił sobie coś. Teraz rozumiał wszystko jasno. To, że Fairless umrze i jaką śmiercią umrze. Ridley widział już raz człowieka konającego od ciosu noża, zatrutego h o b i...

Z nagłym przekleństwem cisnął kris do morza.

O! Chryste!

Sięgnął niepewnie do własnego noża: szybki koniec dla tego nieszczęśnika, skazanego nieodwołalnie, natychmiastowy koniec. Niech lepiej nie...

Ridley nie zdążył wykonać miłosiernego zamiaru. Bruce był przy nim. Odwrócił się obronnym skretem, ale mocarne ramiona już go opasały w pól.

Rideli!

Nie mógł odpowiedzieć.

— Rideli, iść prędko — prędko! Lina puszczać!

Pojał, co się dzieje. Lina, która połączyła statki, zaczynała się obluźniać. Co-

kolwiek się stanie, trzeba uciekać na „Lamparta”. Porachunki z Bruce’em trzeba odłożyć na później. Trudna rada. Wyrwał się napastnikowi z furją szaleńca i podążył pijanym krokiem za ostrzegawczym głosem. Jeszcze sekunda, a byłby się spóźnił. Lina pękła. Pozostali przy życiu Kanakowie, przeciągnęli swego pana przez poszerzający się odstęp. Statki oddalały się od siebie.

„Jestem ostatni, którego zabijasz.”

Kłamstwo!

## II

Bruce przeszukiwał pokład z latarnią w ręku. Gonił Ridley’ego, lecz nieprzyjaciel zdążył umknąć. „Lampart” zginął w ciemnościach.

— Innym razem się porachujemy. Co się odwlecze, to nie uciecze — zamruczał.

Miał przynajmniej tę satysfakcję, że mu nadwyrężył żebra.

Wiatr wzmagał się; jak dobrze pójdzie, mgła podniesie się ze świtem.

Teraz jeszcze białe strzępy przepływają przez mroczną jasność latarni. Bruce trącił nieruchome ciało na pokładzie. Nie poruszyło się.

— Biruti — odezwał się głos za nim. Odwrócił się, podnosząc wysoko latarnię. W kręgu światła stał Karoro. Wysysał krew z ramienia.

— Karoro, twoja ranna?

— Moja ranna — potwierdził Karoro. — O! Biruti, Taoi ona trup, Puka ona trup. Jeden dwa kanaka wszystka trup.

— A Huahe? Ona trup?

— Ona prędko trup — powiedział Karoro. — Źle — źle, Biruti, źle — źle!

— Słusznie lamentował. Na „Hiszpańskim Grandzie” było czterech kanaków. Dwaj polegli, jeden został ciężko ranny. Z całej załogi został tylko jeden.

Ale gdzie Fairless?

— Fairless!

Żadnej odpowiedzi. Karoro zaczął się trząść.

Bruce krzyknął na niego. Ale dlaczego Fairless nie odpowiada? Zaczęli go szukać we dwóch. Przystępowali niedbale przez ciała leżące na pokładzie, niby zmięte łachmany. Strach padł na Bruce’a. Co się stało tam na dziobie, podczas gdy on bił się z oszalałymi Kanakami? Gdzie Fairless? Gdzie...

Jest.

Leżał na wznak, tak jak upadł. Był nieprzytomny, ale żył. Musiał zemdleć, wyrznięwszy głową o deski. Bruce doświadczył niezmiernej ulgi, gdyż trwożył się, że znajdzie trupa. Oddał latarnię Karoro, podniósł zemdłego i zeszedł z nim po trapie do oświetlonej kajuty.

— Żyje — radował się w duszy. — Nie umarł. Dogodzili mu nieźle, ale zaraz przyjdzie do siebie.

Otworzył skąpo zaopatrzoną skrzynkę apteczną, obandażował ramię Karoro z szorstkim, niecierpliwym pośpiechem i posławszy go po wodę, zabrał się do obeerzenia ran Fairlessa.

Guz na tyle głowy. Ano tak, od upadku. Ramię posiniaczone. To nic wielkiego. Ale — a co to? Bruce odebrał porywczo wodę od Kanaka i zanurzył w naczyniu szmatę. Ręce mu drżały. Fairless był ranny w lewe udo. Bruce rozpruł nożem nogawicę, mokrą od krwi.

— Powierzchnowa rana, to nic wielkiego — pocieszał się, widząc jak woda czerwieni się w misce. Znalazł miejsce, gdzie ostrze weszło w ciało. Rana była szarpana, po brzegach dziwnie sina. Patrzył z roztargnieniem, co to jest?

Karoro zaczął wydawać okrzyki przerażenia. Ale Bruce już wiedział. Usiadł i patrzył osłupiały. Plama na białym ciele powiedziała mu wszystko. Fairless był skazany na śmierć. Bruce położył go i poszedł po wódkę. Machinalnie nalał sobie porządną porcję i wypił duszkiem, jak kawę. Kajuta wydała mu się obcym miejscem, a twarz Kanaka jakby nieznajoma. Zwrócił gorączkowo uwagę na drobiazgi, których dotąd nie widział — plamę w kształcie serca na skrzyni, rozlany tłuszcz w kącie. Koniecznie trzeba wytrzeć ten tłuszcz — natychmiast! Już chciał szukać ścierki... Nienawiść do Ridley'a sprawiła, że był już bliski szaleństwa, myśl o zemście zdominowała inne uczucia. Wtem spostrzegł, że Karoro szłocha z przerażenia, przypomniał sobie o tragedii Fairlessa, i uspokoił się.

Podszedł popatrzeć na rannego. Dać mu wódki? Nie. Niech się już lepiej nie ocknie. Po co go jeszcze przywoływać do życia, kiedy i tak musi się z nim rozstać? Najlepiej by było, żeby skonał od razu. Ale już pierwsze bóle zaczęły przywracać nieszczęśliwemu przytomność. Ręka wyciągnęła się słabo, niepewnie i trafiła na kołtuniastą głowę Karoro. Kanak przytrzymał ją w dłoni i po tym zetknięciu Fairless zachnął się z bólu.

— Bruce!

— Jestem tutaj.

— Daj mi wódki. Gdzie Ridley? Gdzie mnie ten łotr zranił?



Bruce nalał mu wódki i podał. Fairless ledwie dotknął szklanki, wypuścił ją z ręki.

— Była w ogniu, czy co? — rzekł gniewnie. — Na czym ja leżę do diabła?

Bruce spróbował go podnieść, lecz Fairless ryknął z bólu. Obfity pot wystąpił mu na czoło.

— Nie dotykaj mnie. Co to jest? Twoje ręce ranią mnie jak noże

— zawołał Fairless z nagłą trwogą w oczach. — Co mi jest? Mów. Musisz mi powiedzieć...

Bruce załamał rękę. To dopiero początek. Tortura będzie rosła w miarę wolnego przenikania trucizny do krwi. Fairless będzie wył przy najłżejszym dotknięciu. Niebawem nawet powietrze zacznie go parzyć. Męka będzie straszliwa, nie do zniesienia. Ale jak długo potrwa? Jak długo będzie cierpiał?

— Bruce!

— Ja nie mogę... na nic... ty — ty...

Odszedł krokiem ślepca. Oparł się rękami o drzwi — o chłodne drewno — głowę opuścił na ramiona.

— Karoro — rzekł ostro Fairless.

— O! Fahiles, twoja źle — źle — skomlił Kanak. — Twoja umrzeć, musi umrzeć. Fahiles ona dostać kolnąć w noga. Ona kris kłuć bardzo.

Pomyśleć ona kris być włożył w hobi. Karoro myśleć ona Fahiles umrzeć.

— Hobi!

A więc to tak. Fairless doznał uczucia, jakby cała krew uderzyła mu do głowy, a następnie odpłynęła, pozostawiając ją pustą i otepiałą. A więc nie dociągnie gry do końca! Już jest okropnie, to co dopiero będzie potem!

— Hej!

Bruce podniósł głowę.

— Słucham — odrzekł głucho.

— Wiesz, co się będzie ze mną działo?

— Wiem.

— Podaj mi rewolwer.

— Po co?

— Dawaj, mówię ci!

Bruce wyciągnął rewolwer i włożył w osłabłą rękę rannego. Ale Fairless nie

mógł zacisnąć palców. Zaciął zęby z wysilenia — bez skutku. Hobi ma tę właściwość, że wywołuje straszliwą wrażliwość skóry, podobnie jak oparzelizna.

— Nie mogę utrzymać — powiedział.

Rewolwer stuknął o podłogę. Popatrzyli na ten kawałek stali jak na żywą rzecz.

— Nie... mogę... znieść... bólu — mówił urywanie ranny. — Nie... mógłbyś... mnie... tego?... Byłoby — prędzej!

Bruce potrząsnął głową.

— Na pewno jest jakaś odtrutka.

— Prawdopodobnie.

Zapadło milczenie, bo o czym tu było mówić? Fairless leżał z zamkniętymi oczami — na podłodze, tak jak go położyli. Pozwolił sobie wetknąć pod głowę zwiniętą derkę. Bruce posłał Karorę, żeby się zajął rannym Puahem.

Sam został przy Fairlessie. Agonia miała trwać siedem długich godzin. Mógł czuwać nad nim i nic więcej, bo w tych warunkach nie było dla nieszczęśliwego żadnego ratunku. Udręczone ciało skręcało się i podrzucało, nie znajdując wszelako cienia ukojenia. Ten człowiek, który używał łakomie wrażeń, musiał ich teraz doświadczyć w pełni. Zagryzał usta, żeby nie wyć, żeby nie skowyczeć z bólu.

— O! Boże! daj mi umrzeć odważnie — modlił się w duchu, rozumiejąc, że prosi o trudną rzecz...

Jakże trudną! Nie wytrzymał i zaczął jęczeć. Starał się stłumić jęki — bez skutku. Bił rękami powietrze.

— Nie powstrzymuj się — prosił Bruce. — Nie powstrzymuj się.

— Teraz już wszystko jedno! Krzycz! Przeklinaj!

— Nie mogę.

Fairless jęczał długie godziny, które dla obydwu były wiecznością. Przyszedł Karoro. Nieczuły, jak to Kanakowie, wyrzucił w morze trupy przyjaciół i nieprzyjaciół. Opatrzył Puahego i wyrecytował nad nim trzy uroki, żeby się głowa zrosła. Puahe siedział w kambuzie, oszołomiony, lecz weselszy. Bruce przyszedł zajrzeć do niego, rzucił mu tytoniu do żucia i wrócił do Fairlessa, miotającego się na podłodze. Był wściekły na swoją bezradność. Nie wierzył, że to nie złuda, że naprawdę musi się przyglądać jak człowiek kona. Wziął szmatę i otarł nieszczęśliwemu twarz. Na szyi, na rękach zaczęły się pojawiać złowieszcze plamy, jeszcze niewyraźne.

— Pięć dni — zagadał chrapliwie Fairless. — Jeden mój Kanak żył pięć dni.

Pięć dni...

Bruce podniósł rewolwer, który wypadł z bezsilnych palców — (przed ilu

godzinami?) — i ważył go w rękę. Gdyby pies się męczył, zabiłby go bez namysłu. Stał migotała w blasku bujającej się lampy. Kula oszczędziłaby Fairlessowi straszliwych cierpień. A jednak życie ludzkie...

Fairless bełkotał coś niewyraźnie. Bredził z bólu. Przeżywał we wspomnieniu jakąś dawno zapomnianą noc.

— Piję. Nie, głupcze, szkocką. Dwa razy. Dobra, Micky. Nikt nie przepije Irlandczyka. Co to za dziewczyna przyszła? Naturalnie, wszystkie jednakowe, co? Niezupełnie. Każda ma coś... Raz kochałem się w jednej dla jej rąk... Upiłeś się. O, tak. Wynoś się. Bo wywalę na zbity łeb, gnoju zatracony. Będzie mi się tu rządził! Mgła wchodzi w gardło. Gdzie słońce?

Monologował tak blisko godzinę, a Bruce siedział przejęty gniewem i litością, w gorzkiej niepewności, co czynić, z rewolwerem w rękę. Karoro wymknął się na pokład i wrócił szepcząc, że mgła idzie w górę. Statek zaczynał się kołysać. Bruce poznał, że dmie od północo-wschodu. Czy ten męczennik nigdy się nie uspokoi?

— Słońce — mówił Fairless. — Słońce.

Otworzył oczy, zapadnięte i przekrwione, lecz przytomne.

— Wynieś mnie na pokład.

Bruce podniósł go, a on wrzasnął z bólu. Bruce, przerzuciwszy sobie ciężar przez ramię, pędził po trapie z pośpiechem szaleńca. Karoro szedł za nim niepokojnie, niosąc brunatne, szorstkie derki. Ale teraz już było wszystko jedno, na czym go położą, czy na jedwabnych poduszkach czy na bronie. Udręczone ciało nie znosiło najdelikatniejszego zetknięcia. Zbliżał się świt. Mgła rozstępowała się, a bijąca od wschodu jasność, ukazała na twarzy Bruce'a linie, których jeszcze wczoraj tam nie było. Fairless spoczywał na dziobie z otwartymi oczami, z rękami wyciągniętymi nad głową. Miotał się w zamiarze znalezienia wygodnej pozycji jak człowiek na stosie, przywiązany do pala.

Bruce stał przy umierającym. To, co w tej chwili przechodził, równało się piekielnym męką. Czyja wina? Kto doprowadził do nieszczęścia? To nie wina Fanchon. Nikt nie zawinił z wyjątkiem jego jednego. Gdyby nie... Ale co biadać poniewczasie? Jednak gdyby nie poszedł do Fanchon, gdyby powściągnął zwierzęcy popęd, Fairless by żył.

Statek kołysał się łagodnie. Co się stało z Ridley'em? Czy rozbił się po ciemku o rafę? Raczej żegluj z powrotem na Les Aves. Czy zdobył to, czego chciał?

Gdzie Marlowe?

Gdzie Karola?

Bruce zatkał uszy. Fairless nie wytrzymał. Żelazna wola pękła pod naporem

cierpienia. Wył wniebogłosy... Bruce biegał po pokładzie tam i nazad. Był pewny, że te straszne krzyki będą mu brzmiały w uszach do samej śmierci. Od tego dnia brzask świtu w mglisty poranek i słońce jak czerwonokrwawa pomarańcza zawsze będą mu przypominały tę wyciągniętą postać, te ręce, bijące powietrze...

— Ahoy! Ahoy!

Nie zdziwił się, gdy podniósłszy machinalnie oczy, zobaczył Marlowe'a w szalupie i Kanaka, który zdawał się odchodzić od zmysłów. Stał w bezsilnym zapatrzeniu, nie odpowiadając na wołania i powitalne okrzyki. Czekał bez ruchu, a tymczasem Marlowe z Kahiwą dostali się na pokład. Był jak lunatyk, którego dręczy zmora.

— Bruce, co tobie, u diabła?

I Marlowe potrząsnął nim gwałtownie.

— Zwariowałeś? Skąd się wzięłaś na „Hiszpańskim Grandzie” Co się stało z Fairlessiem?

Odwrócił się i poszedł na dziób.

— Na Boga! — rzekł. — Wszystko może poczekać. Co jemu?...

— H o b i — objaśnił Karoro. — Fahiles ona umrzeć.

— Jeżeli to h o b i... — zaczął mówić Marlowe i nie dokończył.

Biedak! Kto użył tej piekielnej trucizny? Czasami agonია trwa całe dni.

Odszedł. Znalazł Bruce'a w kajucie przy stole z głową, ukrytą w ramionach.

— Okropnie cierpi — rzekł Marlowe.

Z pokładu dochodziło ochryple wycie nieszczęśliwego. Dziw, że mu dotąd nie pękło z wysiłku serce.

— Lepiej, żeby umarł — mruknął Marlowe.

Bruce uniósł znad stołu bladą twarz. Pokazał rewolwer, który trzymał w ręku.

— Nie mogę się na to zdobyć — szepnął.

Marlowe nalał wódki dla siebie i dla niego. Był zziębnięty do szpiku kości, zdrętwiały od wielogodzinnego siedzenia w szalupie. Usiadł i postarał się skupić myśli. Czy zostawić Fairlessa samego na długie godziny, a kto wie czy nie dni niewysłowionej męki? Widok tej męki i jęki konającego doprowadzają Bruce'a do szaleństwa. Ale Fairless nie wyzdrowieje. Nie ma nadziei.

— Albo go zostawię tak jak jest — powiedział na głos — albo...

Wstał.

— Zostań tutaj — rzekł do Bruce'a. — Ja — ja — idę na pokład.

Wziął rewolwer i poszedł do trapu.

Bruce podniósł głowę nasłuchując. Ciężkie kroki na pokładzie idą w stronę

dziobu, powoli, nieubłaganie.

Tak stąpa śmierć.

## ROZDZIAŁ XIII

### I

„Lampart” sunął wśród rozstępujących się tumanów mgły ze zdobyczą w paszczęce. Ridley, czerwonooki z braku snu, skoro tylko świtanie zapowiedziało jasny dzień, wykręcił na południe. Jak długo Fairless będzie się zmagał ze śmiercią? Jak prędko Bruce wypuści się w pogoń za „Lampartem”? A Marlowe, co się z nim dzieje? Czy żyje? Jeżeli szalupa nie zatoneła w nocy, to Marlowe zobaczy „Hiszpańskiego Granda”, jak tylko się rozwidni.

Ridley kręcił sterem. Krew w nim grała, triumf rozpiekał serce. Zwyciężył. Pochwycił Karolę, zdobył morski skarb — dzięki sile i przebiegłości. Szał zwycięstwa uderzył mu do głowy jak wino. Takich uczuć, takiego radosnego upojenia doświadcza tylko zwycięzca. Słońce przebijało się przez mgłę. Białe tumany darły się na strzępy, niebieskie rozłogi nieba rosły w oczach. Płaty piany spadały Ridleyowi na ręce. Dalej, dalej — do przystani, na Les Aves, gdzie czeka Van Kloort, zniecierpliwiony, niespokojny...

Na myśl o rezydencie podniósł głowę i zaczął śpiewać. Zobaczysz, stary mruku! Kto się wyprawił za skarbem, kto go zdobył własnymi rękami?

Ciśnie mu go pod nogi z twarzą niedbałą, a stary tylko rozdziawi usta i oczy i będzie liczył, ile tego, ile tego...

— Ale kto mi każe wracać — przemknęło mu przez myśl.

Tak, mógł po prostu zmienić kurs i popłynąć na Degas, stamtąd do Amanu, wsiąść na okręt do Frisco... Świat stał otworem. Zamarzyła mu się wizja: On i Karola w podróży przez wielkie miasta w roli bogatej pary. Oczywiście. Nie potrzebuje wracać na Les Aves. Nie potrzebuje dzielić łupu z Van Kloortem. Dlaczegoż by nie miał zatrzymać wszystkiego dla siebie?

Ale co by mu ostatecznie z tego przyszło?

— Przypuśćmy, że się zabawię w oszusta. Przypuśćmy, że zatrzymam cały skarb dla siebie. Miałbym masę pieniędzy. Pieniądzy? Co .mi po pieniądzach? Prawda, za pieniądze można dostać wszystko: ubranie, jedzenie, pojazdy, konie, kobiety... Ale mnie wszystko jedno, co jem i nie dbam o to, co na siebie włożę, a żaden pojazd, żaden koń nie dorówna „Lampartowi”. Kobiety? Dotąd nie po-

trzebowałem ich kupować.

— Płynę na Les Aves — powiedział na głos.

Czuł w duszy, że w gruncie rzeczy zależało mu tylko na triumfie, na zaspokojeniu miłości własnej. Pokaże Van Kloortowi, czego dokonał. Spełnił to, co obiecywał. Zdobył to, co chciał. Bruce — Marlowe

— Fairless pokonani. Wszystkich przechytrzył i zostawił, a sam umknął jako zwycięzca. Już widział, jak będzie się chełpił, jak będzie się przechadzał wielkimi krokami przed rezydentem i Fanchon zasłuchanymi w jego opowieść. Podzieli się łupem z Van Kloortem, swoją część zabierze. Ale co zrobi z tym bogactwem? Przepije, przegra w karty i wyprawi się po więcej...

Mówią, że od h o b i umiera się pięć dni.

Zdenerwowany tym wspomnieniem krzyknął na Hoawę rozkazując zwinąć część żagli, gdyż wiatr się wzmaczał. Brakowało mu ludzi, dwóch bowiem poległo na pokładzie „Hiszpańskiego Granda”. Ustawił odpowiednio statek i sam pomógł przy linach. Praca na „Lamparcie” nie nużyła go nigdy. Dbał o ukochany statek, jak inny dba

o kochankę. Trudził się razem z Kanakami. Radowała go woń nasmołowanych lin, radowała szorstkość żagli. W końcu udało mu się zreperować i zamocować dolny żagiel. Kanak przy sterze wykręcił statek i popłynęli na południo-wschód.

Słońce wzeszło i gorzało na czystym błękitnie. Widnokrąg był pusty. Szkarłatny żagiel nie ścigał swojej ofiary. Ridley wydał rozkazy Hoawie i skierował się do trapu. Zbiegł na dół, pogwizdując. Wyciągnął rękę do drzwi, za którymi oczekiwała Karola. Tknięty pewną myślą, przystanął. Musiała się chyba zorientować co się działo w nocy. Co jej powiedzieć? Czy zaniecha ostatecznie oporu gdy usłyszysz, że Bruce nie żyje? Zaśmiał się na myśl, że tak czy owak nic by sobie nie robił z jej fochów. Powie smarkatej prawdę i niech się dzieje, co chce. Bruce! Co tam Bruce! Przestanie, smarkata, myśleć o Brusie, niech tylko on, Ridley, weźmie się do niej, jak należy.

Mówią, że od h o b i umiera się pięć dni.

Pchnął niecierpliwie drzwi i wszedł.

— Co się stało? — zapytała Karola.

Siedziała na stole, bujając nogami do taktu chwiejbie statku. Była blada i mizerna. Oczy wydawały się niezwykle wielkie i błyszczące.

Ridley oparł się plecami o drzwi i mierzył okiem wyzywającą postać dziewczyny. Znał ten typ. Wiedział, że z kobietami tego pokroju ciężko dojść do ładu. Ale pokonać taką, to dopiero rozkosz. Karola mówiła coś — nie słuchał. Zbyt był

pochłonięty jej pięknnością. Twarz blada, ale usta pełne i czerwone. Oczy srogie, ale skóra na szyi gładka, jak . atlas...

— Bruce’a na Helenie nie było.

— Skąd wiesz?

— Pięknie to sobie wykombinowałaś. Musiałaś mu poradzić... Nie, do licha! Nie mogłaś tego zrobić — przerwał sobie. — Fairless przybył wcześniej na Les Aves niż powinien. Nie mogłaś tego wykombinować...

Patrzył na nią niepewnie.

— Skąd Bruce wziął się na pokładzie „Hiszpańskiego Granda”?

— „Hiszpańskiego Granda”?

— Tak. Musisz mi powiedzieć. Dlaczego nie odpłynął z Marlowe’em?

— Nie wiem.

— Kłamiesz. Wiedział, co zrobię, dowiedziawszy się, że „Helena” podniosła kotwicę. Odgadł dokładnie, co będzie. Rozumiałbym jego manewr, gdyby chciał mnie zatrzymać na Les Aves. Ale tak nie było. Gdzież on był i dlaczego został?

Karola pokręciła głową.

— Nie wiem.

W odpowiedzi zgniótł jej ramię niedźwiedzimi łapami. Stalowe palce wpiły się w delikatne ciało.

— Nie wykręcisz mi się sianem, kocico. Masz powiedzieć natychmiast, dlaczego on został?

Blade policzki dziewczyny zachodziły różową łuną. Ridley popatrzył na nią uważnie, na rozbiegane oczy, na usta, które zaczęły drżeć.

— Nie chciałaś, żeby został. Zależało ci, żeby się zabrał z wami — z tobą i z Marlowe’em. Czemuż więc został na Les Aves? Co go zatrzymało?

Karola próbowała się wyszarpnąć, lecz kleszcze trzymały nazbyt silnie.

— Mów. Co to takiego było? Żaden mężczyzna nie zaniechałby takiego przedsięwzięcia bez ważnego powodu. Co to było?

Tu olśniła go nagła myśl.

— A może ktoś go zatrzymał? — dorzucił.

Łuna krwi zalała twarz dziewczyny.

— Zgadłem! — wykrzyknął Ridley. — No, gadaj. Oniemiałaś, czy co? Kto to był? Ten głupiec Hendry? Nie. Trudno przypuścić, żeby on się w to wdał.

I na chybił trafił rzucił domysł:

— Założę się, że kobieta.

Po oczach, po westchnieniu Karoli, poznał, że trafnie odgadł.

— Więc to tak! Baba się wdała. Ha! Nie dziwię się, że spiekłaś raka. Bruce to taki sam babiarz jak inni. Powinnaś się nad tym zastanowić. Kanacka dziewczyna może zakreć w głowie, ale ja bym wolał kochać się z tobą. Dziwię się Bruce'owi.

Karola milczała. Była w jego rękach. Stała oparta o stół i serce jej trzepotało jak szalone. Czyż uda się jej dać odpór temu zbrodniarzowi? Gdzie jest teraz Marlowe, co się z nim dzieje? Co Bruce robił na „Hiszpańskim Grandzie” A Fairless — dlaczego Ridley nie wspomniał o Fairlessie?

— Masz śliczne ręce. — Chwycił ją za łokcie i trzymał mocno.

— Głupi ten Bruce. Nie zna się, ogier, na eleganckich kobietach, woli kanackie ćmy. U której był? Może u Moany, tej co mieszka na skraju osiedla?

Podniósł do ust rękę swej ofiary. Karola jęła oddychać krótko, urywanie. — Jeszcze nie! Jeszcze nie teraz! — ostrzegał rozsądek.

— Zaczekaj. Ona jest na razie rozżarta. Będzie się broniła do upadłego. Powoli zmięknie. Ale bliskość jej młodego i prężnego ciała odebrała mu przytomność umysłu. Szybkim ruchem pochwycił ją w objęcia. Zaczęła się bronić, lecz ciosy drobnych pięści odczuwał jak muśnięcia motków jedwabiu. Schylił głowę i poszukał ustami jej ust i szyi. Przycisnął jej ręce do boków. Była bezbronna. Ridley oszalał. Niech się rzuca, niech się szarpie, niech się nawet modli do niego — wściekła kocica. Nie będzie zważał. Już mu teraz nie umknie, ślicznotka. Będzie pierwszy! Ktokolwiek przyjdzie po nim, on zostanie jej w pamięci na zawsze. Kobieta nigdy nie zapomina swego pogromcy.

— Daj spokój, mała. I tak się nie wymkniesz.

— Puść.

Zaśmiał się głośno.

— Co takiego? Myślisz, że się rozczulę nad twoją młodością i niewinnością, moja gąsko? Takie rzeczy dzieją się tylko w książkach — tylko w książkach.

— Ridley, puść mnie.

— Puszczę, ale później. Skąd masz ten łańcuch?

Karola miała na sobie męską koszulę.

— Czyje to? Bruce'a? Zgadłem. Gdyby Bruce był teraz na moim miejscu, nie stroiłabyś fochów, co, gołąbeczko?

Ciemna twarz nachylała się tuż nad jej twarzą. Włosy dotykały jej włosów. Była bezsilna, całkowicie bezsilna. Resztki odwagi załamały się pod obuchem rozpacz.



— Marlowe! Marlowe!

— Na próżno wołasz. Zobaczymy go niedługo, jego i Bruce'a w pogoni za „Lampartem”, ale na razie jeszcze ich nie widać. Zresztą Bruce'owi na tobie nie zależy, bo gdyby zależało, to by przecież nie został na Les Aves! Głupiec! Czy na Les Aves jest kobieta...

Urwał. Domysł, narodzony z własnych słów, wypowiedzianych bez zastanowienia, przeszył mu mózg błyskawicą objawienia. Czy na Les Aves jest kobieta...

— Karola! — zawołał zmienionym głosem, ostrym i rozkazującym. — Karola! — powtórzył. — Ty wiesz, kto go zatrzymał?

— Tak — rzekła słabo.

— Fanchon?

— Tak.

Odepchnął ją z taką siłą, że zatoczyła się i upadła. Ale on teraz o niej nie myślał.

Więc to była robota Fanchon. Słusznie przeczuwał zdradę. Pamiętał zapytanie Fanchon i swoją odpowiedź. Intryga była oczywista. Bruce miał płynąć z Marlowe'm, a ta go zatrzymała. Dlaczego? W jakim celu? Po co pytać, po co się zastanawiać? To jasne. Sprzymierzyła się z Van Kloortem przeciwko niemu, stanęła po stronie jego nieprzyjaciela. Ułożyła sobie z Van Kloortem, że Marlowe popłynie, a Bruce zostanie

i wyprawi się później na jakimkolwiek statku, pożyczonym czy skradzionym. Ridley musiał przyznać, że intryga była dobrze pomyślana. Wiedzieli jak rozdmuchać tłumioną niechęć do Bruce'a w jawną wściekłość. Posłali go za nim, Ridley'em, jak tygrysa... Zaczął się przechadzać po kajucie. O Karoli zapomniał. Więc tak rzeczy stoją! Za nim śpieszy mściciel, a na wyspie czeka zdrada. O! na Boga! na Boga! rozprawi się z podłą zgrają. Przy następnym spotkaniu z Marlowe'm, jeden z nich padnie. Ale wpierv jeszcze, zanim narazi życie, rozprawi się z parą zdrajców, z Van Kloortem i z Fanchon! Miej się na baczności, układny grubasie! Miej się na baczności, czujna łasico! Miejcie się na baczności, zdrajcy!

Ze wściekłością mieszała się gwałtowna zazdrość, jaka wybuchała w nim za każdym razem, gdy usłyszał nazwisko któregoś z kochanków osławionej Fanchon. Nie ma się co oszukiwać, nie ma co wmawiać w siebie, że on i Fanchon są tylko współnikami, których nie łączy nic prócz interesu, że jemu samemu nie zależy na innym stosunku. Kłamstwa, kłamstwa dla zaleczenia chorej duszy. Ridley spojrział prawdzie w oczy. Czuł, że oddałby wszystko za względy tej kobiety, która stale go odtrącała, kochając się z innymi.

Wyszedł z kajuty i Karola usłyszała na pokładzie niespokojne kroki. Wstała, zgarniając włosy z oczu. Chwilowo niebezpieczeństwo minęło. Jednakże czuła się jak na wulkanie. Kiedy znów przyjdzie cholerny zalotnik i na jak długo starczy jej sił! Ridley wspominał, że „Hiszpańskiego Granda” tylko patrzeć, a na jego pokładzie jest Bruce. Może już nawet widać szkarłatne żagle. Pchnęła drzwi. Otwarte. Nie zamknął. Wysłała po trapie na powietrze, na słońce.

Żagle wydymały się na wietrze i statek przechylał się wręcz niebezpiecznie. Ridley był przy sterze. Nachmurzony, posepny, udał, że jej nie widzi. Tu na słońcu i wietrze czuła się bezpieczniejsza.

Ridley krzyknął coś do Kanaka usytuowanego na bocianim gnieździe. Odpowiedź spłynęła z podmuchem wiatru.

— Nie widzieć, Rideli!

Karola rozumiała, o co chodzi. Domyśliła się, dlaczego Ridley stracił humor, dlaczego „Lampart” postawił tyle żagli, że aż się zatacza na wodzie. Tak, Ridley chce zyskać na czasie, stara się ująć pogoni, która musiała się zacząć przed wielu godzinami. Dochodziło południe. Słońce stało wysoko. Co się jeszcze zdarzy nim mrok spłynie na świat?

— O! Rideli!

— No, co tam?

— „Spanita Granta”, Rideli! Ona iść prędko — prędko!

Ridley pochylił się nad sterem. Czy Fairless jeszcze żyje? Czy żyje?

Wszak od hobi umiera się pięć dni. Diabli z Fairlessem. Już jest unieszkodliwiony. Już się nie liczy. Teraz sprawa z Bruce’em. Z Bruce’em i Marlowe’em, którzy gonią „Lamparta” z wściekłością w sercach.

Ridley obejrzał się na Karolę. Dziewczyna i cenna ambra są w jego rękach. A jeżeli Bruce dogoni „Lamparta”? To co? To on, Ridley, położy go trupem na pokładzie, strątuje podłą twarz... Na Karolę będzie czas potem. Zwycięstwo, a po zwycięstwie — łupy!

Patrzył ku Les Aves. Co zrobi, gdy „Lampart” zarzuci kotwicę w przystani? Jaką twarzą powita zdrajców, którzy sprzymierzyli się z nieprzyjacielem? Zastanawiał się gorączkowo, myśli krążyły jak oszalałe. Czy położyć się w dryf i zaczekać na nieprzyjaciela? „Lampart” ma na pokładzie działko. Lepsza walka, niż ta okropna zajęcza ucieczka. Lepsza walka morska niż...

Marlowe zaszył w płótno zwłoki Fairlessa i pomógł Kahivie zepchnąć do morza obciążone ciało. Bruce siedział przy sterze, nachylony jak drapieżnik, szykujący się do skoku. W oczach miał błyski obłądu. Z rozwianiem się mgły wzięli kurs na południo-wschód w pościgu za Ridley'em.

Marlowe zeszedł na dół i wsadził głowę w kubek z wodą. Potem łyknął tęgiego trunku, przyczesał włosy i wrócił na pokład. Bał się zostawić Bruce'a samego.

— Wiatr wzmaga się.

— A tak.

— Fairless — nie żyje.

Bruce odwrócił oczy.

— Co się stało? To zderzenie... A Karola... i ambra...

— Ridley zabrał ją i skarb — rzekł z goryczą Marlowe. — To było tak...

Bruce wysłuchał opowieści w milczeniu.

— Dlaczego nie wciągnąłeś się za nią? — zapytał, gdy Marlowe skończył.

— Za nią? — parsknął rozżalony Marlowe. — Czy nie mówiłem, że Kahiva ściągnął mnie na dno łodzi? W chwilę potem statek zginął we mgle. Zresztą, gdybym nawet zdążył, to zostałbym krwawo powitany. Założyłbym się, że Ridley czekał na mnie z nożem.

— Ja mu jeszcze zapłacę.

— Czekaj okazji, czekaj! — odpalił Marlowe z rosnącym gniewem. — Gdyby nie twoja głupota, nie wkopalibyśmy się w taką awanturę.

Wyraz twarzy Bruce'a pohamował go w rozpędzie.

— Co tam! — burknął cierpko. — Płacisz za swoje winy... Ale i Karola płaci. Blade policzki Bruce'a spływały szkarłatem.

— Tu cię trafiłem — ciągnął Marlowe. — Żałujesz, że z twojego powodu jest teraz nieszczęśliwa...

Żal? Własne słowa zaboląły dotkliwie Marlowe'a. Karola! Że też mu się zebrało na miłość do tej rozhukanej kozy? Sięgnął pamięcią w chaos najbliższej przeszłości. Czy nie wszystko jedno! Myślał, że wie, co to jest miłość. Czy wszystkie jego przygody z kobietami były podobne? Zaznał w życiu zmysłowej namiętności i jałowej goryczy przesyty i nazywał te sprawy tym, czym nie były. Rzadko opierał się zachciankom swej żywiołowej natury. Kochał się i odpływał. Wracał po wielu miesiącach

i przebaczano mu. Znał kobiety, wiedział, jak mogą zgłębić mężczyznę. Ale ten

ból w sercu na myśl o Karoli — czy to miłość? Czy bogowie oszukiwali go przez tyle lat, żeby mu dopiero teraz otworzyć oczy; teraz gdy już jest za późno?

Krzyknął na Kanaków, żeby zmniejszyli żagle. „Hiszpański Grand” parł przez fale chwiejnym biegiem. Grzywiaste bałwany zalewały pokład zieloną wodą. Statek wyrywał się z labiryntu nurtów na szerokie morze, którym umykał „Lampart”. Marlowe chwiał się na nogach. Bruce to zauważył.

— Idź się trochę położyć.

— Trzymam się — zaprotestował Marlowe.

— Masz mnie słuchać! — uniósł się Bruce. — Co tak na mnie patrzysz? Wiem, co ci chodzi po głowie. Ubrdałeś sobie, głupi, że mi uderzyło na mózg. Uspokój się. Jestem tak samo normalny jak i ty. Zrobiłem szalone głupstwo, ale spróbuję je naprawić, rozumiesz?

Bruce nigdy nie przeproszał otwarcie, więc takie odezwanie się dużo znaczyło w jego ustach. Marlowe trzepnął go w plecy bez słowa i zeszedł na dół. Znalazł koję rozgrzebaną. Derki leżały zwalone w nogach. Chciał je rozłożyć, lecz mu się wysunęły z rąk, taki był senny. Upadł na posłanie i wyciągnął nogi. Leżał oddychając głęboko, z zadowoleniem. To, co się stało, nie może się odstać. O tym, co przyjdzie, będzie pora myśleć, gdy przyjdzie.

— Musiałem — powiedział na głos. — Fairless, przyjacielu, nie masz do mnie żalu?

I zaraz usnął.

\*

\* \*

Obudził się po południu. Ziewnął, wstrząsnął się... Zatupotały bosc nogi, ukazała się zwichrzona, kołtuniasta głowa Puahego.

— Marilu! przyjsć prędko — prędko. Biruti ona mówić widzieć „Lampariti”.

— „Lamparta”?

— Tak, Marilu, ona „Lampariti”.

Wyskoczyli na pokład. Bruce siedział na maszcie z lornetką w ręku. Wiatr zwiewał mu czuprynę na twarz, więc podrzucał głową ze zniecierpliwieniem.

— Widać? — wrzasnął z dołu Marlowe.

— Widać, widać, „Lampart”, ani chybi! — odkrzyknął Bruce.

— Płynie, jak na skrzydłach. Ridley musiał przeczuć, że jego godzina wybiła. Spuścił się na dół. Staął, chwiejąc się na nogach.

— Ledwie żyjesz — rzekł Marlowe. — Teraz ty idź się przespać.

— Ja bym spał? Ja? Nie zmrużę oka, póki nie rozprawimy się z Ridley'em.

— Boi się, że we śnie zobaczy Fairlessa — przemknęło przez głowę Marlowe'owi.

Głośno powiedział:

— Jak chcesz. Słuchaj, ten statek jest bardzo szybki. Powinniśmy dogonić „Lamparta”.

Bruce rzucił okiem na wydęte żagle.

Marlowe idąc oczami za jego wzrokiem, zauważył:

— Ciekaw jestem, dlaczego Fairless wybrał czerwone żagle. Dziwna fantazja.

Na wzmiankę o zmarłym Bruce przygryzł usta. Marlowe pośpiesznie zmienił temat rozmowy.

— Wiesz, Karola zabrała sobie tę nową, niebieską koszulę, którą kupiłeś na Waihiti — rzekł nerwowo.

Bruce nie odpowiedział. Poszedł do steru, dając znak Kahivie, że jest wolny. Gdy Kanak zniknął w forkasztelu, zapytał:

— Czy Karola miała rewolwer?

— Pewnie, że miała — odpowiedział Marlowe zdziwiony i zmrużył oczy.

Więc Bruce bierze to do serca? Czyż tylko krew Ridley'a zdolna zagasić ogień, który goreje w nim. „Hiszpański Grand” niósł się zwycięsko na swych krwistych żaglach. Kiedy dogna umykającą zwierzynę, by stoczyć walkę? I jaki będzie jej wynik? Marlowe wzdrygnął się. Hackett zginął. Fairless zginął. Może teraz kolej na niego. Może nie sądzone mu dożyć zachodu słońca. Kto wie?

Wziął ster od Bruce'a, który zeszedł na dół coś przekąsić. „Lampart” umykał z wyzywającą szybkością. Słońce zaczynało się zniżać ku zachodowi. Jeszcze trzy godziny, a zrobi się ciemno. Marlowe zaciskał zęby. Jeśli „Lampart” zginąłby w ciemnościach, to by go już prawdopodobnie nie dogonili.

„Hiszpański Grand”, kierowany pewną ręką Marlowe'a, przedzierał się energicznie przez wodne bruzdy. Sternik ocierał wodę z ramion i wystawiał twarz na wiatr. Bruce jakoś nie wraca. Może usnął przy stole. A może...

— Marilu! — wrzasnął czatownik na oku.

— Co tam?

— O! Marilu, ona „Lampariti” ona stanąć.

— Cooo?

Krzyk kolegi wywabił Bruce'a na pokład. Jeśli patrzeć we wskazanym kierunku. Prawda. „Lampart” leży w dryf. Czeka. Czeka? Co to ma znaczyć?

— Przybliżmy się — rzekł Bruce.

— Wiesz, że „Lampart” ma na pokładzie działko? — przypomniał Marlowe.

— Wiem. Czy uważasz, że powinniśmy lec w dryf?

Zmierzyli się oczami.

— Nie, o, nie, do stu piorunów! — odparł Marlowe.

## ROZDZIAŁ XIV

### I

„Hiszpański Grand” zakradał się ostrożnie. Marlowe manewrował z duszą na ramieniu. Ryzyko było szalone. Wszak płynęli prosto w armatnią paszczę.

— Odbijmy trochę — proponował. — Jeżeli nas wezmą z boku, to będzie po nas.

— Wal prosto — odpowiedział Bruce. — Może się go uda staranować.

— Dobra myśl! — wybuchnął ironicznie Marlowe. Staranować! Zatonie razem z Karolą i ambłą! Gdzie podziałeś rozum, głupcze? Ridley pójdzie na dno, to i ona się nie uratuje.

Bruce sklął go i wyrwał mu ster. Marlowe ugiął się przed jego szaleństwem. W Brusie krew się gotowała, a mózg zalewały fale wściekłości. Pod jego rękami „Hiszpański Grand” przyśpieszył pędu. Już rozróżniali postacie na pokładzie „Lamparta”. Czy już są w zasięgu działa? Zatoną, to zatoną, byle tylko wpierw rozprawić się z Ridley'em! Bruce zacinał zęby, ciekawy, czy Marlowe nie ogłuszy go i nie zawróci statku.

W dryfującym „Lamparcie” była jakaś groza. Na wyspach mówiono, że Ridley nigdy nie porzucił zdobyczy. Miał w ręku Karolę i zawładnął ambłą. Czegóż mógł więcej chcieć?

— Mnie chce — powiedział na głos Bruce. — Marlowe, ściągnij Puahego na

pokład, bo wycelują w chłopaka.

Pochylił się nad sterem.

Marlowe wzruszył ramionami. Na nic nie zda się przemawiać Bruce'owi do rozumu. Bitwa... raczej mord... „Lampart” tylko czeka, żeby ich zatopić. Marlowe nabrał chciwie powietrza w płuca. Przez ostatnie dwa dni był bliski śmierci i wiedział co to strach.

— Wolniej — rzekł nagle do Bruce'a. — Do diabła! — gotowi otworzyć ogień.

Płynęli. Ciężkie minuty wydłużały się w stulecia. Jak długo szli tak uparcie i wyzywająco prosto na nieprzyjaciela? Ridley pewnie zbierał załogę, gotując się do ataku. Prawdopodobnie, gdy „Hiszpański Grand” zbliży się, „Lampart” wykona obrót i podejdzie do burty. Z prawej burty pokazał się rekin. Szara płetwa przecinała fale. Potwór uwijał się w pobliżu statku, jakby węszył śmierć. Kanakowie go zobaczyli i wzięli to za zły omen.

Pierwszy pocisk trafił „Granda” w okolicach dziobu. Statek wstrząsnął się jak ugodzony koń. Rozłupane deski zjeżyły się śmiesznie zębatymi kikutami.

— Odbij durniu, odbij... Jesteśmy pod ostrzałem. Rozwałą nas w drzazgi, błagał Marlowe.

Ale Bruce nie słuchał tego rozpaczliwego głosu. Brał kurs prosto na „Lamparta”. Na Boga! Ridley nie ujdzie mu, nie ujdzie kary. Fairless by się cieszył! — pomyślał. Rozkoszowałby się radośnie tą nową, śmiertelną przygodą!

Trzy metry od lewej burty wybuchła z morza wysoka fontanna. Marlowe milczał blady. Powtarzał sobie, że już nieraz był w opałach i zawsze wychodził cało. Ale w takiej sytuacji jeszcze nigdy się nie znalazł. Kanakowie zanosili namiętne modły do starych bogów morza i wiatru o pomoc, o ratunek. Marlowe słuchał mimowoli, ubawiony myślą, co by misjonarz z Degas powiedział na te starożytne zaklęcia.

Ridley miał trudności z mierzeniem do ruchomego celu. Dwa razy chybił. Trzeci pocisk oberwał dolny żagiel w chwili, gdy „Hiszpański Grand” zapadł się w bruzdę między falami.

Odległość między statkami zmniejszyła się. Bruce był siny na twarzy.

Strzelił z rewolweru i chybił. Szalał. Ridley krzyknął na swego sternika i statek wykonał wolny obrót.

— Będzie próbował staranować „Granda” — rzekł Marlowe.

— Niech go diabli!

Ledwie dokończył, pocisk armatni utknął w maszcie za jego głową. Zaklął

wściekle i zgiął się w pół. Bruce tymczasem postawiwszy przy sterze Kahivę, celował. Strzelił jednocześnie z Ridley'em. Jeden z załogi na „Hiszpańskim Grandzie” upadł nie wydawszy jęku.

— Do diabła! — zaklął Marlowe. — To nam zostało tylko dwóch. Puahe, twoja chować się, rozumieć?

Odpowiedział gest ciemnej ręki. Kahiva przy sterze wyszczerzył przyjemnie zęby. Śpiewał dziką pieśń z dobrych, dawnych czasów, kiedy to Kanakowie wyprawiali się radośnie w morze na katamaranach wojennych z wymalowanymi na dziobach oczami rekinów.

W miarę jak słońce zachodziło, wzmagala się bryza. Tylko patrzeć jak zapadnie szybki zmierzch, a po zmierzchu ciemności. Jeżeli ma być bitwa, to natychmiast. Któż wie, co ich wszystkich czeka tej nocy?

Działko „Lamparta” znów plunęło ogniem i „Hiszpański Grand” zakołysał się od uderzenia. Nie ulegało wątpliwości, że Ridley postanowił zatopić przeciwnika. Nawet Bruce pojął, że szaleństwem byłoby próbować abordażu. Ridley najwidoczniej czekał, żeby „Lampart” się przybliżył, wtedy by go zatopił szybką serią strzałów.

— Skąd on ma granaty? — zastanowił się Marlowe. — Pewnie od Holendrów z Filigasty. Wiesz, Bruce, ratujmy się lepiej póki czas.

— Nie!

— Oszalałeś, człowieku? — krzyknął zrozpaczony Marlowe.

— Patrz, znów manewruje, żeby podejść do burty. Trzyma nas w szachu tym działem. Nie możemy się zbliżyć. — I co tu poradzą rewolwery? Już nam ustrzelił jednego Kanaka. Uwaga!

Pokazał pocisk, który uwiązał w burcie. Pot występował mu na karku grubymi kroplami.

— Ty, arcygłupcze, uciekajmy póki czas. Dziś jemu szczęście sprzyja. Zaczekajmy z zemstą do powrotu na Les Aves. Zaczekaj, póki nie będziesz się z nim mógł wziąć za bary. Niech cię diabli! — nie słyszysz, co do ciebie mówię?

Bruce patrzył przed siebie. Miał wyraz oczu człowieka, któremu związano ręce i nogi i kazano być świadkiem tortur wobec których jest bezsilny: wyraz tępej rozpacz.

Wycofać się z walki? Zostawić Karolę i skarb Ridley'owi? Ale jakie mamy wyjście? Każda minuta zwłoki powiększała niebezpieczeństwo.

A jednak ustąpić z pola, uchylić się przed pazurami „Lamparta” byłoby tchórzostwem, hańbą...



Marlowe gdzieś zniknął. Bruce'owi serce załomotało. Czy coś się stało?

— Marlowe!

Kahiva krzyknął uspokajająco, pokazując na trap. Po chwili wynurzyła się czarna głowa Marlowe'a.

— Co tam? — zapytał Bruce.

— Co tam? — powtórzył jak echo tamten. — Zmów pacierz, bracie. Chodziłem sprawdzić, czy ostatni pocisk nie trafi nas poniżej wodnicy, bo tak mi się zdawało. Przecieka!

— Przecieka?

— Woda na dnie czyściuteńka. Chyba wiesz, co oznacza czysta woda na dnie? Chodź. Jeden akt się skończył. Teraz musimy się wziąć do pomp, a jak to długo potrwa, Pan Bóg wie.

— Dobrze — zgodził się z rozpaczliwym westchnieniem Bruce.

— Twoja odbić, Kahiva, odbić — odbić!

— Odbić, Biruti zaśpiewał Kahiva.

Słońce zapadało za widnokregiem, podobne w tej chwili do złośliwego, drwiącego oka. Woda między statkami czerwieniła się krwawo odbiciem łuny, zachodu. Niebo ciemniało. „Hiszpański Grand” wykręcał się wolno, niechętnie opuszczając pole walki. Bruce unieszkodliwił kanaka z załogi „Lamparta”, Marlowe postrzelił drugiego. Ridley jednak stał cały — niezwyknięty, niedbały, pełen wiary w przeznaczenie, które przez tyle burzliwych lat odwracało od niego kule.

— Tam jest Karola! — zawołał Marlowe.

— Na Boga! — przeraził się Bruce. — Co ta smarkata sobie myśli? Czy postradała zmysły?

Karola pojawiła się na dziobie. Widzieli jak się przechadzała spokojnie tam i z powrotem. Raz zaśmiała się i dźwięk ten poniósł się niesamowicie nad rozhuśtanym morzem. Słońce znikło jak zepchnięte. Marlowe spojrział na Bruce'a. Ten ścisnął w rękę rewolwer z taką zaciekłością, że aż knykcie zbieleły.

— Daj pokój — rzekł ostro Marlowe. — Nie możesz strzelać, bo ona jest na pokładzie.

— Mógłbym go trafić — mruczał Bruce. — Tak, mógłbym go trafić. Ona poszła na rufę. Widzisz?

I nim Marlowe zdążył go powstrzymać, strzelił. Ridley chwycił się za lewą rękę w przegubie.

— Trafiłem! — wrzasnął z dzikim uniesieniem Bruce. — Postrzeliłem su-

kinsyna.

— Nieźle, ale już za ciemno, żeby próbować jeszcze raz.

Krótki zmierzch, przelotny jak uroda kobiety, zaćmiewał oczy.

Kolorowa luna zachodu płowiała pod zabórczymi stopami nocy.

— Dziś już nic więcej nie dokażemy — powiedział Marlowe.

— Bogu niech będą dzięki, że jeszcze żyjemy. Wycofajmy się z pola ostrzału. Puahe, twoja pompować szybko — szybko. Kahiva, twoja dobra Kanaka. Pompować długo — długo, twoja jeść wołowina, twoja żuć tytoń dużo — dużo!

Wetknął rewolwer za pas i zluzował Kahivę przy sterze. Trapił się, że będzie miał z Bruce'm ciężką przeprawę. Chłop doprowadzi wszystkich do szaleństwa swoją niecierpliwością, nienawiścią do Ridley'a, wściekłością na własną bezsilność, że nie może zrobić tego Ridley'owi, co Ridley zrobił Fairlessowi.

Marlowe obejrzał się na sztywną postać przyjaciela, już prawie niewidoczną w mroku. Puahe biegł z latarnią. Za chwilę zaczną skrzypieć pompy.

Dlaczego Puahe gapi się na wodę? Dlaczego jest taki podniecony? Krzyczy coś do Bruce'a. Marlowe wstał. Na pokładzie „Lamparta” wybuchło zamieszanie, krzyki, wrzawa. Ludzie biegali z latarniami to tu, to tam.

— Co się stało?

Bruce nie słyszał. Wyteżył wzrok, żeby dojrzeć to, co widział Puahe.

— Widzieć, Biruti!

Kocie oczy Kanaka wypatrzyły na wodzie coś ruchomego, coś, co płynęło odważnie ku „Hiszpańskiemu Grandowi”. Z piersi Bruce'a wyrwał się wielki krzyk. Zobaczył. Białe ramię przecinało wodę, podnosiło się i opadało. Śmiała głowa sunęła po morskich falach.

## II

— Po co wylazłaś na pokład? — zapytał Karolę Ridley. — Wracaj na dół, głupia dziewczyno! Szkoda narażać twoją urodę na takie ryzyko.

Zaśmiała się.

— Tu bitwa, a ja bym miała siedzieć jak mysz pod miotłą! Jeszcze czego!

— To zostań.

Bo czemu nie? Bruce przestanie strzelać, widząc, że na pokładzie jest kobieta. Ridley krzyknął na sternika, bo chciał posłać „Grandowi” nowy pocisk. Pochylił się nad działkiem, ukrytym chytrze na dziobie statku. Karola stała nad nim.

— Trafiłeś?

— Najmniej ze dwa razy. Jednego pocisku nie jestem pewny, ale tamte trafiły tam, gdzie chciałem.

Spojrzał na nią ciekawie.

— Po co tu stoisz? Chcesz zobaczyć, jak ich pozabijam?

Odeszła, bojąc się, żeby nie dostrzegł bladości jej policzków i spazmatycznego drżenia ust.

Zachodzące słońce zetknęło się z morzem. Karola odwróciła oczy od ostrych czarnych cieni na pokładzie. Była straszliwie wzburzona. Teraz dopiero uprzytomniła sobie, jak rozpaczliwie liczyła na przybycie „Hiszpańskiego Granda”.

Widziała go, widziała Bruce’a i Marlowe’a o kilkaset kroków, ale wiedziała, że wobec działka Ridley’a są bezsilni. To było okropne...

W trakcie szamotania się z Ridley’em przekonała się, że wobec jego brutalnej, zwierzęcej siły, planowanie obrony nie ma żadnego sensu. Na myśl, co może się stać do rana, wstrząsnęły ją zimne dreszcze strachu. Ridley przestanie się obawiać pościgu. Będzie miał spokojną głowę. Popatrzyła na potężne bary. na zuchwiałą głowę. Odczuwała w jakiś dziwny sposób, że w stosunku tego człowieka do niej zaszła subtelna zmiana. Zaczęło się to od chwili, gdy wspomniała o Fanchon. Przedtem powodowała nim tylko zmysłowa zachcianka. Teraz doszło coś więcej. Gdy ją odrzucał od siebie, pochwyciła w jego zwięzionych źrenicach ostre błyski. Co to mogło znaczyć? Czy to co mu powiedziała tak go poruszyło?

Oparła się o poręcz na rufie i patrzyła na smugę gładkiej wody, sunącą za statkiem.

Słońce zaszło. Niebawem zielono-granatowa woda stanie się czarna. Podskoczyła wysoka fala i piana obryzgała jej ręce. Niebawem będzie za ciemno by strzelać. Walka skończona. Jeżeli „Hiszpańskiemu Grandowi” dobrze się dostało, to w nocy odpłynie.

— I amen — powiedziała Karola na głos. — I amen.

Dla niej amen wybiłoby przed ranem. Co to mówił Marlowe, że kobiety za nadto przejmują się swoimi ciałami?

Ale czy on rozumie duszę kobiety? Kobieta nie może nie dbać o losy swego ciała. Karola za długo żyła wśród Kanaków, żeby nie wiedzieć do czego zdolni są mężczyźni. Och! Boże! ukryła twarz w dłoniach.

Lepsza śmierć niż Ridley.

Spojrzała na ciemną wodę. Co też to za uczucie — tonąć? Słyszała jak Jim Flinders opowiadał, że chciał się raz utopić — i nie mógł, bo ręce i nogi same

pracowały. Nie mógł przestać płynąć.

„Hiszpański Grand” stał na morzu o jakieś pół mili na zachód.

— Ostatnia sposobność — myślała Karola.

Mając do wyboru Ridley’a, lub morską głębinę, wołała wybrać morze.

Rozejrzała się ostrożnie naokoło. Ridley był prawie niewidoczny. Na dziobie opatrywał sobie rękę. W pobliżu nie było też żadnego Kanaka.

Teraz dobra pora, zanim „Grand” oddali się w ciemność. Karola splunęła na rękę i przełożyła nogę przez burtę. Przez moment wisiała między niebem i morzem, wreszcie spadła.

Przenikliwy chłód wody przywrócił jej trzeźwość umysłu. Rozwiały się obawy i przeczucia. Pozostał tylko cel do spełnienia: dobić do „Granda”, nim Ridley zarządzi pogoń. Tylko patrzeć, jak spostrzeże, co się stało. Może już ją zobaczył, bo jeszcze zupełnie się nie ściemniło. Wypluwała słoną wodę i płynęła na zmianę to żabką, to crawlmem; to crawlmem, to żabką.

Przeprawa była cięższa, niż myślała. A może to tylko ciemność ścisła serce przerażeniem? Z grzbietu każdej następnej fali gwiazdy wydawały się jaśniejsze. Ręce ją zabolowały. Przez chwilę leżała na plecach, ruszając nogami w obawie przed skurczem. Ubranie, które początkowo ułatwiało utrzymywanie się na powierzchni, teraz gdy przesiąkło wodą, oblepiało ciało, pętało nogi, hamowało ruchy. Rozróżniała niewyraźnie mroczne zarysy „Hiszpańskiego Granda”. A! jest światło! To dobrze! To dobrze... Teraz będzie miała wyraźny cel.

Obejrzała się na „Lamparta”.

Światła, dużo rozbieganych świateł. Wiatr wiał od „Lamparta”, więc słyszała wrzaski i gniewne rozkazy Ridley’a. Przypuszczała, że jest mniej więcej w połowie odległości między statkami. Czy zdąży na „Granda”? Ridley tam już spuszcza pewnie szalupę, żeby ją gonić.

Nagła myśl przeraziła biedną dziewczynę.

— O! Boże! — pomodliła się na głos. — Zlituj się i nie dopuść do mnie rekinów!

Ujrzała w wyobraźni biały brzuch potwornej ryby i na moment straciła niemal władzę w rękach i nogach. Z wielkim wysiłkiem, odgoniwszy straszne przywidzenie, parła dalej. „Hiszpański Grand” najwyraźniej rośnie. Już niedługo, już niedługo! Ramiona pracują coraz wolniej. Mokre szmaty ciągną w głąb. Ale nie ma czasu, aby stanąć i rozerwać zapięcia. Niemożliwe!

— Karola!

Ktoś krzyczy. Ale z której strony dolatuje głos? Zza niej, czy od przodu?

Znużone ciało traci lekkość. Już nie unosi się na powierzchni jak korek. Ramiona słabną. Coraz wolniej przecinają nieskończony

TLR

obszar falującego morza. Karola spostrzega, że przestaje płynąć i tylko trzepie się na wodzie, w rozpaczliwym wysiłku utrzymania się na powierzchni.

— Karola!

Głos od przodu! Odpowiedziała słabym krzykiem. Ktoś śpieszy na ratunek. Albo Bruce albo Marlowe albo — nie, Fairless nie. Wyteńczyła odważnie resztę sił, resztę tchu. Krzyczała, żeby ratownik wiedział, w którą stronę się kierować.

— Tutaj! Ahoy! Ahoy!

Wydostała się na grzbiet następnej fali.

— Karola!

Głos z prawej strony. Marlowe! On! Jego głos! W trwodze, żeby jej nie przeoczył, tchnęła w ostatni krzyk wszystkie siły.

— Ahoy!

— Płynę.

Usłyszała w ciemnościach plusk wody. Płynął do niej. W ucho wpadły słowa:

— Odwagi, mała! Nic ci nie będzie. Łap mnie za pas i płyn jak sto diabłów!

Uchwyciła się na oślep skórzanego pasa. Zdrętwiałe nogi poszły posłusznie w ruch. Czarna sylwetka statku wyłaniała się z mroku nocy w coraz to większych rozmiarach. Niebo rozmigotało się na dobre zimnym przepychem gwiazd. Karola obejrzała się trwożnie na „Lamparta”. Czy Ridley domyślił się, że celem jej ucieczki był „Grand”? A może myśli, że popełniła samobójstwo, by się ratować przed jego napastliwością?

Marlowe parł naprzód, rozcinając wodę potężnymi ramionami. Puahe zawołał na niego z pokładu. Spuszczona lina mlasnęła o burtę.

— Możesz się wciągnąć, Karola?

Zacisnęła ręce na linie i wdrapała się na górę. Jakaś ręka pochwyciła ją za ramię. Chciała powiedzieć głupio: „Uważaj, oberwiesz mi rękaw”, lecz usta odmówiły posłuszeństwa. Podsadzili ją na burtę. Poczowała, że Bruce opasuje ją ramieniem, usłyszała jego głos: „Dzielna mała!” Marlowe wciągnął za sobą linę. Przyjaciele rozmawiali szybko, ale Karola nie chwyciła z tej rozmowy ani słowa. Była jak nieprzytomna. Jedno słowo: „północ” przeniknęło do jej świadomości. Padła bezsilna w ramiona Marlowe’a.

— Ledwie żyje — powiedział Bruce. — No, nie dziwię się. Patrz, „Lampart” spuścił szalupę. Czy też Ridley domyślił się, co ona zrobiła?

— Trudno powiedzieć. Ale szalupą nie podpłyną za blisko, choć ciemno. Popłyniemy na północ i zgubimy „Lamparta”. Nie jesteśmy zdolni do walki. Sądzę,

że Ridley będzie przez jakiś czas szukał Karoli, i da spokój. Za nami nie pogoni. Nie będzie chciał tracić czasu. Wie, że pociągniemy za nim na Les Aves. Tam będzie na nas czekał, przekonasz się.

— Nie lepiej byłoby płynąć na Degas?

— Hm! Nie to. Myślisz, że pozwolę mu tymczasem umknąć z ambrą? Kto steruje? Ja zluzuję Kahivę. Jemu każ iść do pomp.

— Mnie oddaj ster — rzekł nagle Bruce. — Jesteś mokry. Idź się przebrać.

Ale Marlowe trzymał równie mokrą dziewczynę w objęciach.

— Nie dotkniesz jej — powiedział.

Popatrzyli na siebie w blasku rozbujaanej latarni.

— A ciebie co ukąsiło? — zapytał Bruce. — Oddaj mi ją!

— Nie oddam.

Na wrogi ton głosu przyjaciela twarz Bruce'a pociemniała.

— Dlaczego?

— Precz! — warknął Marlowe. — Ręce z daleka.

— Co w ciebie wstąpiło?

— Nie dotkniesz jej.

Przepchnął się obok Bruce'a z Karolą w ramionach. W kambuzie palił się ogień. Posadził ją wśród garnków i patelni. Przyniósł brunatną derkę i zawiesił przy ogniu, żeby się ogrzała. Czule i niezręcznie rozebrał dziewczynę z mokrych szmat, owinął w derkę i wziął na kolana. Zmusił, żeby się napiła gorącej kawy. Łykała pracowicie i zaraz jej twarz zaróżowiła się.

— Co to za hałas — zapytała z wysiłkiem.

— Pompy — odparł krótko. — Jeszcze się napij. Ciepłej ci teraz?

— Tak. Więc on — więc Ridley dobrze celował?

— Trafił dwa razy. Pompy będą pracować dzień i noc póki nie przybijemy do portu. Może jutro uda mi się prowizorycznie załatać dziury. Teraz nie pora. Zostało nam tylko dwóch Kanaków.

Karolę ogarnęła senność. Była to naturalna reakcja po niebezpieczeństwach ostatniej godziny.

Zamknęła oczy i otworzyła szybko, gdy kubek dotknął jej ust.

— Miałaś ciężkie godziny z Ridley'em?

— O, tak.

— Skąd ci przyszło do głowy uciekać wplaw?

— Bałam się go. Gdybym nie uciekła... bałam się, że będzie za późno.

Marlowe skinął głową.

— Więc — więc nie zrobił ci krzywdy?

— Nie.

Widział, że Karola z trudem dobywa głosu.

— Zaniosę cię do koi Fairlessa. Nie, jemu biednemu już niepotrzebna. Jutro ci powiem. Co ci jest? Co tak drżysz?

Karola uczepiła się go, dygocząc febrycznie.

— Nie możesz zostać? Nie chcę być sama.

— Muszę iść. Przyślę Bruce'a, to posiedzi przy tobie.

— Nie — sprzeciwiła się gwałtownie. — Nie!

Mocniej objął strwożoną.

— Nie, nie. Nie chcesz, to nie. Ale i ja zmókłem. Muszę się przebrać. Uśniesz, mała.

Wstał, ściślej otulił derką swój senny ciężar i zaniósł na koję Fairlessa. Nim zdążył obłożyć ją derkami, już spała. Chwilę stał wpatrzony w zarumienioną buzię, wracając myślą do tego momentu trwogi i rozpacz, gdy mu się zdawało, że nie zdąży jej wydrzeć zachłannemu morzu.

Karola poruszyła się niespokojnie i wyszarpnęła rękę na wierzch. Pochylił się, przyciskając usta do atlasowego ramienia. Urok uśpionej dziewczyny, takiej pięknej i bezbronnej, przykuwał go do miejsca. Nakrył troskliwie obnażoną rączkę. Co teraz zrobi Bruce? Czy on, Marlowe, uratował ją przed Ridley'em i od utonięcia po to, żeby wpadła w te skalane ręce? Chociaż, jeżeli Bruce ją kocha...

Miłość, ten okrutny, słodki ból, który szarpie mu serce cienkimi, dokuczliwymi palcami — jakie spustoszenia wywoła w życiu ich trojga?

## ROZDZIAŁ XV

### I

Pompy pracowały całą noc. Czterej ludzie harowali przy nich na zmianę. Jakoś przed północą światła „Lamparta” rozpląnęły się w ciemnościach. Marlowe



spuścił pływające kotwie. Nie było sensu płynąć, nie znając stopnia uszkodzeń.

Pracowali w milczeniu, tylko od czasu do czasu któryś biały rzucił Kanakom krótkie słowo rozkazu. Nużąca noc upływała powoli. Wiatr chłodził utrudzone ciała. Zimne gwiazdy mrugały obojętnie, emanował martwością Węglowy Wór, obszerna otchłań nieba, którą Kanakowie zowią siedzibą siedmiu wiatrów. Ósmy wiatr, północny, nie ma stałego miejsca pobytu, lecz ciągle hula po świecie.

Nocy ubywało. Oczy załogi poczęły nieświadomie szukać wśród szarzejących ciemności widnokregu. Powolny świt wysysał gęstwę mroku z morza i nieba. Na pokładzie zaznaczyły się blade cienie. Wiatr zawiewał od wschodu. Marlowe zaklął, zadowolony.

— Dobry znak — oznajmił. — Wiatr dmucha tak jak powinien o wschodzie słońca. O, Boże! Ależ jestem zmęczony.

Wyciągnął ręce nad głową. W przerwach między pracą przy pompach, zasypiał na jakiś czas, na tyle, żeby po prostu wytrzymać. Obecnie trudzili się przy pompach Bruce z Kahivą. Ramiona ich podnosiły się i opadały jak naoliwione części maszynerii.

Rozbłysły pierwsze promienie słońca. Ranek był jasny, błękitny, wróżący piękną pogodę.

— Dobrze, że nie ma mgły — odsapnął na chwilę Bruce. — Kahiva, twoja przestać. Twoja zaraz iść znaleźć jedna dwa dziura pod morzem.

Kahiva skinął głową. Wypluł czerwoną miazgę betelu i nachylił się do skoku w zieloną toń. O rekinach nie myślał. Tamci, przechyleni przez burzę, obserwowali trwożliwie, jak nurkował i wynurzał się, czepiając się liny, żeby nabrać tchu. Po dwunastu minutach wrócił na pokład, ciężko zadyszany.

— Moja znaleźć jedna dwa dziura — meldował z zadowoleniem.

— Jedna ona dziura w brzuch co być „Spanita Granta” jedna ona w burta.

Mokrym palcem narysował na pokładzie owe dziury, pokazując ich kształt i wielkość. Marlowe zaklął.

— Źle, cholera!

Bruce przytaknął skinieniem głowy.

— Zejdę i zobaczę. Może uda się jako tako załatać. Tak niesposób żeglować.

— Pójdę z tobą.

Zeszli na dół wołając, żeby Puahe poszukał materiałów niezbędnych do naprawy. W ładowni panował smolny zaduch. Po chwili dźwięk pracującej piły mieszał się z miarowym stukaniem pomp, a uderzenia młota niosły się po pokładzie głuchym echem.

Hałas obudził Karolę. Przez chwilę leżała nieruchomo. Rozpierzchłe myśli scalały się w jeden obraz. Co się stało? Pamięć wracała leniwie. Palce przesuwały się po derce. Strach. — Ridley — skok w morze

— Marlowe — głos Bruce'a! Karola usiadła. Rozejrzała się po kątach. Po chwili wstała i poszła do kambuza. Tu przed dogasającym ogniem leżało jej ubranie, suche, chrzęszczące od soli. Strzepnęła zgniecioną koszulę i włożyła na siebie. Spodnie były sztywne jak merla, a skórzany pas nie dawał się zapiąć.

Musiała poprzestać na szelkach. Ciężko się suszy przy ogniu szmaty prześlaknięte wodą morską.

Ogarnęła się jako tako w kajucie, po czym wróciła do kambuza. Nie ustawał irytujący stukot pomp i dochodzący z ładowni huk młota. Karola dorzuciła dREW do ognia, nastawiła garnek z kawą i poszukała żywności. Mąki było dużo. Zakrzętała się koło kanackiego placka. Następnie wyrzuciła na poobijaną patelnię zawartość puszki z wieprzowiną i fasolą i połowę puszki z pomidorami. Zapach gorącej kawy i smażącego się mięsa mieszał się z wonią smoły.

Marlowe przyszedłszy po klucz francuski przetarł oczy na widok skrzętnej gosposi.

— Smacznie pachnie — rzekł. — A ja mam cholerny apetyt. Daj mi jedną porcję, Karola. Bruce przyjdzie po swoją za minutę.

— Co robicie? — zapytała.

Nałożyła mu na talerz i poszła za nim do kajuty z garnkiem kawy.

— Naprawiamy statek. Jedna dziura załatana. Za to druga — na samym dnie — nie sposób się do niej dostać. W porcie wyciągnie się statek na brzeg. Gdyby morze było odrobinę spokojniejsze, byłby nas Ridley zatopił. Mówię ci szczerą prawdę. Jeżeli zdołamy dociągnąć do Les Aves, to tylko z Boską pomocą. Trzeba będzie pompować bez przerwy.

Posiłał się z pośpiechem.

Po chwili Karola zapytała:

— Jak to było z Fairlessem? Wiem, że Ridley go zabił. Czy strzelił?

Spojrzał na nią przenikliwie.

— Nie. Doszło do walki między statkami. Musisz o tym wiedzieć. Mnie wtedy nie było. Całą noc obijałem się po morzu w szalupie razem z Kahivą. Gdy mgła się przetarła, zobaczyliśmy „Hiszpańskiego Granda”. Bruce był bliski obłędu.

— A Fairless?

— Dogorywał. Ridley dźgnął go zatrutym krisem. Więcej nie pytaj. Nie dla kobiecych uszu taka opowieść. Daj no jeszcze kawy.

Wypił i wstał ocierając usta wierzchem poplamionej smołą ręki.

— Przyślę Bruce'a — powiedział. — Czy wystarczy i dla ciebie? Smaż ile chcesz. Mamy dużo zapasów.

Gdy wyszedł, sprzątnęła talerz i kubek. Zadudniały kroki Bruce'a, a w niej serce zamarło. Nie! nie boi się! Jeszcze czego. Zadarła głowę i weszła niosąc śniadanie w silnych, małych rękach. Bruce usiadł na skrzyni, w tym miejscu co Marlowe. Postawiła przed nim dymiący talerz. Podziękował krótko i zaczął jeść ze spuszczonej oczami. Był brudny i umazany smołą. Na czole i na karku świeciły krople potu. Powieki miał czerwone z bezsenności.

Karola stała i patrzyła.

— A gdzie twoje śniadanie? — zapytał znienacka.

— Później zjem.

Nie podnosząc oczu, rzucił drugie pytanie:

— Wypoczęłaś?

— Tak.

Rozmowa się nie kleiła. Bruce myślał:

— Co Ridley z nią wyprawiał! Czy ją skrzywdził? Bo jeżeli skrzywdził, to...

Głośno rzekł:

— Jeszcze kawy. Muszę iść.

Karola nalewając kawę stanęła za nim. Czuł, że uważała, aby go nie dotknąć.

— Marlowe mówi, że statek niebezpiecznie podziurawiony.

— A tak. Nie daj Boże sztormu, bo poszlibyśmy na dno.

Karola odstawiła garnek z kawą, i zamierzała odejść.

— Karola!

— Co takiego?

Chciał powiedzieć:

— Kocham cię. Co tam Fanchon! Głupi byłem i teraz żałuję. Może nam sądzony prędko umrzeć. Statek przecieka. Kto wie, czy zdążymy na Les Aves. Nie traćmy cennego czasu. Kto wie, jak długo pożyjemy.

Otworzył usta. Lecz słowa nie chciały przejść przez gardło. Kusilo go, by padłszy na kolana błagać ją o przebaczenie, i nie mógł.

— Karola!

Odwróciła się. Oczy miała wrogie. Głos zabrzmiał wrogą nutą.

— Co?

— Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytał.

— Patrzę tak, jak mi się podoba — odpaliła.

A jemu przemknęło przez myśl:

— Obrażona o Fanchon. Mój Boże! Cóż ja jej powiem.

Chrząknął i zapytał:

— Na „Lamparcie” miałaś piekło, co?

— Pewnie, że nie niebo. Ridley — Świnia. Ale od początku mieliśmy pecha. Ja i Marlowe. Śmierć kołowała nad nami bez przerwy. Ta okropna wyspa! Ta mgła, a potem spotkanie z „Lampartem”. Nie wiodło się i już. Straciliśmy ambre. „Helena” poszła na dno. Teraz „Grand” podziurawiony. Fairless nie żyje. I z czyjej winy te wszystkie nieszczęścia? Z twojej, tylko z twojej!

Bruce zerwał się wzburzony i rozgniewany.

— Wypraszam sobie uwagi. Gdyby Marlowe na mnie czekał...

— Z jakiej racji miał czekać? Dlaczego miał psuć dobrą okazję dla twojego kaprysu? Czekać! Ładnie ja bym wyglądała, gdyby czekał.

— Po co jąrzyć stare rany? Przepadło.

— Ale zapomnieć nie można. Gdybyś był z nami, może by się wszystko inaczej ułożyło.

— Myślisz, że ja zdołałbym zapobiec mgłę? Daj spokój. Nie ma o czym gadać. Żadne słowa na świecie nie odwrócą tego, co się stało.

— Gdybyś nie został na Les Aves z...

— Milcz!

— Z Fanchon...

— Ani słowa więcej...

— Akurat. Teraz to ci wstyd, może nie? Czekaliśmy na ciebie

— czekaliśmy w ciemnościach — i nie przyszedłeś.

Pochwyił ją za ramiona. Szarpnęła się zuchwale. Nagle wydał jej się obcy. Czy to Bruce? Czy to ten, który zapełniał jej myśli i marzenia?

— Puść mnie! — krzyczała rozgniewana.

— Jesteś zazdrosna. Chodziło mi o Hacketta — o ciebie... Chciałem wydobyć z niej prawdę.

— Naturalnie — powiedziała.

— O to mi chodziło. Wiedziałem, że Ridley kazał, aby po mnie posłała, ale przypuszczałem...

— Nie Ridley.

— Jak to?

— Ridley był przekonany, że jesteś na „Helenie”. Nie mógł zrozumieć, w jakim celu „Hiszpański Grand” ściągnął w okolicę Paiku. Ale potem odgadł,

dlaczego zostałeś na Les Aves. Myślałam, że się wścieknie.

— Dlaczego?

— Z zazdrości o Fanchon. Tak mi się zdaje.

— No, ale on — oni... Czemu po mnie przysłała, jeżeli jej nie kazał?

— Pewnie — wpadłeś jej w oko.

— Jesteś zazdrosna — powtórzył.

— Nie bredziłybyś! — zaperzyła się. — Dość mam twoich wykrętów. Nie potrzebujesz powtarzać wszystkiego od początku. Co kogo obchodzą twoje pobudki? Chciałeś iść. Ciągnęło cię do niej. Chciałeś...

— Karola — wyrzucił zdławionym głosem — dajże raz spokój. Byłem szalony, byłem ślepy, jak tam zresztą chcesz. Ona — z nią skończone. Nie chcę o niej więcej myśleć. Dla mnie tylko ty... Zawsze byłaś tylko ty. Nie możesz mi przebaczyć? Nie możesz zapomnieć? Ostatecznie prawie każdy mężczyzna miewa — miewa przygody.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Ciągnął z wysiłkiem:

— Cóż ja mogę powiedzieć? Jakże ci to wytłumaczę? Ona się nie liczy. Ty to wyolbrzymiasz. Słuchaj, dziewczyno. Ja cię kocham — ja cię kocham...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

— Ty śmiesz mi mówić o miłości? Ty?

— Dlaczego nie?

— Co mi po tobie? — wybuchnęła. Fanchon? Phi! Wszystko mi jedno, co robisz. Jesteś taki jak inni, co przyjeżdżają na Les Aves. Fanchon podniesie kieckę — jeden z drugim gotów rzucić wszystko. Ona cię opętała, Bruce!

— Opętała!

— Tak. Myślisz, że przyjmę to, z czym ona skończyła? Czy myślisz, że zgodziłabym się dzielić z nią mężczyznę? Bo ty wrócisz do niej.

— Nigdy.

— Wrócisz, wrócisz! — wołała z uniesieniem. — Z początku zdawało mi się, że mi na tobie zależy. Pamiętasz: pocałowałeś mnie wtedy po powrocie z Degas? Wtedy się zaczęło. Dużo o tobie myślałam... Kiedy poszedłeś do Fanchon, a my czekaliśmy na ciebie i nie przyszedłeś, coś się we mnie załamało... Już tego nie naprawisz,

Puścił ją i stał, patrząc na smugę słoneczną, która przez trap padała na podłogę.

Tak, zmarnował swoje szczęście. Podkochiwała się w nim dziewczyna, a on zlekceważył jej miłość, poświęcił dla chwilowego szału. Żal nie zda się na nic. Teraz widzi, że nie zazdrość ją zmroziła.

Pogarda?

Sam nie wiedział, jak podszedł do niej, ogarnął ramionami szczupłą kibić. Gorące, błagalne słowa sypały mu się z ust. On tylko ją chciał, tylko ją. Teraz to widzi poniewczasie. Powinna się zlitować. Czemu patrzy tak srogo i nieubłaganie? Czemu nie odda mu serca?

Przerwała ostro te żalosne wylewy:

— Na nic.

Ton był tak stanowczy, tak ostateczny, że Bruce cofnął się. Ręce mu opadły.

— Mówisz z przekonaniem?

— Tak!

Poszła ku drzwiom i odwróciła się.

— Wróc do Fanchon — rzuciła znikając.

Zaklął. Gdzie Fanchon do Karoli? Tamta to przelotna przygoda, skazana na zapomnienie. W sercu jego wezbrało gwałtowne postanowienie zadania kłamu przepowiedni Karoli. Tak, dowiedzie jej, że Fanchon przestała dla niego istnieć, że wyrzucił ją z pamięci tak całkowicie, jakby jej nigdy nie widział.

Skierował się ku drzwiom, za którymi zniknęła Karola. Musi jej powiedzieć.

Musi jej powiedzieć — wyjaśnić...

Powinna zrozumieć, że już o Fanchon zapomniał, że nie wróci do niej, że jej uroda go nie ciągnie, że — że...

Wpadł jakby w ślepią uliczkę życia... Ciągnęło go jednak w dwie strony, i do tej i do tamtej. Ta zapanowała nad jego sercem i zmysłami tamta — tylko nad zmysłami...

Marlowe wołał na niego nagląco z wnętrza statku. Odpowiedział mrukliwie i poszedł do kompana. Kochał Karolę całą mocą uczciwej miłości, do jakiej był zdolny. Wiedziało, że w jej wzajemności znalazłby spokój i głębokie ukojenie. Zamknął oczy z westchnieniem rozpaczy i natychmiast ukazała mu się Fanchon, piękna urokiem, o którym wiedział, że mu nie spowszednieje do końca życia.

## II

W końcu naprawili prowizorycznie „Hiszpańskiego Granda” i pożeglowali. Zmieniali się co dwie godziny. Dwóch pracowało przy pompach, jeden sterował, czwarty szedł spać, a gdy się obudził, już Karola czekała z posiłkiem. Rozmawiali

niewiele. Znużone oczy domagały się snu, snu, snu... Skrzywienie pomp rozstrajało nerwy, ale że nawet chwilowa przerwa w ich pracy powodowała szybkie podnoszenie się poziomu wody, więc bali się pofolgować. Słońce zaszło i wzeszło. Po jasności dnia następowała ciemność, a potem znów jasność, zupełnie jakby się posuwali po szachownicy czasu. Wszelkie wzruszenia i pragnienia skupiły się w jednym namiętym wysiłku uratowania statku i przybicia do Les Aves.

Karola, spragniona snu, ledwie się ruszała. Prosiła, żeby i ona mogła pracować przy pompach, ale Marlowe odmówił kategorycznie.

— Myślisz, że dorównasz mężczyźnie, głupia kozo?!

Wrzeszczeli na siebie, kłócili się zajadle, podczas gdy Bruce stojąc z boku, udawał głuchego. Miotającą się dziewczynę Marlowe wziął za ramiona i popchnął do kambuza.

— Twoje miejsce jest tutaj! — ryknął. — Pilnuj, żeby w każdej chwili było gotowe żarcie i gorąca kawa, bo inaczej użyję powroza.

Wyszedł, a ona aż tupiała ze złości. Zabrała się jednak do prac kuchennych.

Wiatr dopisywał i „Hiszpański Grand” zmierzał wytrwale do celu. Po drodze okrzyknął „Juliao”; dziwaczny transportowiec, należący do Portugalczyka o brzmiącym z angielska nazwisku Sam Brown.

„Juliao” wiozła koprę i macicę perłową z burzliwych wysp Cyrusa na Ruhię.

— Myślisz, że Sam zgodziłby się nas holować?

— Nie. Płynie w inną stronę.

— Zapłacilibyśmy.

— Nie znasz Sama. On nigdy nie zmienia kursu, bo uważa, że kto zmienia kurs, ten nie wraca. Przesądny głupiec.

„Juliao” oddalała się na wschód, lawirując przy niepomyślnym wietrze.

Pod wieczór wiatr zaczął kaprysić. „Hiszpański Grand” miotał się jak nerwowa kobieta. Niebo na zachodzie spłonęło świetlistą, żółtą smugą i słońce zaszło za niskim wałem posepnych chmur. Marlowe przesłoniwszy oczy dłonią, długo patrzył na znikającą gwiazdę dzienną. Nie potrzebował wyrażać swoich obaw na głos. Dla wszystkich było oczywiste, że zanoszą się na niepogodę i wicher. Czy uda się dobić niesprawnym statkiem do bezpiecznego portu?

Do północy wiatr dał porywiście coraz to z innej strony. Tej nocy nikt nie zmrużył oka. Statek szarpał się jak koń, któremu wędzidło kaleczy pysk. Później wiatr wykręcił się na dobre od południo-wschodu i nabrał siły. Marlowe ustawił „Hiszpańskiego Granda” prosto do wiatru. Kahiva i Puahe pracowali przy pom-

pach, ale zaczęli już omdlewać. A nuż zbuntują się i odstąpią od pomp? Cóż, znajdzie się na nich sposób.

Statek chwiał się pod naporem wichury, kładąc się niemal na burty. Wysokie fale przelewały się przez pokład. Bruce zatrzasnął luki.

Przez ryk wichury przebijało głucho dudnienie; to fale rozbijały się o rafy. Marlowe milczał. Domyślał się, że ich zniosło z kursu na atole z grupy Waitoiki. Niejeden dobry statek nadział się tutaj na ostre koralowe rafy i zginął powolną agonią.

— Z daleka, z daleka od atolu — ostrzegał Marlowe, męcząc się przy sterze. — Musimy dobić do Les Aves — musimy — musimy.

Kahiva szlochał bezsilnie. Dwa razy fale, przelewające się przez pokład, zwały go z nóg. Bał się ciemności, ryku wichury i zdradliwych fal.

— O, Biruti, twoja zatrzymać — zatrzymać — wszystko odpocząć — odpocząć.

— Twoja pracować jak wszystka diabeł — ryknął Bruce. — Pracować — pracować twoja dobra chłopiec Kahiva dostać wołowina.

— Moja nie chcieć — zaskomlił Kanak.

Bruce podszedł i kopnął go aż jęknęło.

— Twoja wyć jak sam diabeł. Czeka, będziesz ty jeszcze śpiewał. Twoja pompować — pompować. Rozumieć?

Zawrócił niezgrabnie po śliskim pokładzie.

Marlowe wrzasnął od steru:

— Myślałem, że już po nas. Słyszysz łomot na rafach?

— Tak, ale oddalamy się.

„Hiszpański Grand” ni z tego, ni z owego stanął dęba. Dziób podniósł się wysoko i opadł w bruzdę między falami z takim rozmachem, że prawa burta musnęła wodę. Bałwany wysokie jak góry ciskały statkiem z boku na bok, jakby urągając jego kruchości i ranom. Ludzie czepiali się czego się dało, uprzedzając wściekle ataki. Nędzna łupina prostowała się powoli, chwiejnie, jak pijana dziewczka. Nad zgiełk sztormu wybijał się głos Marlowe’a.

Bruce wiedział, co się stało. Marlowe wpadł w szal. Wrzeszczał, wył, kłął ochryplym głosem. Wyrazy hiszpańskie, holenderskie, angielskie niosły się z podmuchami sztormu. „Hiszpański Grand” stał się dla Marlowe’a, narowistym żywym stworzeniem, które należało ujarzmić. Świat zawęził mu się do walki ze statkiem. Sztorm i morze przestawały mieć znaczenie. Całkowitą uwagę skupił na statku, który ciskał się pod jego rękami jak prawdziwe zwierzę. Musiał go poko-



nać, zwyciężyć, w razie potrzeby rozbić, byle zadość się stało jego woli. Wściekłość użyczyła jego rękom nadzwyczajnej zręczności. „Grand” posuwał się powoli. Kanakowie, zastraszeni postawą Marlowe’a, zaprzestali szemrania. Bruce stanął znów przy pompach.

— Może o świcie się uspokoi. — pomyślał.

Czy, gdyby Fairless nie umarł, zaznaliby tylu niepowodzeń? Przypomniał sobie niesamowite opowieści o statkach, których właściciele umarli w drodze. Gdy Sama Datcheta zastrzelono na pokładzie, „Szalona” zatonała, nie dobiwszy do portu. Albo Winter z „Pierwiosnka”. W trakcie podróży, podczas upału, zapił się w swojej kajucie na śmierć; jeszcze tego samego dnia „Pierwiosnek” wpadł na ukrytą rafę i poszedł na dno.

Wichura wzmagała się. Rozszalałe fale groziły zalaniem statku. Bruce ściągnął Kahivę do pomp. Sam wyjął składany nóż, otworzył go zgrabiętymi palcami i zaczekał na chwilowe uciszenie. Wtedy rzucił się jak szalony ciąć po ciemku szoty. To była ostatnia nadzieja ratunku. Gorąca krew ściekała mu po palcach. Słona woda oślepiała. Gdzie się obrócił, ścierał się z wiatrem. Wściekłe podmuchy wywiały z oszołomionej głowy wszelkie strzępy myśli. Ridley, Marlowe, Karola — przestali istnieć. Tak, jak Marlowe przestał być człowiekiem, zamienił się w samą wolę. Postanowił, że statek przetrzyma noc i to postanowienie było w tej chwili całym jego światem. Reszta rozwiała się w nicość. Oparł się plecami o maszt, obejmując grubą słup skrwawionymi rękami. Przynajmniej coś stałego, coś niewzruszonego...

Straszliwa siła sztormu zaczęła słabnąć. Okropna noc ustępowała przed bladym, burzliwym porankiem. Przed ósmą wiatr wykreślił się od północy. „Hiszpański Grand”, niby ścigany zwierz, przedzierał się pośpiesznie przez falującą pustynię szarej wody. Marlowe’owi przeszedł atak szału. Ustąpił steru Bruce’owi i stanął gapiąc się bezmyślnie na pompy. .

— Co ty? — zapytał Bruce.

Marlowe obudził się jak z ciężkiego snu i popatrzył naokoło przytomnym wzrokiem.

— To był bal, co, bracie? — rzekł potulnie.

— Wiatr słabnie. Jutro rano powinniśmy być na Les Aves.

— Tak.

— Może Ridley umknie nam. Wyprzedził nas, psi syn.

Ale kiedy w dwadzieścia cztery godziny później dobijali do przystani na Les Aves, „Lampart” tam już był. Odbity w zwierciadle spokojnej zatoki, drzemał

leniwie niby rozespany zwierz.

Na wołanie nie dał znaku życia

— Ridley! Ridley! „Lampart”, ahoy!

## ROZDZIAŁ XVI

### I

Ridley opuścił kotwicę i kazał Kanakom wydobyć z ładowni płócienne worki. Trzej Kanakowie z „Heleny”, którzy przypadkiem załadowali ambre na „Lamparta”, czekali z żalonymi minami, co zwycięzca postanowi o ich losach. Ridley przemówił do Hoawy i poczekał, póki jeńców nie zamknięto pod pokładem do czasu kontynuowania podróży. Worki schował do stojącej w kajucie i zamkniętej na klucz skrzyni. Drzwi do kajuty również zamknął na klucz. Skarb był bezpieczny. Lepiej go schować nie mógł. W zwykłych okolicznościach byłby przewiózł chępliwie swoją zdobycz na brzeg. Ale nie miał już na Les Aves przyjaciół, którym mógłby zaufać. Widział w wyobraźni chytrą, drwiącą twarz Van Kloorta. O Fanchon wołał nie myśleć. Czyż go ta para nie zdradziła, nie zatrzymała podstępnie Bruce’a, żeby on, Ridley, został zaatakowany z dwu stron.

Zdrajcy, zdrajcy...

Spuścił się z ponurą twarzą do szalupy, i wiosła jęły rytmicznie pruć błękitną wodę. Ileż razy przybijał do tych brzegów w takie upalne popołudnia! Ale już więcej noga jego tu nie postanie. Skończył z oszustami i kłamcami, którzy wyprowadzili go w pole. Skończył raz na zawsze. Gorycz zalewała mu serce. Jaki też układ zrobili z Bruce’em? Jednakże oszukany Ridley pokrzyżował im plany. Wymknął się z potrzasku. Jeszcze on się będzie z nich śmiał. Powie im prawdę w oczy. Wygarnie Van Kloortowi wszystko. Naturalnie stary grubas uda niewiniątko. Niech tam! Ridley nie dba o skarb. Rezydent będzie otwierał paszczę jak tłusta, czerwona ryba, będzie groził konsekwencjami — niech grozi! Ostatecznie, czy nie wszystko jedno?

Dwaj tubylcy polowali z włóczniami na ryby. Stali na skale niby posągi z brązu w czynnej gotowości. Na plaży szemrały leniwe fale. Szalupa zgrzytnęła o żwir.

Mokre pióra wioseł błysnęły w słońcu.

Ridley wyskoczył. W gardle mu zaschło. Skierował się bezwiednie do Hendry'ego. Kupiec rozpakowywał nową skrzynię z towarem: kolorowymi chusteczkami do nosa, tanimi pachnidłami, olejkami do włosów, haczykami na ryby... Właśnie wyprostował się, ocierając spoconą twarz.

— Proszę podwójną porcję.

Hendry sięgnął po butelkę.

— Jakoś prędko wróciłeś? Podróż była dobra?

— Niezła.

Ridley usiadł okrakiem na krześle. Wychylił szklanekę. Twarz miał wynędzniałą i ściągniętą. Serce zamarło w gospodarzu, ale nie śmiał zapytać ani o „Helenę”, ani o „Hiszpańskiego Granda”. Bał się również wymówić nazwisko Marlowe'a.

— Co słyhać na Waihiti? — zagadnął ostrożnie.

— Cała wyspa wymarła — odparł Ridley. — Co to za czerwone papraństwo w tych butelkach?

— Olejek do włosów.

— Chyba Kanakowie nie potrzebują natłuszczać włosów.

— Toteż oni tego nie używają do włosów — oświadczył uroczyście Hendry.

— Oni to piją.

Ridley tymczasem myślał.

— Czemu on się tak na mnie gapi? Co też może wiedzieć? Waihiti, akurat! Wie facet, że nie byłem na Waihiti.

Rzucił należność na ladę i wyszedł. Na przystani dwa statki, „Mary Jones” i „Nadzieja”, czekały na załadowanie kopry, którą stale wozily. Saunders z „Mary Jones” siedział na pokładzie w cieniu żagla, pośpiewując przy akompaniamencie starego akordeonu, którego dźwięk kłócił się nieprzyjemnie z wysokimi tonami głosu śpiewaka. Ridley stał chwilę i słuchał. Pozazdrościł przelotnie pogody ducha temu zażywnemu prostakowi, którego natura nie pożądała nic więcej prócz wódki, fajki i od czasu do czasu miłosnej przygody. A może to najkrótsza droga do szczęścia?

Szczęścia!...

Ruszył dalej.

— Czyżbym dostał porażenia słonecznego? — przemknęło mu przez głowę.

Skreślił na stromą ścieżkę ku Domowi. Pot zalewał mu twarz. Co za głupota leżeć tu pod górę w południe, w największy upał! Ale czekał, długo czekał na tę

godzinę.

Poza zbitym gąszczem, powietrze wibrowało od żaru słońca. Liście, gałęzie odcinały się tak wyraziście, żywo i ostro, że Ridley'a zaboląły oczy. Przez tyle dni widział tylko morze. Szkarłatny ptak wyrwał mu się spod nóg z gniewnym skrzeczeniem. Wśród zarośli słyhać było ryjącą świnię. Ridley otarł twarz i szedł dalej. Przy zakręcie do domu Fanchon przystanął celem nabrania tchu. Pamiętał, kiedy tam szedł ostatni raz. Pójdzie jeszcze raz i nigdy więcej.

Wszystko się skończy: układ, który łączy ich troje, wspólne interesy, zyski i — miłość! Zobaczy się z nią, powie, że wie o jej zdradzie i na zawsze opuści Les Aves.

Piął się ku Domowi. Wpierw rozprawi się z Van Kloortem. Układał sobie pytania, przygotowywał odpowiedzi. Ale myślami był przy Fanchon. Krył się przed nią ze swoją miłością, oblekał twarz w maskę chmurnej obojętności. Żeby nie wiedziała. Tylko, czy naprawdę nie wie? Znając się na mężczyznach, musiała wyczuć prawdę w jego mrukowości, porywczoci, uciekaniu z oczami. No, teraz już wszystko jedno, wszystko jedno...

Na szczycie wzgórza znów przystanął dla nabrania oddechu. Dom stał w słońcu cichy i biały. Ani śladu życia. Zamknięte okiennice kryją wnętrze. W spokojnym powietrzu wisi mocna, dusząca woń drzew pomarańczowych. Tu nie dochodzą żadne odgłosy morza. Rezydencja wydaje się zakłęta siedzibą z baśni. Ridley wyprostował się i szedł dalej.

Drzwi były otwarte. Wstąpił w chłodny korytarz. Nagły chłód po żarze słońca przyprawił go o dreszcze. Czy to strach? Ale czegoż by się miał bać? Dlaczego? Pchnął drzwi do gabinetu rezydenta. Van Kloort spał z gazetą sprzed miesiąca na twarzy, z rękami splecionymi na tłustym brzuchu. Na stole stała wódka i syfon. Po ilości orkągłych mokrych śladów na stole Ridley poznał, że Van Kloort musiał mieć tego dnia wielkie pragnienie. Wyświechtany tygodnik paryski leżał na podłodze, tak jak się wyślizgnął z palców śpiącego.

— Gubernatorze!

Ciężkie chrapanie urwało się w ziewnięciu. Gazeta sfrunęła na podłogę. Tłusta masa usiadła prosto. Oczy mrugały tęsknie, spragnione snu, który przybysz spłószył nieodwołalnie.

— A co tam?

Przy tych słowach rezydent podniósł głowę. Głos zamarł mu w gardle.

Ridley!

Wiedział, że Ridley stanie kiedyś przed nim z taką twarzą. Śnił mu się taki,

wybijał swoim obrazem ze snu. I stało się. Przyszedł. Rezydent dźwignął się na nogi. Tajemniczy strach dławiał go za gardło.

— A co? — wyjąkał z drzeniem. — Więc wróciłeś? Napijesz się?

— Gubernator nie spodziewał się powrotu?

— Spodzie... o naturalnie, naturalnie. Wody sodowej?

Ręka przybyłego zamknęła się na zwiotczającym przegubie gospodarza.

— Mniejsza z pić. Gubernator nie przeczuwał, że wrócę?

— Dlaczego nie?

— Dlaczego? W żywe oczy mi tak mówisz oszuście? Myślałeś, że mnie zwiedzisz, zdrajco? Nie udało się!

— Nic nie rozumiem — sapał rezydent. — Coś się pokręciło. Wiem, co masz na myśli. Przypuszczasz, że ja z Fanchon...

— Przypuszczam? Nie potrzebuję przypuszczać, bo wiem. To przecież jasne. Gubernator w porozumieniu z Fanchon zatrzymał Bruce'a na wyspie, żeby tamci odpłynęli bez niego.

— Wiedziałem, że mnie o to posądzisz. Ale mylisz się, Ridley. To nie było... myśmy nie... Zbieg okoliczności...

— Mów do lampy, złodzieju!

— Puść mnie. Wyrwiesz mi rękę. Przysięgam, że to prawda. Nie wiedziałem, że on został, póki go nie zobaczyłem u Hendry'ego. To wszystko. Nic nie kombinowałem. W jakim celu miałbym intrygować przeciw tobie? Po co? Ja przecież...

— Milcz, lisie. Same łgarstwa.

— Klnę się na moją duszę, że nie skłamałem. Zapytaj Fanchon. Ona zawiniła. Ale i ona — nie chciała działać przeciwko tobie... Nigdy w życiu nie dbała o nikogo, dopiero teraz trafiła na kogoś... Wiedziałem, co pomyślisz. Wiedziałem, co powiesz. Powiedziałem jej. Gdy się przekonałem, że Bruce został, poszedłem do niej. Prosiłem, żeby go przytrzymała, ale nie chciała się zgodzić.

— Nie chciała? Jak to?

Van Kloort usiłował się wyswobodzić, lecz żelazne palce trzymały go jak w kleszczach.

— Tak, jak mówię. Zakochała się w nim. Z kobietami zawsze tak. Żadnej nie można zaufać. Żadnej — przejrzeć. Prosiłem, błagałem, żeby go zatrzymała. Gdzież tam! Nie chciała słuchać. Słyszałeś coś podobnego. Zakochała się i...

— Nowe łgarstwo. Ona go nie kocha. Nigdy w życiu nie kochała nikogo.

— To idź sam zapytaj! — wrzasnął rezydent. — Wiedziałem, że tak będzie.

Błagałem, żeby go wezwała z powrotem, zatrzymała na wyspie. Fairless przybił tego dnia do portu i zabrali się we dwóch na „Hiszpańskim Grandzie”. Co się stało? Gdzie „Helena”? Byłeś na Paiku? A co się stało z Karolą?

Ridley odepchnął go i nalał sobie trunku. Van Kloort, zebrawszy resztki godności, usiadł w trzcinowym fotelu, masując zaczerwienioną w przegubie rękę.

— Byłeś na Paiku?

— Byłem.

— No, i co?

— Spadła mgła. „Helena” poszła na dno. Staranowaliśmy ją przypadkiem.

— A ambra?

— Gubernator ciekaw'y?

— Chyba mam prawo?

— Nie, przyjacielu. Nie dam się nabrać na żadne roszczenia. Chcecie oboje zerwać ze mną spółkę — zgoda. Wszystko mi jedno. Nie pytam, jak przeprowadziliście to wszystko, ale co wiem, to wiem.

— Podniósł głos. — Gdyby Bruce był na „Helenie”, już by teraz nie żył. Albo błąkałby się w szalupie i też byłbym o niego spokojny. Tak! Byłbym go załatwił... A tak, bydlak żyje i nie ustanie — nie spocznie

— póki... póki... Jak prędko po mnie wyruszyli — on i Fairless?

— Wypłynęli z przystani koło szóstej.

— I gubernator ich nie zatrzymał? Puściłeś ich, tłusty psie? Co im powiedziałeś, gnoju? Jaki targ ubiłeś z nimi? Jeżeli Fanchon zgłupiała i nie chciała posłać po Bruce'a, to czemu nie posłała po Fairlessa? Widziała, co się dzieje. Mogła zatrzymać Fairlessa dzień i noc. Nie chciała mi zostawić za dużo czasu. Czy nie tak? Gdybyś miał za grosz rozumu, zwietrzyłbyś zdradę.

Van Kloort zerwał się wściekły.

— Zamknij kłamliwy pysk. Tu nie było żadnej intrygi. Jeżeli mi nie wierzysz, idź zapytaj Fanchon. Myślisz, że wszyscy są przeciwko tobie. Gdzie ambra? Pytam, gdzie ambra? Mam prawo wiedzieć. Jeżeli — tu z oczu rezydenta strzeliły groźne błyski — jeżeli odgrywasz tę komedię, żeby zagarnąć trzy udziały zamiast jednego...

— Co za głupie przypuszczenie! Czy wracałbym tu, gdybym zamierzał...

— A, tak. Cholera wie, co ty kombinujesz. Po co wróciłeś, jeżeli uważasz, że jesteśmy przeciwko tobie?

— Żeby wszystko wybadać, żeby wyciągnąć z was prawdę, takim czy innym sposobem.

Nie przyznawał się nawet przed sobą, że gdyby nie Fanchon, może byłby nie wrócił. Słowa Karoli rozpełtały w nim burzę namiętności, zazdrości, wściekłości. Musiał ukoić chorą duszę u źródła zła. Spojrzał na Van Kloorta i odwrócił oczy. Łże stary, czy nie łże? Chytry, stary lis, trudno go przejrzeć. Potrafi zmyślać. Kto zgadnie, ile w tej gadaninie kłamstw, a ile żalosnej prawdy? Ale Fanchon nie skłamię, Fanchon powie mu całą prawdę z dumną odwagą, nie licząc się z następstwami. Jednak, czy nie skłamię mówiąc o Brusie? Van Kloort twierdzi, że się w nim zakochała? Kobieta zakochana kłamię jak wszyscy diabli. Czy więc odpowie szczerze, czy przyzna się, jak było? Ale to niemożliwe, że się zakochała w tamtym, niemożliwe...

Wstał.

— Idę do Fanchon. Wyduszę z niej prawdę i przyjdę. Jeżeli kacyku skłamałeś, jeżeli mnie okłamałeś...

— Nie przychodź — zawarczał rezydent. — Nie chcę cię więcej widzieć. Między nami skończone. Precz! Za długo znosiłem twoją arogancję. Nazwałeś mnie kłamcą i oszustem. Jeszcze mi za to zapłacisz.

Był tak blady, że mu nawet usta zbieleły, ale już się nie bał. Łamał prawie wszystkie przykazania. Gardzili nim przyzwoici mężczyźni, a przyzwoite kobiety nie chciały go znać. Kłamał, oszukiwał, bo taka była jego natura. Lecz z Ridley'em, bydlakiem, którego nazywał przyjacielem, zawsze postępował uczciwie. Był to tylko złodziejski honor, ale bądź co bądź honor i tę iskrę człowieczeństwa Van Kloort bardzo u siebie cenił.

Podsunał pięści pod drwiące ślepiea współnika.

— Precz!

Prawa pięść wykonała zamach i trzasnęła Ridley'a w szczękę. Młody człowiek zachwiał się. Odzyskawszy równowagę rzucił się na rezydenta z morderczymi zamiarami. Pierwszy cios powalił Van Kloorta na podłogę. Drugi uciszył jęki, które napełniły pokój. Po nalanej, gniewnej twarzy leżącego, pociekła cienka strużka krwi.

Ridley trzasnął drzwiami.

## II

Biegł przez pomarańczowy ogród, nieprzytomny z wściekłości. Jeżeli Van Kloort powiedział prawdę, to zawiniła Fanchon. Dla kaprysu, dla jakiejś kobiecej

diabelskiej sztuki posłała po Bruce'a, jakkolwiek wiedziała, że Ridley chciał go wyprawić. Dlaczego mu się sprzeciwiła? Dlaczego? Dlaczego? Odpowiedź szumiała mu w głowie, ale wolał nie słuchać. Nie chciało mu się wierzyć, żeby Fanchon pokochała Bruce'a.

W płataninie krzewów na lewo płomieniała mimoza. Urwał gałąź i poszarpał na szczątki. Co powie tej kobiecie, gdy przyjmie go w chłodnym, ciemnym pokoju? Ręce mu się trzęsły. Nakazywał sobie z pasją odwagę i stanowczość. Śmiało i prędko! Nie zwlekać! W dole leżało morze, macierz życia, kochanka wszelkiego żywego stworzenia, zagarniająca chciwie ludzi i statki, i skarby ziemi. On podarował jej Hacketta, „Jean Marie” i „Helenę”. Pewnie już i Fairless spoczął w zielonej głębinie. Ale o Fairlessie nie mógł jakoś myśleć.

Stopy go piekły. Przystanął, żeby poprawić obuwie. Jak, gorąco, duszno! Najślabszy wiaterek nie rozwiewał przejmujących zapachów, zastygłych w nieruchomym powietrzu. Ridley zgarnął z czoła czarne włosy i schodził dalej po stromej drodze.

Skręcił na ścieżkę do Fanchon. Gniew nim miotał i beznadziejna namiętność. Zarazem nastrajał się nieufnie. Zażąda prawdy. Dowie się prawdy. Zdrada — powiada przysłowie — jest tajemną raną, która wgryza się w kości. Że też ona śmiała mu się narazić! Że też sprzeciwiła się jego rozkazom, nie posłuchała życzeń.

— Kobieta zawsze zdradzi — rozmyślał z goryczą.

Zza drzew wyłonił się dom. Ridley czuł już zapach szkarłatnych lilii, rosnących przy ścianach, podobnych do świeżo przelanej krwi. W drzwiach drzemał Kanak. Na ogłos kroków gościa otworzył oczy.

— O! Rideli!

— Gdzie Faniton?

Ciemny palec, wskazał na drzwi w głębi korytarza. Ridley odepchnął służącego i wszedł.

Fanchon stała przy zamkniętym oknie. Przez szpary w okiennicy przedzierały się w mrok pokoju wiązki promieni słonecznych, jak wąskie klingi. Ridley zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

— Fanchon.

Nie poruszyła się.

— Czego chcesz?

Ridley nie wytrzymał. Przeszedł przez pokój, usiadł na sofie i ukrył twarz w dłoniach. Był bliski hysterii. Mięśnie szyi napinały się kurczowo. Fanchon czekała



na dalszy ciąg, nie przerywając milczenia. Po chwili Ridley podniósł twarz. Był blady bladością trupa.

— Dlaczego na mnie nie patrzysz?

Na to pytanie odwróciła się, a on zaczął patrzeć chciwie, jak chciwie, po tyłu dniach tęsknoty.

— Zdobyłem ambrę — oznajmił w końcu. — Zostawiłem na „Lamparcie”.

Mówił głuchym, bezsilnym głosem. Co się z nim dzieje? Czy to skutek upału — wódki u Yana?

— Więc się udało — powiedziała kobieta.

— Tak. Częściowo.

— Częściowo?

— Bruce mnie tropi. Uszkodziłem mu statek, ale nie zdołałem zatopić. Gdyby się moje plany udały, spocząłby drań koło Paiku.

— No, więc?

— Dlaczego go zatrzymałaś? Wiedziałaś — pytałaś, czy Bruce ma zostać, czy nie. Odpowiedziałem, że nie. Popsułaś mi plany. Deptał mi po piętach — deptali on i Fairless. Czułem ich za sobą. Początkowo myślałem, że to tylko Fairless. Aż tu okazuje się, jest Bruce. Z jednym statkiem poradziłbym sobie, ale ten „Hiszpański Grand”...

— Gdzie „Helena”?

— Zatonęła — we mgle. Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego po niego posłałaś? Marlowe się zniecierpliwiał. Nie chciał na niego dłużej czekać...

Urywaniem głosem ciągnął opowieść niezupełnie zgodną z faktami. Fanchon słuchała z oczami wbitymi w bladą twarz wzgardzonego wielbiciela. A on mówił czując, że się powtarza i płacze. Raptem urwał.

— Ale co ja ci będę opowiadał. Tobie wszystko jedno. Kobiecie nie można zawierzyć. Wiedziałaś, że chciałem go pchnąć na Paiku przodem, a mimo to zatrzymałaś go. Posłałaś po niego z rozmysłem. Dowiedziałem się wszystkiego od Karoli. Ona mi powiedziała. Nie potrzebujesz się trudzić i kłamać. Chciałbym tylko wiedzieć, co cię skłoniło do tego kroku.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Niewielkie. Ale jak już było po szkodzie i Van Kloort przyszedł ci powiedzieć, co zaszło, czemu nie zatrzymałaś Bruce’a parę dni; może wszystko byłoby dobrze. Tu jest sęk, Fanchon. Nie rozumiem cię.

— Kocham go.

Ridley zaśmiał się nerwowo.

— Nie opowiadaj bajek. Ty i miłość, ha! ha! ha! Wpadł ci w oko i to wszystko.

— Nie.

Ridley popatrzył na nią uważnie.

— Kobieto, co tobie?

— Powiedziała ci całą prawdę, mon a m i.

— Prawdę? Bzdury? Czyste bzdury! Ty nigdy nie dbałaś o nikogo. — Czy, Ridley wstał — czy ty naprawdę... Ty go — kochasz?

Podszedł i stanął tuż przed nią. Fanchon była wysoka. Jej oczy znajdowały się na wysokości jego ust. Spoglądając na niego drwiąco, odpowiedziała:

— Tak, właśnie dlatego, że go kocham, nie chciałam po niego drugi raz posłać. Czy to rozumiesz? Gdybym posłała, byłby przyszedł.

— Naturalnie, że byłby przyszedł — rzekł z goryczą Ridley. — Czy jest na wyspach choć jeden mężczyzna, który by zwlekał z przyjściem na twoje wezwanie? Co mi tu opowiadasz? Mam wierzyć, że naprawdę się w nim zakochałaś i dlatego — dlatego krępowałaś się go wezwać?

— Tak.

— Mądrze postąpiłaś — syknął z furją. — Święta Fanchon! Jeżeli chciałaś mi zrobić świństwo, to nie mogłaś znaleźć pewniejszego sposobu. Ja, ty i Van trzymaliśmy sztamę całe lata. I nagle przychodzi ci fantazja...

W oczach kobiety grały niebezpieczne błyski.

— Miej się na baczności, Ridley.

— Co? A ty się miałaś na baczności? Czemu wybrałaś sobie mojego wroga? Jeżeli chciałaś ze mną zerwać, czemu nie powiedziałaś od razu? Ale ty wołałaś...

— Dostyc. Powiedziała ci, jak było. Zobaczyłam go, gdy przechodził. To wystarczyło. Ty, Van Kloort, Les Aves — wszystko przestało dla mnie istnieć. Czy tylko tobie wolno mieć pragnienia? Czy tylko z tobą mam się liczyć? Nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań, a mimo to przemawiasz do mnie, jakbym była twoją niewolnicą.

— Jesteś swoją własną niewolnicą, Fanchon, niewolnicą własnego ciała.

Przyglądał się jej ciekawie.

— Kim ty jesteś? Skąd się wzięłaś na tej wyspie? Nikt nie zna twojej przeszłości. Wiadomo tylko, że masz w żyłach francuską krew.

— To nie ma nic do rzeczy.

— Ale założyłbym się, że Bruce'owi powiedziałaś! — krzyknął z wybuchem.

— Bruce...

— Nie wymawiaj jego imienia takim głosem, z taką czułością jakbyś go ko-

chała.

— Ty na mnie krzyczysz, Ridley.

— Krzyczę, tak krzyczę! Nie powinienem, ale Bruce'owi wszystko wolno, Bruce'owi się nie opierasz. Innym także nie odmawiasz!

Oddychał szybko, z trudem. Stał tak blisko niej, że poczuła drżenie jego ciała.

— Wszyscy są uprzywilejowani, tylko ja jeden wzgardzony. Każdy, na którego tylko spojrzysz — jest twój, tylko nie ja. Ilu cię kochało, Fanchon? O żadnego nie dbałaś, ale żadnemu nie odmówiłaś. Tylko mnie. Pomyśleć, że Bruce osiągnął to, o czym ja marzyłem na próżno.

Z wielkiego uniesienia kołysał się jak trzcina na wietrze.

— I ja to znosiłem tyle lat — tyle lat! Czemu nie zastrzeliłem pierwszego szczęśliwca, którego zobaczyłem, wychodzącego od ciebie?

— Co ty wygadujesz? Co ty wygadujesz?

— Jesteś złą kobietą, rozpustną, zmysłową.

— Ridley — Ridley...

— Ty mnie zawsze nienawidziłaś! Ukrywałaś się z tym, ale ja wiedziałem.

— Tak. Nienawidzę cię — nienawidzę...

Podniosła rękę i uderzyła go w same usta. Pochwycił białe ramię, wpił obolałe usta w delikatne ciało. Dotąd nigdy jej nie całował. Tyle lat tęsknił za taką chwilą, tyle lat...

— Kocham cię — dyszał chrapliwie. — Kocham cię... kocham...

Broniła się ze wszystkich sił. odważnie i zaciekle jak tygrysica. Ale Ridley oszalał, a jaka siła oprze się szaleństwu? W duszy jego wrzała rozpacz i trwoga. Wiedział, co to za kobieta, a przecież nie mógł się jej wyrzec. Czegóż mógł się spodziewać po takiej miłości?

— Musisz do mnie należeć — dyszał. — Robiłaś, co chciałaś. Teraz na mnie kolej.

Obejmował ją obiema rękami, nachylał się do białych piersi. Zwykł był powtarzać, że nie ma kobiety, której by nie potrafił ujarzmić, czuł jednak, że Fanchon nigdy się przed nim nie ugnie. Jeśli nie odda mu się dobrowolnie, to ustąpi przed siłą. Później już nigdy się nie zobaczą. Czuł pod ręką wściekle bicie jej serca. Opór doprowadzał go do szału. Pokaże jej, kto tu jest panem. Okrutne, ciemne ręce przesunęły się na białe ramiona, objęły białą, jakże białą szyję.

\*

\* \*

Mgła. W pokoju musi być mgła. Przetarł oczy z nagłą irytacją. Stał koło sofy na której leżała Fanchon, twarzą do poduszek, zmięta, bezwładna, jak porzucona kukła. Ma krew na rękach? Skąd?

Co... co... to...

— Fanchon!

Osunął się przy niej na kolana, i

— Fanchon!

Ręce dygotały jak w febrze, w uszach szumiała krew, mózg zdawał się pękać...

— Fanchon!

Na próżno modlił się o to, by padła odpowiedź...

## ROZDZIAŁ XVII

### I

Hendry zwijał linę. Nasmolowane skręty obcierały palce, więc raz po raz pluł na ręce. Od czasu do czasu wyglądał na morze, wypatrując szkarłatnych żagli, które tak dumnie wypływały z przystani. Ale wiedział, że Fairless nie wróci.

Co się stało tam na górze, w Domu? Już się ściemnia, a Ridley nie wraca. Może poszedł do Fanchon. Bardzo był ciekaw jak się to wszystko skończy. Saunders z „Mary Jones” przywiózł swój akordeon na brzeg. Siedział właśnie przed sklepem, w gronie zaciekawionych dzieci kanackich, które bawił głos instrumentu na równi ze wściekłym ujadaniem psa Karoli, Billa.

Hendry cisnął w Billa pustą puszką po pomidorach.

— Dałbyś spokój — odezwał się do grajka. — Dostyc tego. Kanakowie podchwytyją całe ustępy. Posłuchaj tylko. Niech padre przyplynie z Degas i usłysz, to będziemy ładnie wyglądali.

— Słyszałem gorsze rzeczy — odparł Saunders. — Zresztą nie rozumieją, powtarzają jak papugi. A wy co chcecie, żebym śpiewał? mam ich uczyć „Alleluja” czy „Przebudźcie się, chrześcijanie”?

I podniósł głos wyzywająco, śpiewając niecenzuralną piosenkę, która mu się szczególnie podobała. Kanakowie wrzeszczeli do wtóru. Bill zaś, wzięwszy to nagle ozywienie artystów za osobistą zniewagę, zawył w niebogłosy.

— Czemu nie utopicie tego kundla? — zirytował się Saunders.

— Karoli nie ma? Cicho, psie parszywy, bo obetnę uszy.

— Chodź no, obejrzyj tę linę — uciekł się do wybiegu Hendry.

— Zdaje mi się, że nie na wiele się przyda.

— Za chwilę — odrzekł uprzejmie śpiewak. — Wy dzisiaj nie w humorze, gospodarzu? Spójrzcie na Kanaków.

Gromadka tubylców wstała i zaczęła wykonywać nowy taniec w takt zaczerwowanej melodii, przejętej od Saundersa. Głosy wznosiły się i zniżały w rubasznym chórze, ruchy odpowiadały dokładnie uczuciom, wyrażanym w pieśni.

Hendry zaczerwienił się pod opalenizną.

— Patrz teraz i ciesz się! Ale jak padre przyjedzie, to na mnie się wszystko skrupi,

— Teraz nie ma misjonarzy na wyspie Johnsona — powiedział niedbale Saunders. — Nawet Mormonów nie ma.

— Jakże to?

— Byli i wynieśli się. W swoim czasie ściągало tu mnóstwo apostołów, by nas nawracać. Jak się to zaczęło, stary Richards, — znacie go? — mrugnął raz na mnie i mówi: „Wiesz co, Saunders. Znajdziemy na nich sposób”.

— Znalazł?

— Ano, znalazł. Za każdym razem urządzał jedno i to samo przedstawienie. Gdy misjonarz przybijał do brzegu, Richards biegł z uroczystym powitaniem, ustawiał Kanaków rzędami i kazał im się hurtem nawracać. Misjonarz oczom nie wierzył, że tak mu łatwo szło. Najpóźniej trzeciego dnia zaczynał naukę hymnu. Wszystko jedno, jakiego. Richards kazał dzikim śpiewać bez końca. Co skończyli, to zaczynali, co skończyli, to zaczynali. Wiedzieli, że gdyby go nie posłuchali, dostaliby baty. To też sztuka zawsze się udawała. Richards brał dzicz w obroty na zmianę, tak że stale — zauważcie to sobie — kilkunastu Kanaków śpiewało misjonarzowi: „Naprzód, chrześcijańscy żołnierze”, czy coś podobnego. Człowieku, nie ma straszniejszej rzeczy niż słuchać jednej i tej samej pieśni bez przerwy dniami i nocami, bo i nocą to nie ustawało. Żaden dłużej nie wytrzymał niż tydzień, chociaż jeden rodem z Walii, zabawił dziesięć dni, ale w nocy dostał ataku szału. Byli Mormoni, Metodyści, Adwentyści Dnia Siódmego, Adwentyści Tysiąclecia i znów Mormoni, ale pod koniec tygodnia każdy misjonarz wymyślał sobie jakąś pilną sprawę na Waihiti i spieprzał.

Saunders uśmiechał się szeroko.

— Richards ma rozum. Ja zawsze powiadam: dać pokój dziczy. Nigdy nie uwierzę, że Kanakowie mają dusze. Zwierzęta i już. Niech tam używają życia po

swojemu.

Popatrzył ciekawie na gospodarza.

— Słyszeliście, co mówiłem?

— Słyszałem — odparł Hendry otrząsając się z zamyślenia. — Wy coś macie na wątrobie? Co wam jest.

Hendry odetchnął głęboko.

— Widziałeś Ridley'a?

— Od południa — nie. A bo co?

Słońce zachodziło za palmami wybrzeża. Wieczorny wietrzyk poruszał ocieźzałymi liśćmi. Przez nadmorską drogę długie, czarne cienie posuwały się ku domowi Hendry'ego. Z morza wstawała tropikalna noc. Saunders wzdrygnął się nie wiadomo dlaczego. Rad był, gdy Hendry zapalił lampę. Puka podał wieszczkę i obaj biali posilali się w milczeniu. Nad wyspą unosiło się ciężkie tchnienie bliskiej tragedii, które udzieliło się nawet Kanakom przy trzaskających ogniskach na wybrzeżu. Wybuchwały ostre salwy śmiechu, to znów zjadliwe kłótnie. Sprzeczka między dwoma młodzieńcami zakończyła się bijatyką.

— Jak psy przed burzą — zauważył Saunders. — Dobra ryba, co? Tak, krewetki.

Wiatr ucichł. Przez otwarte drzwi widać było nieruchome palmy. Na nadmorskiej drodze zadudniły czyjeś kroki.

— Kto to przebiegł? — zapytał nagle Hendry.

— Nie wiem. Nie widziałem.

— Ktoś przebiegł drogą. Musiałeś widzieć.

— Słyszałem tupot.

Wstali i wyszli na próg. Droga przechodziła o sześć kroków od drzwi, bielejąc w księżycu jasną smugą.

— Pewnie to był któryś Kanak — rzekł Saunders.

Hendry kiwnął głową i wrócił na miejsce. Unikali jakoś swoich oczu. Zabrali się bez słowa do wieprzowiny, pokrojonej w kostki i saga, przybranego plasterkami dzikiej pomarańczy. Obaj znali legendę kanacką o duszy zabitego, która biega o zachodzie po wiosce, szukając zabójcy. Ale żaden o tym nie wspomniał. Wdali się natomiast w rozmowę na temat cen tripangów i perspektyw dla poławiaczy pereł koło Waihiti na nadchodzący sezon. Hendry po wieprzowinie postawił wódkę i lżej im się zrobiło na duszach.

— Kanakowie wierzą we wszystko — wyrwał się Saunders, a gospodarz znów skinął głową.

— Ciemni głupcy — ciągnął Saunders. — Cokolwiek się zdarzy, zaraz wy-  
myślą jakąś dziką bajkę. Trzeba nerwy trzymać w ryzach. Nieswojo mi się zrobiło,  
gdy ta kobieta przebiegła, a nie było nic widać.

— Kobieta?

— To nie były męskie kroki, Hendry.

Popatrzyli na siebie nad stołem. Ile może być prawdy w starych opowieściach  
kanackich? Bajki! A jednak któż zaprzeczy, że na tych zapowietrzonych wyspach  
nawet cienie zdają się tchnąć grozą i odwieczną tajemnicą. Saunders nabił fajkę.  
Bill obrabiał mu czubek lewego buta. Rozmowa zesła powoli z handlu na Ho-  
utenach na katastrofę „Moskwy” w pobliżu raf Cyrusa. Trwożny niepokój ustę-  
pował przed poczuciem bezpiecznej zaciszości. Roześmiali się nawet gdy Bill  
próbował złapać ćmę... Mimo to czuli w sobie dziwne napięcie wyczekiwania...

Ciężkie, powolne kroki na drodze.

Bill zaczął warczeć i wypadł na tiwór jak szalony, z krótkim, zaciekłym uja-  
daniem. Jakiś głos fuknął:

— Precz, kundlu!

Dał się słyszeć piskliwy skowyt, a potem wściekłe warczenie.

— Van Kloort — powiedział Hendry i wyszedł trzepnąć Billa fartuchem.

Rezydent ledwie wszedł, zwałił się ciężko na krzesło. Głowę miał opasaną  
bandażem, był bardzo blady i ręka, obejmująca łaskę, dygotała lekko.

— Czemu nie udusisz tej bestii? — zapytał, gdy Hendry wszedł z rozzartym  
Billem pod pachą.

— Metaki — zwrócił się gospodarz do Kanaka, który sprzątał po wieczery —  
twoja zabrać Bill i wsadzić chata, co być kanaka.

Metaki wziął za kark psa, który protestował zajadle przeciwko takiemu po-  
gwałceniu swojej wolności, i wyniósł do chaty za domem, gdzie sypiali Kana-  
kowie Hendry'ego. Hałas ucichł. Wtedy Van Kloort zapytał:

— Gdzie Ridley?

— Od południa nie widziałem go.

Łaska rezydenta jęła stukać niecierpliwie w podłogę.

— Pomyślcie, co mówicie, Hendry. „L a m p a r t” stoi w przystani.

— Stoi czy nie stoi, a od południa chłopaka nie widziałem t— obstawał przy  
swoim Hendry.

— Nalej mi whisky. Trzeba go poszukać.

Tu rezydent spojrzał podejrzliwie na Saundersa.

— A może ty coś wiesz?

— Nie, panie gubernatorze. Nie widziałem go od rana. Mogę przysiąc, że nic o nim nie wiem, panie gubernatorze.

— To wypijcie i pomóżcie mi go szukać — rzekł surowo Van Kloort. — Mam tu nakaz aresztowania go.

— Co?

Van Kloort dotknął bandaża na czole.

— Oto co mi zrobił. Napadł mnie w moim domu.

Ciekaw był, czy ci dwaj coś wiedzieli. Ale czy tak, czy nie, to jako gubernator miał prawo żądać od nich pomocy. Jeszcze nie zdecydował, jakie sankcje zastosować przeciw byłemu współnikowi. Gdyby go przymknął na parę dni, miałby czas do namysłu, Ridley zaś zląkłby się o własną skórę. Przekonałby się, kto jest panem na Les Aves. Paka dobrze by mu zrobiła, tymczasem on, Van Kloort, postarałby się dowiedzieć, gdzie się podziała ambra. Może by ją nawet znalazł, prawdopodobnie schowana jest na „Lamparcie”. No, skoro się Ridley’a unieszkodliwi, będzie można przeszukać statek. Van Kloort, o ile to odpowiadało jego interesom, szanował prawo.

Dopił whisky i wstał. Liczył na szybkie znalezienie przestępcy. Jeżeli go tu nie było, to znak, że albo siedzi u Fanchon, albo wrócił na pokład. Ale jeżeli wrócił, to ktoś widziałby go na łodzi.

Van Kloort zawołał na Metakiego i polecił mu przepytac się, czy któryś z Kanaków z „Lamparta” jest na wybrzeżu. Metaki, popędził jak strzała i trzech biali czekali w milczeniu. Wrócił zadyszany.

— O! Keluti, ona Kanaka co być Rideli być na wybrzeże. Ona mówić: Rideli nie wrócić. Mówić: czekać z szalupa zabrać Rideli na ona „Lampariti”.

— Więc jest u Fanchon.

Saunders zdławił przekleństwo. Van Kloort spojrzał na niego ostro.

— No?

— Pan gubernator tam chyba nie pójdzie — rzekł nerwowo Saunders. — Ja... tego... jeżeli on tam jest — to tam niezdrowo chodzić po zachodzie słońca, chyba że...

— Jeżeli się boisz, możesz zostać.

Saunders poczerwieniał.

— Nie boję się — mruknął kwaśno.

W istocie bał się. Sięgnął ukradkiem do rewolweru i suwał po nim dłonią dodając sobie odwagi. Przygryzł rozczapierzone wąsy i naciągnął czapkę na oczy. Van Kloort wyszedł pierwszy. Za nim gospodarz z latarnią. Saunders zamykał



pochód. Podążyli nadbrzeżną drogą, srebrną od księżyca. W tej niepewnej, złudnej jasności świat wydawał się zaczarowany. Jazgot Kanaków, obozujących przy ogniskach, rozpląwał się w oddaleniu. Obie strony wąskiej dróżki porastały cierliste krzewy, chwytające za ubrania. Liczne liany powodowały potknięcia. Woń jaśminu, pomieszana ze słabym zapachem t u i -tu i, przepełniała nocne powietrze.

W panującej ciszy, kroki idących rozlegały się głośno i natarczywie. Spod nóg Saundersa wyprysnął kamyk z odgłosem podobnym do wystrzału. U wylotu ścieżki, wiodącej do domu Fanchon, Van Kloort przystanął.

— Ktoś idzie.

Czekał, czujnie nastawiając uszu.

Tak, znów to samo: tupot szybkich kroków, jakie przed godziną słyszeli Hendry z Saundersem. Ktoś biegł ścieżką pod górę, dysząc i potykając się, postępując i wydając okrzyki trwogi.

— Kto to?

Kto ucieka z domu Fanchon?

Biegająca postać zbliżała się do wylotu ścieżki.

— Keluti! — rozległ się wrzask. — Keluti! Keluti!

Van Kloort wyszedł na spotkanie Kanakowi. Pochwycił go i porząsnął silnie za ramiona, żeby oprzytomniał z histerycznej trwogi.

— Spokojnie — spokojnie. Twoje cicho. Cicho!

Ale Kanak miotał się, bił powietrze jak oszalały. Saunders przytrzymał go za rękę.

— Faniton! Faniton! O! Keluti, Faniton...

Więcej się nie dowiedzieli. Słowa rozpląnęły się w dzikim nieartykułowanym wrzasku. Van Kloort pchnął chłopca w krzaki.

— Coś się stało. Chodźmy.

Puścili się biegiem. Wąska, kręta ścieżka opadała stromo. Za nimi przesuwały się pokraczne cienie. Nieokreślone obawy rozpląnęły się w wyraźnym, normalnym strachu. Co zastaną w tym dziwnym domu?

Zobaczyli światło. W drzwiach siedzieli w kucki Kanakowie Fanchon. Jazgotali przeraźliwie. Na wołanie Van Kloorta odwrzasnęli ochoczo i ciemne postacie jęły skakać przez łąn lili. Ze zmieszanej wrzawy nie można było wyłowić żadnego sensu. To tylko było oczywiste, że coś się stało i że są w okropnej trwodze, tak dalece, że nawet boją się uciec. Rezydent rozepchnął zgraję i szedł ku domowi, a Hendry z Saundersem za nim.

Drzwi były otwarte. Przystanąli. Światło latarni padało na podłogę. Za rezy-

dentem tłoczyli się trwożni Kanakowie. Słyszał ich chrapliwe szepty: „Rideli! Rideli”! Wyrwał latarnię Hendry’emu i podniósł wysoko nad głową.

## II

— „Lampart”, ahoy!

Głos Marlowe’a poniósł się po rozświetlonej wodzie. Akurat wzeszło słońce. Prawie poziome promienie kładły się na cichej powierzchni morza. Nad świetlistym wybrzeżem wznosiła się Les Aves, zalesiona po zręby góry, stanowiącej jej środek. Słaba woń zgnilizny, zawsze obecna, niosła się po wodzie ku „Hiszpańskiemu Grandowi”, zrujnowanemu, podziurawionemu, ze strzępami szkarłatnych żagli na rejach. Bruce zawtórował koledze. Bez skutku.

— Nikogo. Gdzie załoga, u diabła?

— Niemożliwe, żeby nikt nie został na pokładzie.

— Dalej. Nie traćmy czasu.

— Idioto, jeżeli on tam jest, to zacznij strzelać.

Wrogie napięcie, które trwało między nimi od chwili przybycia na pokład Karoli — wyładowało się w otwartym gniewie.

— Musimy przecież wyciągnąć statek na ląd, bo inaczej gotów nam się rozpaść pod nogami! — krzyczał Marlowe. — Gdzie ty masz rozum?

Obaj chwiali się na nogach ze zmęczenia. Kanakowie przy pompach zaprzestali pracy i odpoczywali bezwładnie. Ale o prawdziwym wypoczynku nie mogło być mowy. Już się zaczynał odpływ, musieli więc śpieszyć do brzegu, żeby zdążyć nim przybierze na sile. Bruce objął ster z ponurą twarzą. Dzięki Bogu, straszna podróż dobiegła końca. Lepsza nawet ta przeklęta wyspa, niż zagrożony statek pod stopami. Bruce był rad, że będzie mógł zejść z oczu tamtych. Nie mógł patrzeć, jak Karola spoglądała na Marlowe’a. Zacisnął ręce na kole. Tak, na Marlowe’a. Teraz widział, jak rzeczy stały. Miał klucz do zagadki. Oto co mu przyszło z wizyty u Fanchon. Rzucił Karolę w ramiona koledze. Tak, to było jasne. Teraz rozumiał, dlaczego Marlowe nie mówił z nim nigdy o Karoli. Dlaczego traktował ją szorstko. Już taki jest. Gdyby nie dbał o nią, byłby grzeczny, nawet zalotny. Ta posepna, władcza mina mówi za siebie.

Pchali statek na brzeg, póki kil nie otarł się o pochyłą plażę. Marlowe i Puahe wyskoczyli do wody z linami i brnęli do lądu. Woda sięgała im do pasa. Znużone ciała z trudem opierały się sile odpływu. Gdy wreszcie wyleźli na mokry piasek, padli jak ścięci. Dopiero po dłuższym odpoczynku byli w stanie podnieść się i przywiązać mocno liny do słupków, które Kanakowie wbili w piach, żeby

„Hiszpański Grand” nie dał się pociągnąć odpływowi. Za godzinę znajdzie się wysoko na suchym gruncie. Za wysoko byłoby niebezpiecznie. Mógłby się zaryć w zdradziecki piasek.

Wioska zaczynała się ożywiać. Koło słupków zasiadły w kucki uroczyste gromadki tubylców, przyglądając się ciekawie linom, na których trzymał się zniszczony statek. Leniwe pluskanie morza rozlegało się donośnie w ciszy poranka. Wyspa budziła się i przeciągała pod pocałunkami słońca.

Na pokładzie „Hiszpańskiego Granda” Karola nerwowo dygotała. Dla niej ta cicha, duszna wyspa nie miała najmniejszego powabu, nawet po powrocie z niebezpiecznej podróży. I co ona biedna teraz pocznie? Wrócić do Domu Van Kloorta, do głupiej, dokuczliwej „gubematorki”? Po co? Na statku zostać nie może. Po tej rozmowie z Bruce’em? Nie może. Spojrzała na niego. Stał nieruchomo, patrząc w głąb wyspy.

— Czemu ja nie mogę przestać myśleć o Fanchon? — przemknęło jej przez głowę.

Znała mężczyzn. Wiedziała, że wybuchowe, nieobliczalne namiętności często ich wykolejają, rzucają na manowce. A inne kobiety muszą znosić rozczarowanie. Chociaż, inne kobiety wybaczą o wiele gorsze występki niż ten, którego się względem niej dopuścił Bruce.

— Gdybym go kochała, to by to nie miało znaczenia — myślała.

Odwróciła oczy od jego urodziwej, silnej postaci i zaczęła patrzeć na

Marlowe’a, który nagle przesunął dłonią po włosach od czoła do karku. Miał taki zwyczaj. Widziała u niego ten gest dziesiątki razy. Dlaczego więc serce jej tak dziwnie zabiło i krew uderzyła do twarzy gorącą falą? Doznała uczucia bólu, tęsknoty i wielkiej, niepojętej litości. Coś w jej duszy zaśpiewało dziko, radośnie, przejmująco. Krew szybciej zatętniała...

Nie usłyszała, gdy Bruce odezwał się.

— Karola — rzekł ostro.

Zwróciła na niego rozmarzone oczy.

— Chodź. Możemy teraz przejść na brzeg. Odpływ...

Urwał.

— Co tobie? Co tak patrzysz?

Otrząsnęła się z zadumy i odwróciła twarz. Szarpnął ją ku sobie.

— Marlowe ci w głowie. Widziałem, jak na niego patrzyłaś. Och! Boże! Tu na pokładzie zjadaliście się oczami. Dlaczego mnie nie chcesz znać?

Z oczu biła mu wściekłość.

— Dlatego? Dlatego? Nie próbuj kłamać. Szkoda fatygi. Zawsze tylko jego kochałaś.

— Nie — odrzuciła stanowczo. — Szkoda i twojej fatygi. Ty poszedłeś swoją drogą, ja swoją. Nie wtrącaj się i nie psuj życia innym.

W odpowiedzi porwał ją w ramiona, uniósł wysoko i zaczął całować z taką rozpaczą, jakby za chwilę miał iść na stracenie. Co tam! I tak wszystko przepadło. Niech się wyrywa, broni, szamocze. Więcej od niej nie zażąda. Ten szalony uścisk będzie ostatni. Nigdy już nie przygarnie do siebie jej wiotkiej postaci! Nigdy nie pocałuje! Potrafiłby ją kochać bardziej od Marlowe'a. Potrafiłby obudzić w niej marzenia i tęsknoty, do których Marlowe nie ma klucza.

Karola drżała i szarpała się. Pomyśleć, że ona się go boi, jego który ją kocha.

Zdołała uwolnić ręce. Broniła się sprytnie, nie histerycznie, na oślep, jak to kobiety, lecz przebiegle i zaciekle. Małe piąstki, gdyby mogły, zatłukłyby go na śmierć.

Zręcznie chwycił ją za łokcie. Była bezbronna. Piers jej falowała gwałtownie, łyzy wściekłości polały się z szarych oczu. Przykro mu się zrobiło. W nagłym przystępie żalu przytulił twarz do jej włosów. Chciał wydrwić Marlowe'a i jego miłość, i złe słowa zamarły mu w ustach. Nie dla niego cicha, kojąca miłość tej dziewczyny. Choć stała bez ruchu, choć nie wyszarpnęła głowy spod jego policzka, czuł jej wrogość, jej twardą, nieprzejednaną niechęć.

Kiedy to ostatni raz tulił do siebie kobietę? Całował po włosach?... Fanchon... Fanchon... To jakby policzek, to wspomnienie! Czyż nigdy nie zapomni tej kobiety? Jak to się dzieje, że całując Karolę, myśli o niewymownym, niewyobrażalnym uroku tamtej? Jakie przekleństwo spadło na niego, że nie może odgonić tamtego obrazu? Karola słusznie się obawiała, że wróciłby do tamtej. Co znowu? Ależ nie wraca się tam, skąd się nigdy nie odeszło. Teraz dopiero uprzytomnił sobie w całej pełni, że Fanchon opętała go na całe życie...

Opuścił ręce. Karola zjechała po linie jak chłopiec. Patrzył za nią tępy wzrokiem. Woda obniżyła się znacznie. Karola przeszła po niej do czekającego Marlowe'a. Zjawił się Hendry i wszyscy troje zaczęli rozmawiać z nachylenymi ku sobie głowami.

O czym mówią? Co się mogło stać? Bruce widział w ich zachowaniu się zdumienie i przerażenie.

## ROZDZIAŁ XVIII

## I

Ridley biegł jak oszalały. Noc otulała ziemię, a on gnał na oślepy niby zwierzę, które wyrwało się na swobodę. W jego świadomości kołatała tylko jedna myśl: uciec z miejsca zbrodni. Niebawem przyjdzie do siebie. Rozważy plan ucieczki, ratunku przed przygniatającą ohydą. Ale na razie do tego daleko. Trwoga odebrała mu wszelką przytomność umysłu. Wiedział tylko tyle, że musi uciekać.

Przebijał się przez zarośla. Na ziemi słały się dziwaczne cienie od księżyca, przeglądającego przez splątane gałęzie. Zdawało mu się, że te cienie wyciągają po niego wiotkie ręce. Spocone włosy spadały na oczy. Odgarniał je i ręce mu drżały. Ślepnie, czy co? Zarysy drzew, takie ostre w blasku księżyca, zacierają się niesamowicie. Nie ma wiatru, a cienie skaczą. Rozpędzone nogi znalazły wyboistą ścieżkę do plantacji kokosowej, uczęszczaną przez Kanaków. Ale tu już grunt podnosił się ostro.

Znużone członki nie podołały wysiłkowi. Przystanął pokaszując, i osunął się bezwładnie u stóp drzewa. Oddychał z trudem. Ależ głupota! Po jakiego diabła ucieka? Mądrzej było zostać i stawić czoło burzy. On, Ridley, który się nie bał nikogo na wyspach, stchórzył. Niech to wszyscy diabli.

Wstał niezdecydowanie, chwiejąc się na nogach.

Wzrok wrócił do normy. Dziwna mgła znikła. Serce przestało łomotać. Poczul, że jest spocony i że jest mu chłodno. Nie wiedział, gdzie się znajduje i ile czasu upłynęło od chwili, gdy wypadł w szale przerażenia z domu Fanchon. Pamiętał, że podszedł na palcach do drzwi, nacisnął klamkę i przekradł się korytarzem na ganek. W domu panowała martwa cisza. Żadnych szmerów, żadnych kroków. Staął na ganku sztywno wyprostowany. Zdziwił się, że słońce jest bliskie zachodu. Mógł zdążyć na „Lamparta” i rozwiniąć żagle nim odkryją zbrodnię- Rozgorączkowy umysł rozważał szanse dotarcia na pokład i podróży na południe ku wolności i zapomnieniu.

I nagle w jego świadomość wdarł się krzyk, od którego na chwilę serce zamarło. Za późno! Ktoś ze służby, któraś z dziewcząt kanackich, chodząc po domu, odkryła tajemnicę, znaną tylko jemu i Bogu. W tej chwili słońce zapadło za widnokrąg i wśród krótkiego zmierzchu wybuchły wrzaski, zatupotały szybkie kroki. Usłyszał swoje nazwisko. Otworzyły się z trzaskiem jakieś drzwi, nad lament kobiet wybiły się ostre, gniewne głosy mężczyzn.

Wtedy zbrodniarza ogarnęła trwoga. Uciekać. Natychmiast uciekać. Ale nie

nad morze. Pościg ruszy właśnie nad morze w przypuszczeniu, że morderca będzie chciał umknąć na swój statek.

Więc na prawo, w ostępy Les Aves! Za dziesięć minut zrobi się ciemno. Ciemności go uratują...

Uratują!... Zaśmiał się i otarł pot z twarzy i karku. Ucieczka w góry nic nie rozwiąże. Bo czyż będzie mógł wrócić na „Lamparta”? Teraz już wszyscy na niego polują, cała wyspa. Wybrzeże będzie strzeżone dniem i nocą. Van Kloort zazna rozkoszy zemsty, słusznej zemsty. Radośnie wyruszy na poszukiwanie na czele Kanaków. Uroczysty, pełen namaszczenia ogłosi wyniki śledztwa. Nie będzie żałował Fanchon. On jeden ze wszystkich mężczyzn, którzy kiedykolwiek zawitali na Les Aves, pozostał obojętny na jej zachłanny czar, — Ale czy to można być pewnym? — dumał Ridley. — Van Kloort był zawsze zamknięty w sobie, nieodgadniony...

Cisza! Żaden dźwięk nie zakłóca głębokiego spokoju nocy.

Ridley zaczął się przechadzać nerwowo. Starał się zebrać rozproszone myśli. Kanakowie musieli już obudzić całą wieś. Czarne głowy nachylają się ku sobie, wieść leci z ust do ust. Już donieśli Van Kloortowi. Już Hendry wie. Ten tłusty Saunders wałkuje sprawę ze Scarlettem, albo z innym gościem. Postawią strażę na wybrzeżu. Dopiero gdy im się znudzi czekać, wypuszczą się w góry.

Jeżeli „Hiszpański Grand” nie zatonął, to Bruce’a i Marlowe’a tylko patrzeć. Czy odgadną, gdzie jest schowana ambra? Naturalnie, że tak! Kto, jak kto, ale Marlowe na pewno będzie wiedział, gdzie szukać. To dziwny człowiek, ale bardzo przebiegły. Uderza tylko z konieczności, wtedy jedynie, gdy wie, że mu się uda. Niebezpieczniejszy od porywczego Bruce’a. Biorąc pod uwagę usposobienie obu tych ludzi, Ridley sądził, że Bruce’a mógłby pokonać. Co do Marlowe’a...

Wzruszył ramionami.

Zziąbł do kości. Żeby się rozgrzać, bił się rękami po bokach. Zaczął się rozglądać po mrocznych zaroślach, nie wiadomo za czym. Przedziwna, tropikalna noc, której powolne godziny kryją w sobie tyle czaru i zarazem grozy, zaczynała działać na jego oszołomione zmysły. Uszy zaczęły rozróżniać setki dźwięków, uchwytnych jedynie w ciemnościach; powonienie chwyciło tajemnicze wonie, właściwe tylko nocy. Oczy dostrzegały nieznane szczegóły. Wśród krzewów ryła Świnia. Jej chrapliwe pochrząkiwanie miało w sobie coś dziwnie przyjacielskiego. Przedtem nie bał się być sam. Co się z nim stało, że teraz wdzięczny jest zwierzęciu za samą obecność.

Nie było sensu wędrować dalej w las. Nie miał pojęcia, dokąd zaszedł. Z pa-

górką, na którym stał, nie dostrzegał żadnych świateł, czy to z domów, czy ze statków. Szum morza tu nie dochodził. Do wschodu słońca nie mógł nic przedsięwziąć.

Usiadł z głową ukrytą w rękach. Czy to już koniec? Czy szalona, cudna zabawa w życie ma dobiec kresu? Czy Ridley, postrach wysp, ma zginąć jak ścigany wilk? Gdyby nie stracił głowy, gdyby uciekał ku morzu — ale po co to roztrząsać, poniewczasie? Stracił głowę i oto do czego doprowadził. A jeżeli tym razem nie zdoła się uratować? Jeżeli nie zdoła wrócić na „Lamparta”? Co wtedy? Mógłby się przedostać na północne wybrzeże i tam czekać na jakiś przepływający statek. Przy pomocy sprytnie zmyślonej opowieści mogłoby się udać... Ale do północnego wybrzeża miał przed sobą z górą czterdzieści mil nieznanego terenu. A gdyby nawet udało mu się tam przedostać, to mógłby czekać na statek nie wiadomo jak długo, gdyż wyspa z tamtej strony była trudno dostępna z powodu raf i żeglarze rzadko się tam zapuszczali.

Więc, jeżeli ten plan jest nierealny, to cóż mu pozostaje? Próbować przekraść się nad przystań i dobić do „Lamparta” skradzionym katamaranem? Ale, Kana-kowie mają tysiące oczu. Dogoniliby go, obezwładnili, zawlekli przed Van Kloorta... Nie, po tysiąc razy nie.

I zresztą nie wiadomo, czy tam już nie zawładnięto „Lampartem”.

Co się stanie z jego statkiem, z jego ukochanym, dumnym „Lampartem”?

Będzie skonfiskowany, naturalnie. Van Kloort zajmie go na rzecz skarbu, zabierze ambkę, zamknie ją w kajucie, każe uwiązać miotłę u masztu na znak, że statek jest wystawiony na sprzedaż. Kupi go jakiś parszywy handlarz, może jakiś gnojek, który będzie zapychał ładownię rupieciami, objając się między Waihiti i mniejszymi wyspami. Ridley zarył paznokcie w miękką ziemię. Miotła nim wściekłość i rozpacz.

Księżyc zniknął, gwiazdy bladły. Świt był za pasem. Ridley dźwignął się z ziemi jak pijany. O wschodzie słońca będzie mógł obmyślić jakiś plan. Plan? Jaki plan mógłby być skuteczny w tych warunkach? Przypomniał sobie, że dawno już nie jadł. Jednakże palm kokosowych było tyle, że głodowa śmierć bynajmniej mu nie groziła. Są też banany, a dalej w lesie i inne jadalne owoce. Tylko, że to wszystko nie mogło zastąpić mięsa i chleba.

Szelest w krzakach. Serce w nim zamarło. Czyżby pogoń? Cuchnąca woń kóz rozeszła się w powietrzu. Klasnął w ręce. Zatupotały spłoszone racice. Odetchnął. Ale czoło okryło się potem, a dłonie zwilgotniały. Starał się zwalczyć trwogę. Jeżeli ma tracić głowę przy lada hałasie, to źle z nim będzie. Legł na wznak na

chłodnej ziemi i patrząc na Węglowy Wór, silił się opanować rozdygotane nerwy. Musi być jakiś ratunek, musi, musi, musi. Śmierć! Nie, jeszcze nie. Tyle ma jeszcze do dokonania, tyle do przeżycia. Przed nim jeszcze cały ciąg lat. Dopóki nie wyjdzie ze wszystkich kart, jakie ma w ręku, dopóty nie jest mu sądzone umrzeć. Nie, nie, nie!

Z niepamięci wypłynęło wspomnienie Hacketta, którego przywiązał do kowticy „Jean Marie”, zanim zatopił statek. Widział jak na jawie skrwawione usta, umęczone ciało, rozgorzałe, wyzywające oczy. „Jestem ostatnim, którego zabijasz, Ridley” — mówiły krwawe usta. Nieprawda. Zabił Fairlessa. Więc jednak umierający nie są jasnowidzami. Ridley wziął to za dobry znak, za zapowiedź zwycięstwa. Kto go pierwszy dopadnie? Kto pierwszy przedrze się z trzaskiem przez zarośla? Van Kloort? Chyba nie. Bruce? Może Bruce. Marlowe? Niech Bóg broni.

A jeżeli im umknie, a jeżeli zdoła popłynąć na południe, to co wtedy? Życie przyniesie mu jak zawsze przygody, zwycięstwa, pokusy, zaspokojenie zmysłów... Ale — co mu z tego wszystkiego przyjdzie? Teraz, kiedy Fanchon nie żyje...

Wrócił do niej, do myśli o niej. Jedynie to było ważne. Dlaczego się w niej zakochał? Miał powodzenie u kobiet, większe niż ktokolwiek na wyspach. Jakież więc dzikie zrządzenie losu sprawiło, że rzucił serce pod nogi właśnie tej, która nie chciała go znać? Fanchon nie dbała o niego i nigdy by się nie zmieniła w stosunku do niego, gdyby — gdyby żyła. Czyż o tym nie wiedział? Wiedział. Szaleństwo, ślepe, gorzkie szaleństwo! Czy to przekleństwo losu? Dlaczego nie mógł osiągnąć tego, czego pragnął? Kobieta, która wychowywała go w Buenos Aires, rzadko wspominała o jego rodzicach. Przypominał sobie usilnie wszystko, co kiedykolwiek od niej usłyszał.

— Twój ojciec był urodziwym facetem. Bardzo wysokim. Będziesz wysoki, Julianie. Masz jego figurę. A ona — Fancuzka lekkich obyczajów. Porwał ją z Noumei. Po niej jesteś taki ciemny. Nie, nie potrafię opowiedzieć, jak wyglądała. Zalotna, swobodna... Wszyscy mężczyźni szaleli za nią.

Ridley otrząsnął się rozpaczliwie ze wspomnień o Fanchon. Próbował przywołać z dawnych lat obrazy innych kobiet, walk, sztormów na morzu. Na próżno. Głód serca nie dał się uciszyć. Ani on, ani nikt inny nie zobaczy już jej, nie poczuje dotyku jej pieszczotliwych rąk, nie usłyszy dziwnie uroczego śmiechu. — Tak, ale inni mają miłosne wspomnienia, a on, nie. Nawet Bruce — nawet jego wróg może znaleźć ostoję we wspomnieniach, tylko nie on. Dla niego nie pozostanie



stało nic.

Nadszedł wreszcie chłodny, leniwy świt. Tylko patrzeć, jak nastanie dzień — dzień, który przyniesie niebezpieczeństwo, znużenie i kto wie, czy nie śmierć. Trzeba się ruszyć z miejsca, zebrać myśli, zapomnieć o wszystkim — z wyjątkiem planów obrony.

Zaraz! Jeszcze chwilę! Trzeba się rozejrzeć w terenie i zdecydować, którądy uciekać. Ale za chwilę... Ridley przewrócił się na twarz i znieruchomiał. Z przymkniętych oczu toczyły się ciężkie łzy i wsiąkały w chłodną ziemię.

## II

W szynku — sklepie Hendry'ego huczał bas Van Kloorta. Rezydent miał na sobie wczorajsze ubranie, zmięte i zbrukane. Na brodzie i tłustych pucołowatych policzkach jeżyła się siwa szczecina. Był blady i podniecony. Na znękaną twarz padała z drzwi smuga słońca.

— Nie może umknąć — dowodził. — Wybrzeże od Wschodniego Cypla do Zachodniej Góry obstawione Kanakami. Jeżeli będzie próbował przedostać się na „Lampart a”, to po nim.

— Więc co mamy robić? Czekać tutaj, póki się nie pokaże? — pytał Hendry. Van Kloort wypiął okazałą pierś.

— Wezmę ludzi i wyprawię się w lasy — oznajmił pyszałkowato.

Spojrzał na gromadkę białych i na strwożonych Kanaków, zagląających przez drzwi. Marlowe i Bruce stojąc pod ścianą, czekali na rozwój sytuacji.

— Myślicie, że go złapiecie — odezwał się Bruce. — To nie tygrys, głupcy! Cała obława, ha, ha, ha!

— Cicho, Bruce! — rzekł Hendry. — Nie awanturuj się. Nie pora na sprzeczki. Ridley nie doczeka nocy, zobaczysz.

— A Bruce czemu zrzędzi? — zirytował się Van Kloort. — Co cię ukąsiło?

— Gubernator jest jego przyjacielem — stwierdził Bruce. — Chłop ucieknie, nie ma strachu. Jakaś dobra dusza postara się go poratować. Kanakowie strzegą wybrzeża? Czysty śmiech, jak Boga kocham! A co Ridley zrobił z łupem?

— Z jakim łupem?

— Z ambrawą — ciągnął zuchwały głos. — Gubernator nie wie o niczym, nie słyszał?

— Cicho, głupcze — syknął Marlowe.

— Gubernator nic nie wie, nieprawdaż? Naturalnie! Gubernator nie wie, po co Ridley płynął na Paiku? Ta obława — to dla zamydlenia nam oczu? Gubernator

chce wpakować do więzienia kochanego, starego przyjaciela. Naturalnie, klucz zostanie w środku, żeby ptaszek, gdy słońce zajdzie, mógł rozwinąć skrzydła...

Twarz rezydenta stała się ciemnoczerwona.

— Licz się ze słowami, gówniarzu!

Ale Bruce nie posiadał się ze wściekłości.

— Założę się, że Ridley czeka w bezpiecznej kryjówce. Założę się o koszulę na grzbiecie, że czeka, aż się uciszy. Wy dwaj jesteście jak para butów. Jeden bez drugiego nic nie wart. Gdzie ambra?

Przepchnął się do Van Kloorta. Stanął tak blisko, że prawie dotykali się twarzami.

— Co gubernator zrobił z ambłą? To nasza własność. My zdobyliśmy ją. Marlowe zdobył, a Ridley ukradł. Przebił k r i s e m Fairlessa! Hendry! — tu Bruce zwrócił się do gospodarza. — Hendry, pamiętacie, prosiliście go, żeby nie szedł! Poszedł i nie wrócił. Ridley umknie...

— Milcz! — wrzasnął rezydent. — Ja nie osłaniam Ridley'a. Skończyłem z nim. Słyszysz! Skończyłem z nim. Jeżeli nawet osłaniałem jego wybryki, to czy myślisz, że darowałbym mu zabójstwo — a jeszcze zabójstwo kobiety?

— Chodźmy na dwór, Bruce — nalegał Marlowe. — Ty głupcze, ty kretynie...  
Bruce odtrącił go brutalnie.

— Gdzie łup? Gdzie ambra?

— Nie wiem, u wszystkich diabłów! — ryknął Van Kloort.

— Gubernator mówi prawdę — odezwał się niespodziewanie Marlowe. —  
Bruce, zamknij pysk?

— Kłamstwa, kłamstwa! — miotał się Bruce. — On cię oszukuje. Gdzie ambra?

Marlowe skinął na Saundersa i wspólnymi siłami wyrzucili awanturnika na dwór. Van Kloort, przywoławszy ich z powrotem, zatrzasnął drzwi.

— Niech się dureń opamięta! — zmierzył oczami Marlowe'a.

— Marlowe, ty nam chyba pomożesz, co? Inne sprawy odłożymy na później. Gdzie złapiemy Ridley'a...

— My go nie złapiemy. On się nie da wziąć żywcem.

Zapadło milczenie. Wszyscy wiedzieli, że Ridley nigdy się nie rozstawał z bronią i że był człowiekiem odważnym i niebezpiecznym. Pierwszy odezwał się Saunders.

— Kto się przyłącza do obławy, niech zmówi pacierz, bo później nie będzie czasu.

Tak, później nie byłoby czasu. Ridley celnie strzelał. Scarlett przestąpił niepokojnie z nogi na nogę.

— Ja bym radził iść tyralierą — rzekł Marlowe. — Jeżeli on jest blisko przystani, to najprawdopodobniej przedziera się na północne wybrzeże, a jeżeli tak, to pewnie dotarł do rzeki i posuwa się brzegiem.

— No, dalej?

— Musimy wziąć katamaran i uważać na prawy brzeg, bo prędzej czy później musi tam zejść. Kilku z nas może iść przez las, ale zdaje mi się, że tym sposobem nie upolujemy go. Gdy się przekona, że jest ścigany, skreśli nad rzekę. Każdy by to zrobił. Gdzie woda, tam łatwiej o ratunek. Może będzie próbował popłynąć na pniu zwalonego drzewa.

— Zgoda — przystał leniwie rezydent.

Ogarnęło go uczucie starości. Fanchon umarła. Ridley uciekł. Ten czarnowłosy, niebieskooki Marlowe mimo że cedzi słowa, jest energiczny i przewidyjący. Ba! młodość! Niech więc on kieruje obławą. Niech wydaje zarządzenia. Van Kloort przesunął palcem wewnątrz mokrego od potu kołnierzyka i szarpnął gniewnie obolałą głową. Spozrzegł pod ścianą Karolę.

— Saunders i Scarlett pójdą przez lasy z Kanakami — mówił Marlowe — Ja z Bruce'm weźmiemy łódź. Hendry, dajcie coś do zjedzenia i parę butelek. Obława może potrwać dwa — trzy dni.

Podszedł do Van Kloorta.

— Wyjdźmy.

Rezydent wyszedł za nim potulnie.

— O co chodzi?

— Gdzie ambra?

— Nie wiem.

— Może gubernator przysiąc?

— Mówię świętą prawdę, Marlowe. Ja... Ridley... zmieniło się... widzisz...

— Wszystko wyjdzie na jaw — przerwał Marlowe. — Przypuszczam, że musieliście się pokłócić. Ta ambra należy do nas. Gubernator rozumie? Ja ją zdobyłem. Jak i gdzie, to moja sprawa. Rozumie gubernator?

— Na Paiku.

— Gubernator nie wie i nie może dowieść. Jeżeli miałyby dojść do śledztwa, to trzeba by również wejrzeć w wiele innych spraw. Pan rozumie? Lepiej dać spokój.

Van Kloort kiwnął głową. Był bezsilny. Został sam i nie mógł ani walczyć, ani kręcić w prawniczym stylu. Chrząknął i zatarł nerwowo pulchne ręce.

— Karola zostanie do mojego powrotu u Hendry'ego — dorzucił Marlowe. — Słyszysz pan? Proszę jej nie napastować. Tu jej będzie dobrze. — I proszę — proszę nie puszczać nikogo na „Lampart a” — dopóty — dopóki nie znajdziemy Ridley'a.

Patrzyli na siebie podejrzliwie.

— Uważasz, że ambra jest na statku?

— Tak. Gubernator to samo myśli. Proszę nic nie ruszać — nastawał Marlowe.

Podszedł jeszcze bliżej.

— Radzę ze mną nie zaczynać — dodał spokojnie i odszedł.

Hendry wyniósł zapasy i udali się razem nad wodę. Tu czekali Puahe z Kahivą. Niebawem katamaran był gotowy do drogi. Właścicielowi zapłacono za pożyczanie łodzi tytoniem do żucia i olejkami do włosów. Bruce, kwaśny i nachmurzony, podszedł przyglądać się przygotowaniom. Marlowe, ładując zapasy na pozornie kruchą łódź, rzucał przez ramię dorywcze wyjaśnienia.

Przyszła również Karola. Oczy miała suche, lecz zbielełe usta mówiły same za siebie.

— Powodzenia! — zawołał na koniec Hendry. — Chodź Karola. Póki nie wrócą, zostaniesz u mnie.

Nie słyszała. Przysunęła się do Marlowe'a i spojrzała boleśnie w jego energiczną twarz.

— Nie mogłoby się bez tego obejść?

Wziął ją za rękę i odprowadził na bok, żeby inni nie słyszeli.

— Nie martw się, dziewczyno. Złapiemy Ridley'a i będę pilnował, żeby Bruce wyszedł bez szwanku.

Karola wykręciła się szybkim półobrotem.

— Niech on sam siebie pilnuje.

— Co ty, Karola? Czy... czy...

— Nie kocham go — wyrzuciła przez zaciśnięte zęby.

— To kogo?...

W odpowiedzi wspięła się na palcach i pocałowała go w usta. Za chwilę biegła z powrotem do sklepu Hendry'ego. Marlowe patrzył za nią z rozrzewnieniem. Krew pulsowała mu w skroniach. Rozsadzała nieprzytomna radość. Miał ochotę śpiewać, ganiać po piasku, szaleć, aby opanować podniecenie, które go roznosiło.

Bruce i Hendry przywoływali go natarczywie. Nie było czasu do stracenia. Gdy już będzie po wszystkim, gdy wróci, nastaną radosne chwile... Tu przypo-

mniał sobie jednak, że Fairless nie wrócił. Do diabła z przeczuciami! Przybiegł i wskoczył do łodzi. Hendry uśmiechnął się na pożegnanie. Kanakowie odbili od brzegu.

Odpyływ trwał. Dobili do Zachodniej Góry i opłynęli ją bez żadnych trudności. Ale za przylądkiem musieli walczyć z prądem, skutkiem czego płynęli znacznie wolniej. Kiedy jednak zaczął się przypyływ dopłynęli z łatwością do ujścia Ciemnej Rzeki.

Nazwa była trafna. Rzeka płynęła z głębi wyspy leniwie jak pełznący wąż. Z prawej strony rozciągały się zielono-szare bagniska. Z przemokłej ziemi wyrastały drzewa, pod których butwiejącymi korzeniami zamieszkiwały tysiącami wodne stwory. Rosły tu żółte lilie bagienne, wielkie i złowrogie. Jasne, lepkie liście stanowiły pułapkę na muchy, szkarłatne żuki wodne, ślimaki i moskity.

Przypyływ odczuwało się na dystansie trzech mil. Potem katamaran musiał walczyć z prądem, zresztą bardzo powolnym. Kanakowie zabrali się do wiosł. Szum morza ucichł zupełnie, a słony zapach ustąpił miejsca gorącym, zgniłym wyziewom. Mułowata woda klaskała wzdłuż kilu. Żar południowego słońca sprawił, że Bruce siedział z kolanami pod brodą, walcząc z naporem ciężkich mdłości.

Marlowe zachęcał Kanaków do wysiłku, gdyż powodzenie wyprawy zależało od pośpiechu. Mogli się natknąć na uciekiniera dopiero daleko w górze rzeki. Trzymali się prawej strony. Bystre oczy Marlowe'a przeszukiwały skraj wody bez skutku. Bagna zostały w tyle, a brzegi porastała gęsta, tropikalna dżungla. Nad rzeką wisiała nienaturalna cisza. Było coś nierealnego w tych przeklętych ostępach; w tej niesamowitej, cichej rzece, objętej trzęsawiskami i moczarami; w tych konających drzewach, z których zwieszały się widmowo festony mchów? Marlowe wpatrywał się w barwną pstrokacizną krajobrazu, gdzie na tle szczególnej, ciemnej zieleni, przetykanej brunatnymi plamami, gorzały jaskrawo kwiaty hibiskusa. Dziwił się, dlaczego ludzie tak podziwiają urodę wysp. To przecież nie piękno, ale straszliwa bujność życia, okupiona zaciętą walką o byt. W tym jest coś złowrogiego, coś co każe myśleć o rozkładzie i zgniliznie. Piękno, ścinające krew w żyłach.

Otrząsnął się z czarnych myśli.

— Słuchaj — rzekł do Bruce'a. — Warto by się zatrzymać na parę minut. Chłopcy ledwo ruszają rękami.

Przybili do brzegu i odpoczywali. Posilili się, ale bez apetytu. Oczy, uszy, wypatrywały, nasłuchiwały czy nie pochwycą podejrzanego znaku czy szelestu.

Van Kloort rozpostarł szeroką sieć. Ridley uciekając, musiał przyjść w końcu nad rzekę. W rzece był jego ostatni ratunek.

— Dalej! — zawołał niecierpliwie Marlowe. — Kahiva, twoja śpieszyć się jak diabli. Długo — długo, to ona Rideli schować się — schować!

Poganiał Kanaków, obojętny na mrukliwość Bruce'a, który siedział z brodą wspartą na rękach i zagadnięty, udawał głuchego. Marlowe przestał na niego zważać. Czuł, że dusza towarzysza szamocze się między dwiema tęsknotami: za żywą i za umarłą...

Minęło południe. Duszny upał wyciskał z nich strugi potu. Marlowe otarł kark.

— Musieliśmy już odwalić z jedenaście mil — rzekł ochryple. — Co za żar, co za cholerny żar!

Bruce podniósł głowę.

— Słuchajcie! — rzucił ostrzegawczo.

Kanakowie opuścili mokre wiosła, Marlowe wyciągnął szyję, nasłuchując. Z lewego brzegu od przodu gwałtowny trzask gałęzi oznajmiał, że coś, lub ktoś przedziera się pośpiesznie nad rzekę w ucieczce przed niebezpieczeństwem.

## ROZDZIAŁ XIX

### I

Ridley zgarnął włosy z oczu i zagłębił się w las. Nie wiedział, gdzie jest. Rozpaczliwa jednostajność drzew przyprawiała go o zawrót głowy. Wypatrzył jedno z nietypowo uszkodzoną korą na wysokości trzech stóp od ziemi i podążył prosto jak strzelił na północ. Przez godzinę przeciskał się przez gąszcze, które oplatały mu nogi lianami i przytrzymały za ubranie kolcami tui - tui. W końcu przystanął, żeby odetchnąć i, o zgrozo, spojrzawszy na najbliższe drzewo poznał charakterystyczne uszkodzenie...

Zaczął tracić głowę. Był żeglarzem i zgubił się w zielonym labiryncie. Zateęsknił gwałtownie do morza, dół wodnych przestrzeni, do szumu fal. Przed przekrwionymi z bezsenności oczami jawił się obraz „Lamparta”, niecierpliwiającego się na kotwicy w oczekiwaniu na pana. Mój kapitanie, kiedyż to wyruszymy na morze!? Na morze! To cudowne słowo szumiało w rozgorączkowanym umyśle, przynosząc z sobą wspomnienia sztormów, wiatrów, pokładów zmywanych

zielonymi falami. Musi wrócić! Musi przewyciężyć pragnienie, strach, kule obławy i wrócić na swój statek. Myśl o skarbie w kajucie nie budziła w nim chciwego niepokoju. Przestał się tym przejmować. Pragnął jedynie powrócić na „Lamparta”. Co tam skarby! Byle znów położyć ręce na sterze. Byle morską pianą pryskała w twarz...

Znów szedł, i szedł na przekór leśnym bogom, płaczącym kroki. Tym razem wybrał trudniejszą drogę, bo pod górę. Wdrapał się bez tchu na nieporośnięty szczyt, skąd mu się roztoczył widok na lasy, parujące pod żarem słońca. Przyśloniwszy oczy dłonią, spojrział w kierunku, skąd przyszedł. Miał świetny wzrok, toteż dostrzegł ruch na otwartej połaci, daleko w dole. Kanak? Naturalnie, Kanak. Co on tam robi? Daje znaki komuś z prawej strony. Więc jest dwóch? Co, u wszystkich diabłów...

Ridley zrozumiał. Odgadł, skąd się wzięli w lasach na dole. Obława, tak obława. Może ich tam jest ze dwudziestu z Van Kloortem na tyłach, w roli poganiacza. Będą polowali jak na wilka. Sieć zaciągnie się powoli, aż go osaczą. Da im jednak szkołę. Czy Marlowe idzie z nagonką? Prawdopodobnie prowadzi. „Hiszpański Grand” musiał już zawinąć do przystani.

Spojrzął ku północo-wschodowi. Głęboko w dole srebrzysta nić. Rzeka. Tam nadzieja. Tam droga. Jeżeli zdoła się przedrzeć przez gąszcze ku rzece, być może, zdoła się uratować. Innego wyjścia nie ma. Van Kloort o tym nie pomyśli. Za głupi. Marlowe... co tam Marlowe!

I Ridley skierował się ku dalekiej rzece.

Przejście było gorsze niż przewidywał. Musiał ciąć splątane gałęzie, bo inaczej by się nie przecisnął. Ręka go rozboleła, a nóż stępił się. Stok urwał się nagle i Ridley skoczył z wysokości piętnastu stóp w kępę brzydkich, lepkich roślin. Zerwał się i biegł, nie zważając na postrzępione ubranie i pokrwawione ręce. Parł w dół przez zatory niesłychanie bujnej roślinności. Żar się wzmagił. Pot zalewał oczy, oślepiał, mamił wzrok, bo nieruchome paprocie zdawały się podrygiwać, a parasolowa te drzewa drżały na upiornym wietrze. Ridley zapadł się w bagno, z którego tryskało źródło, spływające krętym strumyczkiem ku rzece. Podniósł się czarny od mułu. Obszedłszy trzęsawisko, napotkał szkarłatne lilie. Gorące, wilgotne powietrze było tu przesycone ich słodką, duszną wonią. Ta woń uderzyła mu do głowy wspomnieniem tak strasznym, że zatoczył się na palmę z rękami przy twarzy. — Czy to ja? — krzychała przerażona dusza. — Czy to ja, Ridley, uciekinier, ścigany jak zwierzę?

Rzeka musi być niedaleko. Coraz wyraźniej czuł wilgoć. Nasłuchiwał. Cicza.

Dalej, dalej, przez natłok soczystych, zaczepnych łądyg, pnących, gibkich, stęsknionych do słońca, które im tam w górze kradną wonne, białe i czerwone jaśminy. Zapach aż dusi...

Zobaczył w dole rzekę. Jeszcze pięćdziesiąt kroków. Przystanął, gotując się do ostatniego wysiłku. Miał gotowy plan. Popłynie do morza na jakimś pniu i pod osłoną nocy na tym samym pniu przeprawi się na „Lampart a”. Lżej mu się zrobiło na duchu. Ruszył z trzaskiem przez krzaki, jak przedzierający się zwierz. W gardle go piekło. Napić się wody, byle prędzej, byle prędzej... Jeszcze dwadzieścia kroków — dziesięć — pięć... Rzucił się na ziemię, zanurzył w wodzie pokaleczone ręce. Nareszcie! Radość rozpierała serce. Odwagi! Odwagi! Połowa planu wykonana. Teraz jeszcze popłynąć z nurtem do morza i dostać się do przystani. Powinno się udać.

Nabierał wodę rękami i pił chciwie. Ochłodził twarz i szyję. Na rozgrzanym od słońca kamieniu zatrzymała się zielona jaszczurka, uważnie mu się przypatrując. Ridley uśmiechnął się mimo woli. Chytre stworzenia, te jaszczurki, chytre...

Co to? Nie uwierzył własnym oczom. Spod nawisłych gałęzi wysunął się jak cień katamaran. Nie, to ułuda wzrokowa. Nie... Bruce podniósł rewolwer, a Ridley nie ruszył się. Jeszcze nie wierzył. Dopiero strzał i pocisk, który strzaskał kamień, na którym przed sekundą siedziała jaszczurka, przywrócił mu przytomność umysłu. Pojął, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie; leżąc na brzuchu, wycelował... Bruce padł bez jęku. Na ten widok z piersi ściganego wyrwał się dziki, obłąkańczy wrzask triumfu. Ten psi syn doznał łask Fanchon. Tanio zapłacił, śmiercią od kuli. Powinien był zawisnąć na stryczku, powinien był konać na torturach... Za karę, że jego wybrała.

Kahiva skierował łódź do brzegu. Ridley skoczył na równe nogi. Bywał w gorszych opałach i wychodził cało. Dlaczegoż by szczęście miało go opuścić właśnie dziś? Strzelił dwa razy. Jeden pocisk był niecelny, drugi musnął ramię Puahego, wydzierając z jego ust wrzask trwogi. Ridley zaklął głośno. Chciał trafić Marlowe'a, którego się bał, z którym musiał stoczyć śmiertelną walkę. Cofnął się w krzaki, przysiadł za osłoną zieleni i wziął nieprzyjaciela na cel. Uwolnić się, uwolnić się od tego człowieka! Spóźnił się o ułamek sekundy, gdyż Marlowe padł na płask omal nie wywracając katamaranu. Pocisk przeszedł tuż nad jego głową. Ridley powtórnie wycelował i nacisnął spust, ale skończyło się na nieszkodliwym szczęknięciu broni. Magazynek był pusty. Amunicja skończyła się...

Patrzył bezmyślnie na bezużyteczną broń. Boże! Jakiż był głupi! Teraz całą obronę stanowił nóż. Uciekać! — naglił instynkt. Zawrócił w gąszcze. Musi uciec.



Z Marlowe'm rozprawi się później. Teraz droga jest każda chwila. Uciekać, póki czas. Ale dokąd? Van Kloort rozpuścił nagonkę, sieć zamknie się przy rzece...

Marlowe pchnął katamaran na brzeg i wyskoczył. Przy pomocy Kahivy przeniósł ostrożnie Bruce'a na kamienie. Z piersi rannego lała się krew złowieszczą strugą. Gdy go dotknęli, otworzył oazy i zajęczał. Zdarli z niego koszulę, zwinęli w twardy walek, którym przycisnęli ranę. W niecałą minutę przesiąkła całkowicie.

Marlowe wstał z kolan. Jeżeli nie zabiorą Bruce'a natychmiast do osady, to umrze z upływu krwi.

— Kahiva — rozkazał — położyć Biruti na katamaran i wracać. Kahiva zabrać Biruti, zabrać Puahe na katamaran. Biruti umrzeć prędko — prędko. Kahiva śpieszyć się jak diabeł — Biruti nie umrzeć.

— Marilu twoja też wracać?

— Nie. Zostać szukać Rideli. Kahiva wrócić i znaleźć Marilu. Rozumieć?

— Rozumieć, Marilu.

Znow przenieśli Bruce'a na katamaran. Marlowe wyjaśnił Puahemu, że podczas, gdy Kahiva będzie wiosłował co siłą, on ma podtrzymywać rannego i o ile możliwości tamować krew. Pokazał mu, jak przyciskać do rany mokre szmaty.

— Marlowe — przemówił słabo Bruce — co się stało?

— Nie mów. Wyjdiesz z tego.

— Schwytałeś go?

— Jeszcze nie.

— Mnie...

— Jazda — rozkazał Marlowe Kanakom.

Kahiva odepchnął łódź od brzegu, kierując ją w dół rzeki. Jego brązowa postać przeżyła się dumnie. Wykona rozkaz. Zawiezie rannego Biruti z powrotem do przystani, a sam wróci do Marilu. O niebezpieczeństwie, o przeszkodach nie myślał wcale. Dał tyle tytoniu do żucia znachorowi w zapłacie za talizman przeciwko śmierci i złym duchom, że mógł być spokojny. Miał go na szyi na pleciance z koziej sierści. Z dumą spoglądał na mały woreczek, bujający się na piersiach. W woreczku mieścił się koniuszek świńskiego ucha, kostka z wielkiego palca prawej ręki nieboszczyka i trzy włosy położnicy. Żadna moc ziemską nie mogła zaszkodzić człowiekowi tak zabezpieczonemu. Żadna siła. Skierował katamaran na środek rzeki. Był ogromnie przejęty misją, jaką biały pan złożył na jego brązowe ramiona. — Biruti bardzo — bardzo chora!

— Bruce mówił, wykrzykiwał nawet długie, trudne słowa, których Kahiva nie mógł zrozumieć. Aby te krzyki nie zwabiły z moczarów złych duchów, Kahiva

zaczął śpiewać w swoim języku. Wysoki, czysty głos rozbrzmiewał donośnie między zielonymi brzegami.

Jestem Kahiva, syn Kuary.  
Jestem potężny, silny, mocny  
Patrzajcie płynę z biegiem rzeki  
Ratować życie Birutiemu.  
Z daleka, duchy!  
Z daleka, mary!  
Precz, precz na moczary!

Marlowe patrzył za katamaranem, póki mu nie zniknął z oczu za zakrętem rzeki. Wtedy zwrócił się twarzą ku zaroślom. I co teraz? Ridley czai się w pobliżu, czeka, obserwuje go, wypatruje kiedy skoczyć. Ale gdzie jest? Przedzierać się przez las niebezpiecznie. Od razu się człowiek zdradzi. Marlowe natężył słuch.

Cisza, tylko woda pluszcze.

Liany na ziemi z prawej strony były porwane, jakby ciężki but nadepchnął na nie i szarpnął. Marlowe wyjął nóż i wstąpił ostrożnie w zielone przejście. Przekłęta cisza! — rozstraja nerwy. Co krok, przystawał, nasłuchiwał rozglądając się. Co chwila odwracał szybko głowę, by sprawdzić, czy naprawdę coś się poruszyło, czy to przywidzenie. Zdawało się, że sam czas stanął na palcach i czeka w napięciu, co się stanie. Marlowe nie mógł się opędzić wrażeniu, że jest pod obserwacją. Spodziewał się, że lada moment Ridley wyskoczy z kryjówki, nie wiadomo z której strony z nożem w ręku, i zewrą się w śmiertelnej walce. Parł coraz dalej, coraz głębiej w las. Świat zamienił się w płataninę giętkich łodyg i dziwnych, ciemnozielonych liści. Olbrzymie paprocie wystrzelały nad głowę, nakrapiane powoje pchały w twarz jadowite festony kwiecica. Przyszło mu na myśl, że nurek na dnie morza musi widzieć takie same zielonkawe światło.

Wyszedł na małą polankę, na której stało pięć wysokich palm. Z drugiej strony czekał Ridley.

Koszula zwisała na nim w strzępach, na piersiach czerwieniła krew. Był straszliwie blady, w ręku trzymał nóż. Marlowe wstrzymał oddech. Nareszcie! Spotkali się. Oczy mu się zwężyły. Postąpił wolno na spotkanie.

— Ridley!

— Zastrzel mnie! — odezwał się uragliwie Ridley.

— Za kogo mnie masz? — ryknął Marlowe.

Podchodzili ku sobie czujnie, przezornie jak tygrysy nim skoczą jeden na drugiego, wpatrując się sobie uważnie w oczy, żeby się nie dać zaskoczyć. Jeszcze krok, jeszcze krok. Na zaciśniętych pięściach wystąpiły niebieskie żyłki.

Ridley zniżył głowę i skoczył. Opasał przeciwnika rękami na wysokości bioder, głowę wparł mu w żebra. Marlowe spuścił grad ciosów na krzyż napastnika, zmuszając go do wyprostowania się. Zwarli się w straszliwym uścisku, pierś w pierś i przez chwilę chybotali, jak trzciny na wietrze. Nagle Marlowe, przysiadłszy, uwolnił się z potężnych objęć, grożących zmiżdżeniem. Ridley przypuścił drugi atak. Wyrznięty w szczękę, Marlowe zatoczył się na drzewo.

Strząsnąwszy z oczu krople potu, czekał na natarcie. Ridley szarżował jak byk. Chciał przeciwnika powalić. Był cięższy. Jego wielkie pięści uderzały z potworną siłą w twarz i tors Marlowe'a, powodując krwawienie z ust i z nosa. Ochryply wrzask przedwczesnego triumfu poniosło w przestrzeń echo. Ridley, rozjuszony widokiem krwi, walczył jak furia. Kolejne ciosy, spadające na ramiona i pierś Marlowe'a, zostawiały sine, nabrzmiałe plamy. Marlowe zaczął się kszusić. Cofnął się, przygotowując natarcie. Skoczył z odległości trzech kroków. Żelazne ramiona opasały kolana Ridley'a, który uderzony całym ciałem przeciwnika, zachwiał się silnie. By go dosięgnąć, musiał się schylić, a wtedy zniemacka dostał pięścią w szczękę i stracił równowagę.

Upadł na bok, lecz nie była to jeszcze przegrana. Świadomy niebezpieczeństwa, obserwował czujnie przeciwnika, by w porę przeszkodzić jakiemuś ostatecznemu atakowi. Warczał bezgłośnie.

— Czekaj, ty — ja ci..

— Zamordowałeś Hacketta...

— Tak! — wysapał Ridley. — Tak, zabiłem go. Powiedział mi, że po nim więcej nikogo nie zabiję. Kłamca! Po nim zabiłem Fairlessa...

— Nie zabiłeś Fairlesa — syknął Marlowe. Ja go zastrzeliłem, bydlaku. Kris był zatruty. Hobi — wył z bólu...

Ridley'owi zamgliło się w oczach, a serce zatłukło. Więc nie zabił Fairlessa. Czyżby proroctwo Hacketta miało się sprawdzić? Czyżby Hackett miał być naprawdę tym ostatnim, zabitym przez niego? Mówią, że umierający widzą przyszłość. Jeżeli to prawda, to — co? To znaczy, że Marlowe wyjdzie z jego rąk żywy? A Marlowe oparł się na chwilę o pień palmy, dysząc ze zmęczenia. Strach

ogarnął Ridley'a, zdusił za gardło zimnymi rękami. Ostatni człowiek! Spojrzał nieprzytomnie na swoje ręce, te ręce, które zamordowały kobietę, i trwoga jego doszła do najwyższych granic.

Marlowe rzucił się na niego z wściekłością rozpacz. Ridley był silniejszy, ale niewypoczęty. Głód, bezsenność, strach, spowodowały u niego znaczne osłabienie. Bił na oślep i zataczał się. Ale gdy Marlowe uczynił próbę powalenia go, jak gdyby ożył. Poczł przyplw sił i postanowił zwyciężyć.

Cienie ich migały na tle wydłużających się cieni palm. Słońce zniżało się ku zachodowi, upał zelzał. Po kolejnych ciosach Ridley'a Marlowe osunął się na kolana. Chwiał się i łapał oddech. Ridley odstąpił o krok, chwytając za nóż. Ostrze było stępione, ale mogło jeszcze przeciąć człowiekowi gardło.

W chwili, gdy palce zaciskały się na rękojeści, jakiś efekt świetlny wśród drzew, czy może złudzenie wzrokowe, zmusiły go do podniesienia oczu. Co to? Serce w nim zamarło. Przytknął rękę do spazmatycznie drgających ust. Kobieta... Mglista sylwetka kobiety wśród słabo widocznych pni...

Odwrócił się i pobiegł w kierunku rzeki. Wskoczył do wody. Za wszelką cenę musi uciekać przed widmem. Mówią, że umarli nie mogą się przedostać przez wodę. Udręczona myśl widziała bezpieczeństwo na drugim brzegu. Płynął co sił, ale usłyszał za sobą plusk. To Marlowe rzucił się za nim w zieloną toń. Parli do drugiego brzegu z wielkim trudem, gdyż rany i wyczerpanie walką zrobiły swoje. Ridley pracował gorączkowo rękami w ucieczce przed prześladowcą. Wstrząs termiczny po skoku do wody przywrócił mu przytomność umysłu. Co za głupie przywidzenie! Skąd ona tu w lesie?... Nie odważył się jednak zawrócić. Marlowe, lepszy pływak, zaczynał go doganiać. Ridley wyteżył wszystkie siły. Dwa ciała przedzierały się przez nurt ku ciemnemu brzegowi, gdzie śmierć czekała na jednego lub drugiego. Śmierć obojętna, zimna, pogardliwa, pewna, że przed świtem znów złowi jedną duszę.

Prąd znosił ich ukośnie. Brzeg był już coraz bliżej — coraz bliżej — zbita ściana lasu. Ridley poczuł grunt pod nogami i wstał. Głowa Marlowe'a była już o pięć kroków od niego. Pochwycił duży kamień i rzucił, celując w nią. Kamień plusnął w wodę o trzy cale od twarzy Marlowe'a, który zdążył rzucić się w bok...

Zmagali się w płytkiej wodzie, wirującej koło kolan. Osłabłe, mokre ciała, raz po raz ponawiały ataki. Omszałe kamyki usuwały im się z chrzęstem spod nóg. Walczyli w milczeniu, żeby nie marnować sił. Ridley atakując zbyt chaotycznie tracił siły i bił coraz słabiej. Oddychał chrapliwie. Teraz więc nadeszła decydująca chwila, teraz już się morderca nie obroni! Słowo „zwycięstwo” szumiało Mar-

lowe'owi w uszach, pobudzało do walki, pomagało zachować przytomność umysłu i pozwalało zapomnieć o bólu.

Chwilę stał, zbierając siły, lecz gdy w prawicy Ridley'a błysnął nóż, krew się w nim zagotowała. Co, on ma umrzeć od noża. Nie! Zobaczysz bydlaku, kto silniejszy. Umarli stali przy Marlowie, dodawali mu ducha, szeptali o zemście, o sprawiedliwości, o skradzionym skarbie, o urodzie zamordowanej kobiety. Zabij! — Zabij — krzyczeli i Marlowe rzucił się znów na przeciwnika. Porwał go mocno w pól, wytrącając równocześnie nóż z ręki. Ridley wyrwał się, podniósł nóż lecz Marlowe znów atakował, chwycił, przytrzymał, wywijał się. Znalazł się w końcu za Ridley'em i przycisnął mu lewą rękę do pleców, a z prawej usiłował wyrwać nóż. Na próżno Ridley szarpał się i wykręcał. Palce Marlowe'a zsunęły się po jego prawej ręce do łokcia, od łokcia do przegubu i tu zatrzymały się. Nóż upadł z brzękiem na mokre kamienie, ale Marlowe nie puszczał ręki. Wykręcał ją w tył.

Czoło Ridley'a okryło się potem. Chciał się uwolnić, próbował się rzucić w przód. Ale uwięzione ramię wykręcano mu w tył, w górę, za głowę. Straszny ból przenikał nienaturalnie naciągnięte mięśnie. O! Boże! Boże! Co za ból!

Marlowe dyszał krótko, chrapliwie, nie przestając wykręcać ramienia słabnącego przeciwnika. Zaciał zęby, natężył się... Jeszcze... jeszcze...

Ramię ustąpiło z okrutnym trzaskiem. Marlowe puścił Ridley'a, który zatoczył się z kwikiem rannego zwierzęcia. Prawa ręka zwisała śmiesznie, bezwładnie. Ridley upadł na kolana i próbował się podnieść. Ból uderzał mu do głowy falami szaleństwa. Naprzód! Śmierć! Nie, czy naprawdę — czyżby to już koniec?

Hackett, Fairless, Fanchon — jak go tam powitają ci troje?

Marlowe pójdzie z nim razem. Marlowe nie zostanie na placu zwycięzcą.

Ridley zwrócił się twarzą do nieprzyjaciela. Zdradzieckie kamyki usuwały mu się spod nóg. Zachwiał się, złapał równowagę, znów się zachwiał, gdyż nurt go wciągał. Tracił grunt pod nogami. Wyciągnął lewą rękę ratując rozpaczliwie równowagę. Kamienie uciekały spod nóg. Upadł, uderzając głową o skałę. Ostry kant wbił się w mokre włosy...

Marlowe odzyskawszy głos, zawołał:

— Ridley!

Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, wstał i poszedł wolno do skały, gdzie woda spływała krwią. Podźwignął bezwładne ciało i wyciągnął z wody. Przyłożył palce do ust — ani śladu oddechu. Ścisnął za przegub lewej ręki — ani śladu pulsu. Położył dłoń na sercu. Nie biło.

Skośne promienie słońca oświetlały rzekę, ogrzewając ciało zwycięzcy, który leżał jak martwy, bez sił. Kiedyż rozlegnie się na wodzie plusk wiosła Kahivy?

Jasne promienie przesuając się, trafiły na drugie ciało, także nieruchome, ukazały wyraziście wyłamane, ramię; skrwawione ręce, które pokonały wszystkich wrogów prócz jednego; usta, które całowały wszystkie kobiety na wyspach, prócz jednej...

## ROZDZIAŁ XX

### I

Hendry z Karolą czuwali całą noc przy Brusie. Zręczny Szkot wydobyl kulę z rany cienkimi palcami, założył bandaż i usiadł w oczekiwaniu na gorączkę. Gdyby ranny mógł uleżeć spokojnie, byłaby nadzieja, ale każde poruszenie wywoływało świeży upływ krwi. Bruce przewracał się bezustannie z boku na bok, pomrukując i postękując. Oczy miał zamknięte. Kiedy próbował usiąść, Karola przygniotła go do posłania. Rzucił się. Musieli go trzymać, Karola za jedną rękę, Hendry za drugą. Zgorączkowane oczy otworzyły się szeroko, z ust popłynął potok słów.

— Nie przeszkadzaj mu — rzekł Hendry. — Tylko trzymaj. Zmęczy się, to może uśnie.

Chrapliwy głos macił ciszę ciepłej nocy. Kanakowie w chatkach za sklepem pobudzili się słuchając trwożliwie jak Biruti bredzi. Karola i Hendry siedzieli nieruchomo z zaciętymi twarzami. Nie mogli nie słuchać, a przecież Bruce spowiadał się ze swoich najskrytszych tajemnic.

— Nie zważaj — szepnął Hendry.

— Nie zważam — rzekła Karola. Ale jak mogła nie zważać, kiedy wciąż słyszała swoje imię? Ona, Fanchon, Ridley, zaprzęтали wyobraźnię rannego, o czym świadczyły ich ciągle powracające imiona. Opowiedział o śmierci Fairlessa i Karola pobladła. Dzikie opowieści o ludziach i statkach wydobywały się z zakamarków jego pamięci. Zmartwychwstawały zapomniane czyny i obrazy dawnych miłości. W końcu Hendry przywołał dwóch Kanaków. Jeden przygniatł rękę, której już Karola nie mogła utrzymać, a drugi przycisnął całym swym ciężarem nogi. Na pace po puszkach kopcila się lampa, przez otwarte okno wlatywały roje nocnych owadów, ginąc w jej płomieniu. Słysząc było słaby szum morza. Kiedy to Puahe i Kahiva wyprawili się katamaranem z latarnią na dziobie?

Z czym wrócą — z ludźmi? Z trupami?

— Idź się położyć — szepnął Hendry do Karoli. — Może uśniesz.

Wstała posłusznie i poszła do sklepu, gdzie rozłożył dla niej derkę.

Zewnętrzne drzwi stały otworem. Karola wyszła na dwór. Przestała słyszeć rozgorączkowany głos Bruce'a, skutkiem czego myśli jej poniosły się za Marlowe'm. Przechadzała się samotnie pod niezmienną kopułą nocnego nieba, zagubiona w otchłani rozpaczy. Ridley — wciąż była pod wrażeniem grozy rozta-  
czanej przez tego człowieka, za pośrednictwem jego rąk, oczu i okrutnego uśmiechu. Jeżeli spotkał się z Marlowe'm, to jeden z nich nie wróci.

Wyteżając wzrok, spoglądała w kierunku Zachodniej Góry, podobnej na tle gwiazd do czarnego garbu. Stamtąd wypłynie katamaran, oświetlony żółtym światłem latarni, ale na razie — nic — ciemno. Wróciła do domu z ciężkim sercem.

Przybiegł do niej podniecony Kanak.

— O Karoli, Heniti, ona kazać przyjść prędko — prędko. Biruti ona źle bardzo. Ona umrzeć.

Wpadli do pokoju, gdzie leżał ranny. Hendry i trzech Kanakowie walczyli z nim zaciekle, bo szamotał się jak oszalały. Na bandażach rozpościerała się złowróźbna plama.

— Karola — zagadnął Hendry — może ty go potrafisz uspokoić? Zauważył, że wyszłaś. Jeżeli krwotok się powiększy, będzie koniec.

Karola stanęła przy łóżku, patrząc na zaczerwienioną, bolesną twarz Bruce'a.

— Bruce!

Poznał głos i chciał wstać. Kanakowie podwoili wysiłki.

— Leż spokojnie — rozkazała.

Przestał się szamotać i legł wyczerpany.

— Miałaś słuszność — zaczął chrapliwy głos. — Karola, ja nie mogę o niej zapomnieć. Widzę ją jak żywą. A nie chcę, nie chcę.

Wyrwał się spoconym Kanakom i wyciągnął do niej ramiona. Przytrzymała rozpalone dłonie.

— Leż spokojnie — prosiła. — Niebezpiecznie się szarpać. Leż spokojnie.

— Marlowe...

— Niedługo wróci — wtrącił Hendry, gdyż spostrzegł, że dziewczynie drżą usta.

Niespokojna głowa na poduszce znów zaczęła się obracać z boku na bok, nieukojo-  
na, nieutulona.

— Karola — mówił stęskniony głos — Karola, Karola...

Hendry zakładał świeże bandażę. Na jego zmęczonej twarzy malowała się ciężka troska.

— Na Boga, każ mu leżeć spokojnie — rzekł odrzucając przesiąkniętą krwią szmaty.

— Karola... Karola...

— Podnieście go — rozkazała Kanakom.

Unieśli go, a ona, strąciwszy poduszkę, usiadła na łóżku i wzięła rannego w objęcia. Ciężka jasna głowa spoczęła na jej ramieniu, rozpalony policzek przywarł do bluzki. Zaczęła mówić spokojnie i kojąco o codziennych sprawach. Leżał cicho, zasłuchany. Powoli opuściły go zmyry i zwidy. Bredził spokojnie, że tonie w ciepłym morzu, lecz wiedząc, że są razem, nie martwił się. W końcu zapadł w ciężki sen bez przywidzeń.

Karola umilkła, ale nie wstawiała. Nie wiadomo czyja twarz była tragiczniejsza, jej czy jego. Hendry patrzył i zastanawiał się co mogło zajść między tą parą. Dał znak Karoli, żeby położyła Bruce'a na posłaniu. Odmówiła. Niewygodna pozycja była okropnie męcząca. Ciało cierpło. Marlowe... Przestała o nim myśleć. Amerykański zegar cykał głośno. Mała wskazówka mijala godzinę drugą. Cokolwiek się stało, katamaran powinien już być. Hendry wyjrzał na dwór. Wrócił potrząsając głową. Kanakowie drzemali pod ścianą, gotowi na zawołanie, gdyby Biruti otworzył oczy. Już przed wielu godzinami Hendry posłał Kanaka, żeby wstrzymał ludzi z obławy przeszukujących lasy. Powinni niedługo wrócić. Oby wrócili, oby wreszcie coś przełamało udrękę czekania i bezsennej nocy.

Karola patrzyła w przestrzeń. Co to za hałas? Czy to katamaran skrzypi na piasku, wyciągany z wody? Hendry nasłuchiwał. Po chwili wyszedł na palcach. Usłyszała jego kroki na ścieżce i daleki krzyk. Serce w niej zakołatało. Co znaczy ta nagła cisza? Co tam robi Hendry, że tak długo nie wraca? Widocznie boi się przekazać złe wieści, będące dla niej klęską. Ridley zwyciężył. Zaraz tu będzie, triumfujący i zuchwały, a Karola dowie się, w jaki sposób zginął Marlowe, bo Ridley nie oszczędzi jej tej opowieści.

Powolne, miarowe kroki na piasku. Tak idą ludzie z ciężarem.

Kroczą drogą, wchodzą do sklepu... Błysk latarni w drzwiach...

Wnieśli kogoś i kładą na derce, którą Hendry rozpostarł pośpiesznie na podłodze. Karola widzi przez drzwi plecy gospodarza, pochylającego się nad czyjąś ciemną głową.

Ktoś oparł się o odrzwia. Twarz — blada, znużona. Cała postać chwieje się



bezsilnie. Karola zdławiła dłonią rwący się z ust krzyk. Marlowe wszedł i stanął przy niej. Dała mu znak, żeby jej nie dotykał, bo obudzi Bruce'a. Lecz on wziął w dłonie jej zapłonioną twarz i pocałował w usta, po czym wrócił do sklepu, gdzie złożono ciało Ridley'a. Zamknął drzwi za sobą. Hendry wydobył z pośpiechem butelkę.

— Gdzie go znalazłeś? — zapytał cicho, nalewając trunek.

— Nad rzeką, z górą dziesięć mil od ujścia.

— Naszych widziałeś?

— Nie. Czy z Bruce'm bardzo kiepsko?

— Jeżeli się prędko nie obudzi, to się wyliże. Karola musiała ścierpnąć. Już przeszło dwie godziny tak siedzi. Ale nie chce go ruszyć.

Tu Hendry zwrócił oczy na nieruchomą postać na podłodze.

— To musiała być walka, stary. I tobie, widzę, dostało się porządnie. Rano każę Kanakowi natrzeć cię oliwą. Kiedy spałeś ostatni raz? To kładź się natychmiast. Tu jest derka. Rozłożyłem dla Karoli, ale ona nie będzie spała. Nie strach ci będzie spać w jednej izbie z Ridley'em?

Marlowe zaprzeczył ruchem głowy.

Zmarły i żywy leżeli w sklepie do brzasku, kiedy to wrzawa oznajmiła powrót Van Kloorta z nagonką. W sąsiedniej izbie spała Karola z Bruce'm w ramionach. Hendry przesadził ją ostrożnie na fotel, zasłany poduszkami, a jej miejsce zajął Puka.

Hendry wyszedł na próg podziwiając pierwsze blaski słońca na wodzie. Z lasów wynurzyła się partia Van Kloorta, więc podążył naprzeciwko z ostrzeżeniem, żeby nie krzyczeli za głośno, bo w domu śpi czworo... troje ludzi.

\*

\* \*

W południe rezydent wszedł do sklepu zamykając za sobą drzwi. Okiennice były zatrzaśnięte, powietrze duszne. Prócz martwego Ridley'a nie było nikogo. Na zewnątrz Hendry z Marlowe'm rozmawiali o kilku „Hiszpańskiego Granda”. W sąsiedniej izbie leżał Bruce, już zupełnie przytomny. Van Kloort odsłonił twarz zabitego.

Więc taki koniee spotkał zawsze zwycięskiego młodzieńca? Z drgnieniem li-tości w sercu rezydent patrzył na nieruchome ciało z wyrwanym ze stawu ramieniem i zakrwawioną głową. Ileż to „interesów” przeprowadzili we troje — on,

Ridley i Fanchon! Fanchon też już nie żyje. Leży w swoim domku, u stóp wzgórza...

Van Kloort ukląkł i nachylił się nad twarzą zmarłego. Te wystające kości policzkowe, te czerwone grube usta... Gdzie on widział podobną twarz?...

Wstał drżąc lekko, z zamętem w głowie. Nie, to nie może być. Przypadkowe podobieństwo! Ale zawołał gospodarza takim głosem, że ten wbiegł do pokoju.

— Zamknijcie drzwi, Hendry — rozkazał z chrząknięciem rezydent.

— Chodźcie tutaj.

— Co się stało?

— Przyjrzyjcie mu się, tylko mu się przyjrzyjcie. Usta, oczy — kształt głowy...

— Co z tego?

— Do kogo podobny?

Hendry, wyprostowawszy się, zajrzał rezydentowi w oczy.

— Do czego pan gubernator zmierza?

Van Kloort wyrzucił ręce nad głową.

— Więc widzicie. Ja przez tyle lat nie zauważyłem; dopiero dziś.. Gdybyśmy byli wiedzieli... gdybyśmy wiedzieli...

Hendry wyrzucił pięścią w kontuar.

— Pan gubernator się myli — wyrzucił z trudem, jakby warczał.

— Ja nie widzę żadnego podobieństwa. To niemożliwe. Pan nie będzie rozpuszczał bajek, gubernatorze. Ten człowiek nie żyje. I tak obrzucą błotem jego pamięć. Obejdzie się bez pańskiej pomocy.

Nakrył twarz zabitego i wyszedł na słońce.

## II

Przed południem Van Kloort z Marlowe'm kazali się przewieźć na „Lamparta”. Na wołanie, wynurzyła się wełnista głowa Hoawy.

— O, Keluti, Rideli obiecać prędko — prędko. Nie wrócić. Rideli ona pić?

— Ona umrzeć — odparł Van Kloort, gdy dostali się na pokład.

— Hoawa, twoja wiedzieć mulla — mulla?

— Wiedzieć — odrzekł niepewnie Kanak.

— Twoja przynieść — rozkazał Marlowe, ale Hoawa potrząsnął głową.

— Rideli schować swoja kajuta.

— W kajucie?

Zbiegli po trapie, a Kanak za nimi. Hoawa wiedział, że ambra była w kajucie,

lecz nie umiał wskazać miejsca. Marlowe posłał po siekiere. Nim znaleźli wszystkie worki, poszły w drzazgi trzy szafy i trzy skrzynie. Van Kloort patrząc na tę ruinę, otarł czoło.

— Byłby wściekły, gdyby widział, co wyprawiamy z „Lampartem”.

Marlowe wyjmował ciężkie worki. Odwiązawszy jeden, pokazał grudkę brunatnej, pstrej masy.

Van Kloortowi oczy zagrały.

— Będą za to grube pieniądze — powiedział.

— A pana gubernatora co to obchodzi? Panu się nie dostanie złamany szeląg. Rezydent poczerwieniał.

— Jak ty śmiesz tak do mnie mówić?

Marlowe zerwał się z kolan.

— Chce pan gubernator udziału, niech pan walczy. Popłyniemy razem na Amanu i pan pokaże koncesję Carruthersowi. Wy tłumaczy mu pan gubernator, skąd jego nazwisko wzięło się na dokumencie, o którym facet wcale nie słyszał. Potem może mu pan dowieść, że ambra pochodzi z Paiku. Tylko nie wiem, czy udałoby się to panu.

— Kanakowie wiedzą.

— Ech, Kanakowie! Wiadomo, że nie można wierzyć tubylcom; gdybym dał Hoawie więcej tytoniu niż pan... Ale może pan próbować.

Van Kloort nie znalazł odpowiedzi. Wziął grudkę ambry i oglądał zamyślony. Dziwnie pachniała, jak świeżo zorane pole po deszczu. Już dwadzieścia lat nie widział takich pól.

Marlowe nie spuszczał z niego wzroku.

— No i co?

— A niech tam! — odparł rezydent.

Wykręcił się na pięcie i poszedł do trapu. Marlowe wyszedł za nim. Na pokładzie czekał Hoawa i trzej Kanakowie z „Heleny”. Hoawa szybko zwietrzył, co się święci. Oddał jeńców zwycięzcom, niby jamnik, składający u nóg pana trzy wyborowe szczury. Marlowe, odsunawszy go, podszedł do swoich ludzi, których rozradowane oczy i roześmiane twarze świadczyły, jak byli zadowoleni z tego spotkania.

— Hoti, wy wszystka zdrowa?

— O, Marilu, wszystka rada widzieć Marilu.

Spuścili się za nim do szalupy, każdy z workiem ambry na plecach. „Lampart” pozostał sam, bez pana. Gdy kil łodzi zazgrzytał na piasku, Marlowe obejrzał się.

— Co gubernator zrobi z „Lampartem”?

— Sprzedam.

— To ja go kupię. Jaka cena?

Van Kloort pokazał ręką na „Hiszpańskiego Granda”.

— Masz statek. Nie dosyć go wam — tobie i Bruce’owi? Po naprawie będzie jak nowy.

— Ile za „Lamparta”?

— Co się tak uparłeś?

— To moja sprawa. No, ile?

Uzgodnili cenę przy wódce w obecności Hendry’ego, który kiwał głową na znak aprobaty. Według niego „Lampart” był wart bardzo wiele. Na stoliku znalazł się arkusz listowego papieru, kałamarz i zardzewiałe pióro. Van Kloort podpisał się z takim rozmachem, że aż prysnął spod stalówki atrament. Na żądanie Marlowe’a Hendry podpisał się jako świadek. On domyślił się, w jakim celu Marlowe nabył statek, ale Van Kloort nie. Los sprawił, że Marlowe i Bruce, wieloletni przyjaciele, musieli się rozstać. Jeden pokład stał się dla nich za ciasny.

### III

Naprawa „Hiszpańskiego Granda” trwała trzy tygodnie, czyli tyle, co kuracja Bruce’a. Ranny leżał w łóżku Hendry’ego, rzadko otwierając oczy. Odzywał się skąpo i warczał na wszystkich prócz gospodarza. Ten pielęgnował go z całym oddaniem, jakby chodziło o wartościowego konia. Marlowe zaglądał dzień w dzień. Jednego rana zastał dawnego przyjaciela z otwartymi oczami.

— Jak się czujesz?

— Nieźle.

— To dobrze.

— Słuchaj, Marlowe...

— Słucham?

— Marnie się spisałem — mówił Bruce. — Jak tylko wstanę, wyniosę się w świat.

— „Hiszpański Grand” prawie gotowy.

— Z tobą nie popłynę.

— Popłyniesz „Grandem”. Ja kupiłem „Lamparta”

— O, do diabła!

— Weźmiesz swój udział z Paiku. Czeka na ciebie.

— Nie wezmę! — szczechnął Bruce z gniewnym błyskiem szarych oczu. — Płynę na północ, na Karoliny. Co masz — trzymaj. Twoje.

Pokłócili się, ale ranny trwał uparcie przy swoim postanowieniu. Jest młody, ma dobry statek, może uciec raz na zawsze z przeklętej wyspy, na której tyle wycierpiał. Do końca życia nie zapomni tych strasznych tygodni. Pożegna Les Aves raz na zawsze — raz na zawsze! Nie obejrzy się na cień drzew, szumiących nad mogiłami Ridley'a i Fanchon. Niech Marlowe zatrzyma żniwo dzikiej przygody, w której on, Bruce, odegrał tak dwuznaczną rolę. I Bruce, podniósłszy się niepewnie z łóżka, podszedł do okna, wychodzącego na morze.

— Powiedziałem swoje — zakończył nie odwracając głowy. — Ty możesz się wygadać, owszem. Płynę na północ, na Karoliny...

\*

\* \*

„Hiszpański Grand” doczekał się w końcu zepchnięcia na wodę. Szkarłatne żagle znów wydeły się na wietrze. Statek wyczyszczony, naprawiony, przysposobiony do nowej podróży, nie dawał poznać po sobie odniesionych uszkodzeń. Hendry ze swoimi Kanakami trudzili się w pocie czoła znosząc na brzeg zapasy. Zjawił się Saunders z fajką w ustach i wypowiedział swoje zdanie o manili, dostarczonej przez Hendry'ego. Tubylcy zalegali wybrzeże i ich jazgotliwe głosy czyniły wrzawę, podobną do wrzasku morskiego ptactwa. Przyszedł Scarlett i porównywał zazdrosnym okiem „Hiszpańskiego Granda” ze swoją „Mary Rose”. Marlowe kręcił się wśród innych niby to obojętnie, a w samej rzeczy mocno przygnębiony, że Bruce ma odpłynąć samotnie na ukochanym statku zamordowanego Fairlessa. Ostatni ściągnął Bruce. Nie tracąc czasu zawołał o szalupę.

— Szczęśliwej drogi — wyrwał się Hendry.

— Szczęśliwej drogi! — zawołał Scarlett z Saundersem.

Bruce nie patrząc na nich zwrócił się do Marlowe'a:

— Zostań z Bogiem!

Podali sobie ręce i dzięki temu stwardniałe serca nadtopniały, gorycz osłabła.

— Z Bogiem — odpowiedział Marlowe.

Bruce odwrócił się i wskoczył do szalupy. Czyste głosy Kanaków zaintonowały „Pieśń Pożegnalną”. Szalupa mknęła po cichej przystani. Już! Hoti wstał, by pochwycić linę, zwieszającą się z burty „Hiszpańskiego Granda”. Bruce wciągnął się na pokład, Kanakowie wywindowali szalupę. Statek wykrecał się wolno w

stronę pełnego morza. Przejmująco słodka pieśń Kanaków rozpływała się w od-  
dali. Bruce obejrzał się na wyspę. Gromadka, zebrana na wybrzeżu, wymachiwała  
rękami. Marlowe stał z dala od innych z opuszczonymi rękami.

Karola wyszła ze sklepu. Długo — długo — chłonał wzrokiem jej nieruchomą  
postać, żegnając ją na zawsze.

W końcu odwrócił wzrok od Les Aves i skierował go na morze, w niezmie-  
rzoną dal.

## ROZDZIAŁ XXI

— Poczekają tylko kilka dni — mówił Saunders. — „Wrzos” przybije w  
środe, przywożąc padre.

Uśmiechnął się do gospodarza.

— Szczęśliwy facet z tego Marlowe’a — dodał po chwili. — Gdyby , nie pięć  
krzyżyków bez trzech lat, też wystartowałbym do Karoli.

Wyrzucicie psa, Hendry. Roznosi pchły.

— Van Kloort... — zaczął Hendry i urwał.

— Ma za swoje — zawyrokował Saunders. — Od śmierci Ridley’a to nie ten  
sam człowiek. Na jakiś czas przywaruje.

— Nie na długo.

— A tak — potwierdził Saunders — nie na długo. A gdzie młodzi? Wstał i  
wyrzwał dyskretnie na dwór. Kanakowie rozpalili ogień na

wybrzeżu. Tańczące płomienie oświetlały brunatne ciała. Po piasku szły trzy  
rozśpiewane dziewczyny i każda wplatała w krucze włosy kwiaty hibiskusa. W  
cieniu palm stali Marlowe z Karolą, niepamiętni niczego prócz swej miłości

— Karola?

— Mów.

— Padre przybędzie w środe. Potem...

— Potem na „Lamparta” i na morze!

— Stęskniłem się do morskich wiatrów.

Poczuł, że dziewczyna drży mu w ramionach.

— Już tu nie wrócimy — pocieszał ją. — Les Aves — to przeszłość, która się nie powtórzy.

Pochylił ciemną głowę nad twarzą narzeczonej. Kanakowie zaczęli śpiewać. Pieśń niosła się przez ciche powietrze, przesycone ciężką wonią jaśminu. Na tle wschodzącego księżyca czerniały sylwetki palm Wschodniego Cypla. Młodzi, szczęśliwi, że po tylu niebezpieczeństwach, przybili do upragnionego portu, patrzyli z rozmarzeniem na ogromną złotą latarnię nieba w powolnym pochodzie po gwiaździstym sklepieniu.

— Pamiętasz komin we mgle?

— O tak. I „Lamparta”, i Ridley’a...

— Nie myśl o nim, kochana. On już nie stanie na twojej drodze. Mocno przytulił do siebie wysmukłe, drżące ciało dziewczyny. — Dziwne są losy naszej miłości — jął szeptać. — Kiedy się to zaczęło, moja śliczna? Kiedy zrozumieliśmy, że należymy do siebie? Wpadliśmy sobie w ramiona nie wiadomo jak i kiedy.

Delikatne ręce opasały mu szyję. Poczul szybkie, nierówne bicie dziewczęcego serca.

— Wiesz, Karola, jeszcze mam ci coś do powiedzenia.

— Co?

— Kocham cię.

Koniec